

6.



z Gaietygrafji Banku Pol.

„Cór to wam Hucija?”



ZORZA

DELENTE

MŁODEMU WIEKOWI

POŚWIĘCONY.

Kto garstką ziemię nosi góry się doczeka.

Czyń każdy w swoim kołku co każe duch boży
A całość sama się złoży.

K. Brodziński.

WARSZAWA

W Drukarni pod firmą M. Chmielewskiego
przy ulicy Senatorskiej No. 463.

1843.



ANION

WYDAWCA: UNIKOAM

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ.



p. 1450



Z O R Z A.

Wstańcie dziecieczki! już zorza na niebie
Różowym blaskiem jaśnieje,
Skromnemi wdzięki nęci wzrok do siebie,
I dnia przynosi nadzieję.

Wstańcie dziecieczki! już światło nadobne,
W swe barwy strojne śle gońce;
Spojrzyjcie w zorzę — a oczęta drobne
Nie olśni jaskrawe słońce.

Wstańcie dziecieczki! aby żyć i użyć
Budzić się trzeba o świecie;
Pełném uczuciem świata się wysłuchać,
Zrozumieć życie, — to życie! —

Walentyna Trojanowska.

WĘDRÓWKA.



LIST I.

STANISŁAW DO ZOFJI.

Widzisz Zosiu kochana jak ściśle dotrzymuję danego ci słowa; — oto już drugi list, a ledwie tydzień minął jak wyjechałem z domu. Już to wyznam ci szczerze, że się dziś wahałem trochę między piórem a poduszką, bo prawie przez dwie noce nie spałem, ale zwyciężyła chęć pogadania z tobą. Jam się tak przyzwyczaił, dzielić z tobą myśli i wrażenia, że nie mógłbym spokojnie wspomnieć przyjemności, o której byś ty nie wiedziała. — A miłą niespodziankę sprawił mi dobry nasz ojciec. — Pamiętasz, w przeszłym liście żaliłem się że nam kilka dni w lichój mieście siedzieć wypadnie, obiecywałem sobie bowiem porządne nudy w tym Nowymtargu, (bo ja wszystkich targów nie lubię) i nie zawiodłem się bynajmniej: przez dwa dni sam jeden dręczyłem się w zajezdnym domu, bo ojciec ciągle był w mieście zajęty; przez dwa dni jedynym odgłosem obijającym się o moje uszy, był gwar mieszczan pijących kwaśne piwo za ścianą, klótnie gospodyni z sługarni, i krzyki niesfornych dzieci

(że pominę luby szwargot żydów snujących się nieustannie pod oknem mojej izdebki). Wyobraź więc sobie jak mi czas schodził; mnie, przywykłemu do spokojności naszego domu, do łagodnej mowy ukochanej matki, i twego wdzięcznego głosu. Z początku chciałem zagłuszyć szmer panujący do koła śpiewając, — chrypka z drogi pochodząca stanęła mi na zawadzie; — chciałem spać, lecz za każdym przyłożeniem głowy do poduszki, podwajał się dręczący mię hałas, a w przyciśnionych uszach jakby dwa roje pszczoł brzęczały; wstałem więc, i zacząłem grać palcami po źle w ołów oprawionych szybach, a gdy i to zbyt słaba była muzyka, wybiegłem na rynek. — Brudów, klótni i tym podobnych ciekawości których się napatrzyłem, ani chcę, ani bym zdołał opisać; dość że po dwudniowym pobycie w Nowymtargu wybraliśmy się z ojcem na wędrowkę. Uważaj Zosiu że tu właściwego używam wyrazu, szliśmy bowiem piechotą, o mil kilkanaście, a szliśmy do Morskiego — oka! Tak siostrzyczko, do tego jeziora rozlanego na szczycie Karpat, które głębią na dno morza sięga.

W południe więc, wyszedłszy z miasteczka skierowaliśmy się ku góróm; droga dość obszerna wznosiła się nieznacznie, po obu jej stronach stało mnóstwo porozrucanych chatek, nie słomą jak u nas, lecz gontami, i tarcicami pokrytych;

trochę dalej rozlegały się pola, a na nich rzadki i liche owies, możnaby nie tylko kłosa, ale i ziarna jego policzyć. — Patrząc nań, wspomniałem jakie to zboże naszych równin niwy wydają, jak każdy z niewielką pracą może mieć chleba dostatek, a przecież źle nam w domu, i do cudzych krajów wdychamy; gdy tym czasem tućsi górale choć z takim mozolem pracują na utrzymanie życia, choć im ziemia niewdzięcznością za uprawę odpłaca, lgną do niej sercem i duszą, i w ostatniej tylko potrzebie rzucają dziedów swoich siedzibę.

Śliczni ludzie ci górale! czerstwi, mocni, wysokięj postawy, oczy im błyszczą, twarz się śmieje, a trudy i niebezpieczeństwa mało którego z nich ustraszają; — pracowici, do wszelkich rzemioł się garną, i nie tracą czasu na próżno; nawet pilnując trzody chłopcy wyrzynają drobne drewniane narzędzia, dziewczęta przędą kądziałkę dziwnie jakos na wierzchołku głowy przymocowaną. Kupiłem dla ciebie Zosiu ładny igielniczek, żebyś miała wyobrażenie o zręczności pastuszków.

Zbliżał się wieczór gdy idąc brzegiem bystrego Dunajca, ujrzeliśmy, ponad górą chmurę czarną i wielką; a choć to powiadają że: z dużej chmury mały deszcz, bardzo nam się przydała stojąca nie opodal karczemka, bo nie tylko deszcz ulewny, ale grad ogromnej wielkości spadł na pola, i po-

niszczył do szczeru skąpe i tak plony. — Karczmarz namawiał nas na nocleg, ale gdy wkrótce ślicznie się wypogodziło, ruszyliśmy dalej, żeby ile możności zbliżyć się do celu naszej podróży. Droga coraz trudniejszą i stromszą się stawała, lecz niebezpieczeństwa nigdzie nie było, i ochoczo się drapiąc po wąziutkiej ścieżce stanęliśmy na szczycie góry, skąd wypadało spuszczać się w nową dolinę.

Noc już była, ale księżyc ślicznie świecił gdyśmy doszli do *Koliby*, lichęj chatki będącej przez całe lato schronieniem pasterzy, co w górach trzód pilnują. Bacza, najstarszy między nimi przyjął nas uprzejmie, i poczęstował świeżem mlekiem, do którego dodawszy doskonale kukielki kupione w ostatniej karczmie, wyśmienitą mieliśmy wieszczę. — Wkrótce poschodzili się Johasi, czyli młodszy pasterze, każdy z nich zagnał owce w właściwe legowisko, każdy zdał sprawę w jakim stanie zdrowia powierzona mu trzoda zostaje, ile która owieczka mléka wydała, która ochoczą i rzeźwą, która smutniejszą była niż zwykle; — nie mogłem się wydziwić pilnej uwadze z jaką Bacza słuchając tego sprawozdania, wyrzynał drobne i rozliczne karby na wystruganym sosnowym drążku; był to jego pamiętnik, i nazajutrz podług wyrzniętych znaczków każda owca dostanie potrzebną ilość soli, lub na właściwsze wy-

pędzoną będzie pastwisko. Ojciec przysłuchując się rozmowom pasterzy dziwił się równie, jaka różnica zachodzi między chowem drogich naszych merynosów, a tych owieczek, które wystawione na deszcz, burzę, zimna, upały, bez wielkiego zachodu żywią i odzieżają swych panów. Już to prawda, że tam najlepiej każdemu, gdzie mu odwieczny porządek natury siedlisko przeznaczył, wszelkie ludzkie starania nie stworzą tej zgody między ziemią i jej mieszkańcami, którą sam tylko Bóg zaszczenia.

Znużeni podróżą, prosiliśmy pasterzy o wiązkę słomy lub siana. — „Oho! odrzekł Bacza: o taki zbytek ciężko u nas; my tu Panie ot! na gołej ziemi sypiamy; ale dla gości, to przynajmniej *cetyny* naścieniem.“ Nie znając tego wyrazu wniósłem sobie że to musi być mech, którego w górach powinny być podostatkiem; tymczasem pastuszkowie pochwyciwszy siekierki, skoczyli w bliskie świerkowe zarośle, i w krótko ogromną kupę młodych tego drzewa gałązek znieśli nam na posłanie. Rzuciliśmy się na nie w ubraniu, i co do mnie, pomimo kilku igielek co mi w rękę utkwily spałem przewybornie; tylko nazajutrz, zapewne od mocnego żywicznego zapachu z świeżej świerczyny przebudziłem się z mocnym bólem głowy, lecz i ten ustał, gdy po lekkim śniadaniu, przyszło ruszać dalej.

Postępowaliśmy szybko, bo ciągle na dół, po nad brzegiem Białejwody; rzeczka ta stanowi granicę między Galicją i Węgrami, ale niewiem dla czego nazwano ją białą, bo w niej woda ślicznego zielonego koloru. Ojciec wziął był przewodnika z *Koliby*, a ten spiewem i powieścią rozweselał nas przez drogę; ale powoli, co raz mniej mówił, nakoniec ucichł zupełnie, i już tylko szum licznych strumyków spadających z gór do koła słyszeć było można. Spójrzałem na wszystkie strony, i zrozumiałem milczenie przewodnika naszego; szliśmy obszerną doliną gdzie niegdyś las być musiał, ale teraz leżą tylko stosy drzew, które wichur z korzeniem powywracał, tu i ówdzie kilka starych świerków smutnie rozpościera konary, do koła ściany ciemnych gór ukrywają przed resztą świata tę siedzibę spustoszenia; ptaszka, muchy, motylka, żadnej żywej istoty nie widać, zdaje się nawet że powietrze ciężkie przytłacza piersi.

Kilka godzin minęło, jak w milczeniu pięliśmy się znów w górę po skalistej dróżynie, gdy niespodzianie prawie stanęliśmy nad brzegiem Morskiego oka. Nie potrafię ci opisać Zosiu com czuł ujrzawszy tę ogromną szybę wody w kamienną ramę ujętą, bo nie tylko brzegi jeziora są skaliste, lecz do koła sterczą skały tak wysokie, że ich okiem wśród chmur dosięgnąć nie można,

z każdej skały płynie z szumem bystry potok i rzuca się w jezioro, a nad każdym źródłem wieczne śniegi bieleją. Powtarzam ci siostró droga, że nie umiem powiedzieć jak mi było w duszy, cały ten obraz podobał mi się niezmiernie, ale nie mógłbym, nie śmiałybym roześmiać się wesoło, lub puste wyrzec słowo, i gdyby nie towarzystwo złożone z kilku nieznanych mi osób zwiedzające jezioro w równym z nami czasie, byłbym klęknął, i pomodlił się zduszy do tego Boga, który jednym słowem swoim, tak wielkie i piękne stworzył rzeczy.

Odetchnąwszy cokolwiek, siedliśmy na tratwę by się nieco po jeziorze przejechać, lecz woda jego burzyła się mocno, wróciliśmy zatem do brzegu w obawie, by bałwany nie zgruchotały słabego statku o skały. — Śmiejesz się pewnie Zosiu, wiedząc że Ojciec i ja nie źle pływać umiemy, ale ci wyznam, że wołałbym płynąć przez morze, niż przez to jezioro, które podług powszechnego mniemania dna nie mając, nie mogłoby utonionemu nawet dać spoczynku.

Zwiedziliśmy zatem zasy śniegowe, i tu bardzo mi się przydały odbywane w domu ćwiczenia gimnastyczne, bo się do śniegów dostać inaczej nie można jak skacząc po urwiskach dość od siebie odległych. Nie rozumiem jakim sposobem zasy te, czyli *zleby* (jak je góralce zowią).

nie topnieją pod promieniami słońca, ale dziwnego doznawałem uczucia, kiedy twardym śniegiem chłodząc sobie ręce i czoło, wspomniałem, że o kilka godzin drogi zielenieją drzewa, i dojrzewają kłosa, i powtórzyłem w duszy, „Dziwne są sprawy Boga.“

Pod wieczór, zziębnięci i zmęczeni wróciliśmy do *Koliby* najbliższej Morskiego-oka. — Pastérze przyjęli nas gościnnie do dużego ogniska; z ich strony ser i mleko, z naszej chleb i wino, które Ojciec wydobyl z tłumoczka, złożyły wieczere dla wszystkich smaczną, a dla nas miłszą zadowoleniem gospodarzy. — Nie widziałaś nigdy Zosiu kochana takiej prostoty; trudnoby uwierzyć nie widząc, jak ci ludzie mało potrzebują. — W Kolibie oprócz jedynéj ławy drewnianéj nie obaczysz innego sprzętu; kilka skopków drewnianych, gliniane misy i blaszane łyżki do zbierania mleka, to całe ich dostatki. Od początku wiosny aż do późnéj jesieni żyją w górach, gdzie obfitszą dla owiec paszę znajdują, a całym ich pożywieniem jest tylko mleczywo, i w wielkie święta owsiane placki pieczone w popiele. Prózno by tu szukać tego porządku i czystości które tak lubisz w włościach naszych, ale za to obyczaje patryarchalne. Johasi, czyli młodszy pastérze bywają zwykle synami, braćmi, lub mężami niewiast zamieszkujących przez rok cały chaty podgórze, nie-

kiedy najętymi od licznej gromady do pilnowania trzody, niekiedy strzegący swęj własności; jednakże żyją w największej równości i zgodzie; posłuszni we wszystkiém *Baczy* najstarszemu wiekiem, lubo często najuboższemu.

Bacza jest rzeczywiście panem gór; spędziwszy w nich młodość i wiek dojrzały, zna doskonale pastwiska, umie przewidywać zmianę pogody, zbiera i suszy zioła skuteczne w chorobach, a zachowując w pamięci dawne zwyczaje i zabobony, korzystając z rozmów odwiedzających go podróżnych, gromadzi w swęj głowie zapas rozlicznych wiadomości, i niemi nad prostymi sąsiadami swęmi króluje. W wioskach otaczających podnoża gór, nie minie żadna uroczystość, nie odbędzie się ważniejsza praca bez zasięgnięcia porady *Baczy*. I nie żalują tego wieśniacy; mało bowiem przykłałów by przepowiednia jego zawiodła. Nie żaluje i *Bacza* swych trudów, bo za dobre słowo wpada w opałkę jego to grosik, to placek, to (kiedy przysługa ważniejsza) kawał płótna białego i pas skórzany. Tym sposobem, lubo na pozór nic nie posiadając, prosty pasterz w ciągu długiego życia, do znacznych dojść może zbiorów, a ciemny lud nie badając źródła dostatków, których mu sam dostarcza, zowie go z cicha świętym, lub głośnięi czarownikiem.

Przenocowaliśmy w gościnnęi Kolibie, już nie

na cetynie, lecz na grubych burkach poczciwych Johasów. — Rano gdyśmy już w dolinę wracali, spotkało nas mnóstwo kobiet i dziewcząt, jadących na maleńkich konikach z drewnianymi siodełkami; spieszyły one napęłnić drewniane naczynia młkiem potrzebnym do całodziennego pożywienia w domu; wszystkie wesołe, hoże, śmiejące; dziewczęta z długimi kosami, niewiasty w białe otulone rąbki, jedna z nich trzymała przed sobą dziecię, które z tryumfem ukazywało nam sporą pszenną kukielkę.

Czy twego pieczywa ta bułka? spytał żartem mój ojciec. — Nie Panie! to mi Chrzestna aż z czwartej wsi przywiezli. I komuż ją wieziesz dziewczeczko? — Ojcu! a komużby? — spytała. I dasz mu ją całą? caluchenką mój Jegomość; toć tatulo całe lato siedzą na górze żeby nam w chacie dobrze było, a my by jemu biednej kukielki żalować mieli!... Ojciec ucałował dziewczynkę, a schodząc z góry długo jeszcze mówiliśmy, jak dobrymi i cnotliwymi muszą być ci ludzie, kiedy tak małe dzieci umieją cenić trudy rodziców, i odwdzięczać się za nie.

Chciałbym tu mieszkać w Karpatach, czuję że w takich okolicach, między takim ludem, byłbym lepszym daleko. — Szkoda tylko że to tak od matki i ciebie daleko. — Bądź zdrowa Zosiu kochana; wróciwszy do Krakowa znów do ciebie

napiszę, bo teraz jesteśmy w wiosieczce o milę od miasta leżącej, gdzie ojciec zboże kupuje, i do jutra zabawi. —

Stanisław.

LIST II.

Zofja do Stanisława.

Dzięki ci braciszku za list tak długi i miły; odebrałam go wczoraj, i mamże ci wyznać? czytając opis twojej po Karpatach wędrówki, smutno mi się zrobiło, i zaczęłam ubolewać że i ja ojcę towarzyszyć w podróżach nie mogę. — Kochana matka widząc mię w tak niemilém usposobieniu, najprzód łagodną swoją mową zaczęła mię przekonywać, że można się czasem więcej ucieszyć przyjemnością miłej nam osoby, niż naszą własną, a dokazawszy tego, przypomniała mi sposób najszybszego podróżowania, nie wychodząc z pokoju. Znasz Stasiu podróż po myśli i wspomnień kolei, odbywalismy ją nieraz wspólnie do koła mieszkania, i każdy sprzęt, każda drobnostka przenosiła nas do innego kraju, do innej części świata, czasem w wnętrzości ziemi, niekiedy na najwyższych gór szczyty. — Dom nasz nie jeden jeszcze zawiera przedmiot, mogący otworzyć pole

do nowej po świecie podróży, ale ty wędrujesz, nie obce kraje lecz naszą zwiedzasz ziemię, i ja wędrować chciałam. Skoczyłam więc do pokoju babuni; tam wszystko najbliższe, rodzinne przywodzi wspomnienia, tam pewną byłam że myśl moja z twoją się spotka. — Byłóż tak w samej rzeczy? przeczytaj i osądź.

Usiadłam w obszernym krześle babuni, i puściłam myśl w pogoń za jego przeszłością. Pamiętasz jak gdyśmy jeszcze maleńkimi byli dziećmi, w krześle tém siadał dziadunio, i słuchającym u nóg jego rozповідаł podróże i przygody długiego swego życia. Na tych czarnych dębowych poręczach ileż razy spoczęła spracowana ręka, a to włosienne wystanie zielonym adamaszkiem pokryte, ileż razy piastując sędziwą głowę starca, pochwyciło jego myśli i słowa! Nawet ów adamaszek którym za mojej już pamięci babunia to ulubione krzesło obić kazała, nie mało przeżył czasu, nie jeden kącik naszego kraju zwiedził w postaci ogromnego robronu. Do iluż to miejsc świętych jeździła w nim pobożna babka nasza, ilu i jakich gości przyjmowała w swym domu, może też nie raz jak my dzisiaj umiałała nim podłogę w posuwistym tańcu? — Tuż przy mnie kołowrotek; — na nim, wczoraj uprzedzona nitka lnu cienkiego błyszczy jak jedwab, a za nią snują się wszystkie jej poprzednice. Na tém kółku

uprzedła babunia najpiękniejszą naszą bieliznę stołową; z tąd wyszły cieniuchne rąbki na kościelne obrusy, pokrywające dziś ołtarze Pańskie na kilka mil do koła naszego domu; — tu nieraz i grubsza przewijała się nitka, a potem w płótno zmienioną roznosiliśmy ją po biednych włościańskich chatach, i odbierali błogosławieństwa nie nam należące.

Znasz stary kłęcznik Stasiu co stoi w rogu pokoju? Patrząc na zawieszony nad nim obraz Matki Boskiej co niegdyś miał należeć do polowej Sobieskich kaplicy. Przeniosłam się pod Chocim, Żurawno, Trembowłę, i słyszałam tureckie surmy, barbarzyńskie okrzyki, widziałam turbany i półciężyce z jednej strony; z drugiej: nasze rycerstwo z obnażoną głową z napół dobytym orężem ukorzone w obliczu Boga, i przed matki Jego obrazem dzwicznymi głosy śpiewające „pod Twoją obronę“. Na kłęczniku leży Psalterz Dawida, przekładu Kochanowskiego. — Poszłam za nim do Czarnolasu. — Widziałam poetę siedzącego pod odwieczną lipą, widziałam jak pieścił miłą swoją Urszulkę, i potem, potem jak z cnotliwą żoną gorzkie łyż nad stratą lubego dziecięcia wylewał. — Widziałam go gościnnie i ochoczo przyjmującego sąsiadów; słyszałam z ust jego wesołe, ale poczciwe żarty; widziałam jak się gotował stanąć w sprawie przy-

jaciela przed tronem Królewskim, i w koncu, — jak z wzruszenia, wysilenia, padł bez życia w sali sądowej! — I temu to człowiekowi, czy uwierysz Stasiu? Janowi z Czarnego — lasu zaprzeczają dziś imienia narodowego pisarza. Z boleścią to w nowój jednej wyczytałam książce. Wszystkie pisma jego są przecież wiernym własnych uczuć i życia obrazem, a czyjeż jeśli nie jego życie prawdziwie po polsku spłynęło.

Filizanki z saskiej porcellany, poprowadziły mnie nieznacznie do Warszawy. — Spójrzę, wszędzie warze aż nadto rumiane, czapki z fantazją, czupurne miny. — Wesolo wszędzie, ładne babciki snują się po Wiśle przewożąc na saską kępe lubowników świeżego mléka. — W ogrodzie przy saskim pałacu, panowie strzelają do tarczy gwoździkami nabitój, w błękitnym pałacu bal po balu następuje, ale mi tu jakoś nie rażno, bo wszystko sztywne wymuszone, a ja tego nie lubię.

Ah! otóż i portrety dziadka i babuni, pędzla Bacciarellego! — przyznaj braciszku że ze mnie wielka włóczęga; idę do jego pracowni. Wielką jest władza Artysty. Patrz! przed nim niewzruszenie siedzą mężowie sławni radą, nauką, gienijuszem; król zstępuje z tronu, i pozwala malarzowi układać podług woli ręce co berło piastują. — niewiasty słynne z wdzięków i cnoty oglądają nań z uśmiechem, a on kilkoma po-

ciągami pędzla przenosi na płótno ich rysy, ruchomy wyraz twarzy przytwierdza na wieki, na czole i licach pisze niestartými głoskami jaka dusza ożywia tę ziemską powłokę, a późne jeszcze wieki w obrazach jego jak w księdze czytać będą mogły! — Szkoda, wielka szkoda że ja najmniejszej do malarstwa nie mam zdolności, możeby kiedyś za tymi których bym malowała, i moje imię przeszło do potomności. — Ale zapominam się; — sława dla kobiety jest to sprzęt zbytkowy. I podobnie jak niegdyś Kochanowski niechciał kasztelaństwa wpuścić do domu swego, tak każda kobieta powinna życie swoje przed tym świetnym gościem zamykać, który nie tylko że szczęścia nie przyniesie, lecz spokojność zatruć może.

Teraz Stasieczku, jeżeli idziesz za mną po wszystkich teremach, pofatygujesz się daleko. — Oto szkatułka cedrowa. Gdzież się jój życie poczęło? przez jakie przeszło koleje? czy ją zrobiono ze szczątku kolumny Jerozolimskiego kościoła, czy z ściany Salomonowego pałacu, czy też prosto na Libanie odcięto gałąź ogromnego drzewa? — Prowadziłeś mię z sobą w Karpaty, pójdźże ze mną na szczyt Libanu; a podaj mi rękę bo droga przykra i stroma, bo nogi w kruchym grzęzną śniegu. — Spoglądaj do koła bracie, żeby czasem Druzów gromada nie napadła nas w wą-

wozie. Ale nie; wszystko ciche, spokojne, tylko z daleka wielki wodospad szumi i huczy. — Stronami, na górach jak orle gniazda leżą drobne wioseczki, dalej ogromne przestrzenie śniegów i lodów wznoszą się jak lekkie białawe wyziewy. Wyżej jeszcze, na półkulistej płaszczyźnie wznoszą się sławne Cedry zdobiące czoło Libanu jak wiecznotrwała korona. — Drzewa te, najświetniejsze i najprostsze z pomników świata uczciła zarówno religja, historia, i poezja. — Patrzymy na ich szczątki, bo co raz zmniejsza się ilość Cedrów na Libanie; dawniej mówiono o czterdziestu, przed kilkunastu latami było ich siedemnaście, dziś siedm ich tylko zostało. — Ale cóż to za widok! na ogromnej równinie śniegiem zastanej w głębokim milczeniu klęczy tłum ludu, a na przedzie, na prostym, z pni omszonych ułożonym oltarzu, kapłan Mszy Świętej ofiarę odprawia. — Uroczystość ta odbywa się tu rzeczywiście co rok w miesiącu czerwcu, nie jest to więc złudzeniem. — Klękniemy. — Ah! jakież uczucie zajmie serce nasze w obliczu tych drzew, o które się już tyle modłów obilo, w przytomności tych prostych i dzikich górali, którzy czują jednakże, że nie ma w świecie piękniejszej i bliższej nieba świątyni nad ten ostatni szczyt Libanu; nie ma wspanialszego oltarza nad pień tych Cedrów co tyle pokoleń cieniem swym za-

słaniały, i tylu jeszcze wiekom imię Boga powtarzać będą. — Lecz z kądże tu turbany i burnusy? skąd Arabowie przy chrześcijańskim obrzędzie? — Nie w złym zapewne zamiarze, bo siedzą spokojnie, a ręce na znak uszanowania, to na głowie, to na piersiach składają. Prawda! i oni z pierwszego dzieciństwa czczą i wielbią Cedry Salomona, nie tylko jako pamiątkę i dziwne natury zjawisko, lecz jak istoty czującą obdarzoną duszą. Wierzą nawet że życie swoje objawiają wstrząsaniem konarów, ściskaniem lub rozszewnianiem gałęzi. Ale cóż dziwnego, że prości mieszkańcy wschodu bujną obdarzeni wyobraźnią schylają czoło przed temi olbrzymi, kiedy nasi uczeni, z czcią i podziwieniem patrzą na ich życie tam gdzie w śniegach wszelka roślinność ustaje... Może się za daleko zapędziłam! Wroćmy więc.

Na kominku stoi żółty gliniany, w Częstochowie kupiony dzbanuszek; — pójdiesz ze mną na Jasną górę? Oto kompanja jedna za drugą po śpiesza, każda z chorągwią, ze śpiewem pobożnym, rozlegającym się na kilkadziesiąt mil drogi. Starcy, niewiasty, młode i słabe dziewice idą pieszo, by przy obrazie Matki Boga łaskę Jego uprosić. — Otóż i Częstochowa! co tu kramów, budek, a wszędzie różańce, skaplerze, krzyżyki, obrazki; — wyżej droga po niej snują się pobożni,

a coraz to inny ubiór, inna mowa; tu Mazur, tu Morawiak, tu Krakowiak zamaszysty, tu Czech melanholiczny, odcieni tysiące w obyczajach, charakterze, lecz jedno uczucie pobożności. — Widać już dobrze Klasztor, szczątki szaniców pamiętne dzielną przeciw Szwedom obroną stoją jeszcze. — W kościele cudowny obraz jaśnieje światłem i bogactwem, a w skarbcu, ileż pamiątek, ileż szat i ozdób szytych rękami rodaczek, księżeń, królewien naszych! ile... ale otóż i po wędrowce bo mię matka wzywa do siebie.

...Powracam do ciebie Stasiu z nową, lecz tą razą już prawdziwej wędrowki, a raczej pielgrzymki. — Na zawołanie matki wszedłszy do salonu, zastałam... zgadnij kogo? Bartosza któremu Bóg przed tygodniem dał syna; przyszedł mię prosić w kumy. — Domyślasz się, jak ochotnie przyjąłam te zaprosiny, a ponieważ zostawiono mi wybór kuma, zaprosiłam starego Strzeleckiego. — Dziwnymci się może wyda mój wybór, a może uciążliwym dla biedaka, który jedną mając rękę z trudnością w kościele dziecko mógł utrzymać; ale miałam ważne do tego powody. — Biedny starzec niedawno żyje w naszej włości; ubogi, spokojny, bez rodziny, zbyt samotne pędzi życie; — chciałam go choć z jedną chatą świętym połączyć węzłem. Przywykły dostarczać sobie wszystkiego, teraz nawet w nie-

dostatku nie udał by się do możniejszych po wsparcie, jako kuma jego, będą miała prawo wéjrzeć czasem w jego położenie, i osłodzić ostatnie dni skołatanego życia. — Matka potwierdziła mój zamiar, i natychmiast poszliśmy do kościołka, dla dopełnienia świętego obrzędu chrztu Nowy członek przybył Chrześcijaństwu, a mojej pieczy dwie słabe istoty wyobrażające początek i koniec ludzkiego życia.

Chciałam iść jeszcze do babuni pokoju, ale podobno dość na dziś tych podróży będzie. Tylkoż Stasiu przez wzgląd na sumienne moje odpłacanie się tobie, pisuj do mnie jak najczęściej, a pisuj długo, szeroko, bo ja krótkich listów nie lubię.

Dobremu naszemu ojcu oddasz listy które razem z moim odbierzesz; w tę samą kopertę wkładam kilka słów do ciebie od babuni, i kochanej matki.

Zofja.

Paulina Kraków.



ANIOLEK BEZ SKRZYDEŁ.

(Z RYCINĄ.)

W wielkim jednym lesie mieszkali węglarze; było ich kilkunastu; — każdy przez dzień cały pracował nad wypalaniem węgla, a na noc szedł spocząć w małej budce, którą sobie z chróstu i gałęzi wystawił. Nędzne to było życie, ale prości i pracowici ludzie nie żalili się na swoje położenie, i nie raz nawet kiedy wiatr świszczął pomiędzy liśćmi można było dosłyszeć, wesołą piosenkę którą sobie mozolną umilali pracę.

Jeden z owych węglarzy miał żonę i małego synka; — ciasno i zimno im było w chróścianej budce, on też wziął się szczerze do pracy, i przy pomocy uczynnych towarzyszy, wybudował sobie drewnianą chałupkę, pozatykał szpary mchem, wylepił wewnątrz gliną, aby zimno nie dochodziło, w kącie wystawił nie duży kominek, w drugim kącie siedzenie z mchu i suchych liści, a kiedy nadeszła zima, kiedy śnieg pokrył ziemię, i szron padł na drzewa, mały Pawełek miał już gdzie się bawić, i miękko i ciepło mu było.

Matka Pawełka, węglarka, dobra, pilna kobieta, krzątała się przez dzień cały około domu, gotowała posiłek dla męża i jego towarzyszy, bo z nich żaden nie miał w chacie gospodyni, prała bieliznę, naprawiała odzienie, a zawsze najprzód myślała o synku; jemu najsmaczniej sporządzała obiadek, jemu najcieplejsze dawała sukienki, a kiedy przy robocie spieszyć się bardzo nie potrzebowała opowiadała mu o Bogu, o aniołkach, spiewała piosneczki, i bawiła go różnemi sposobami, bo to matka czy bogata, czy uboga najszczęśliwsza kiedy jej dzieci wesołe, kiedy im na niczém nie zbywa.

Ojciec Pawełka poczciwy ale biedny; nie miał konia ani wozu; — co węgla upalił to tylko w pobliżu workami na ramionach różnosił, i licha bardzo miał zarobek a pracy dużo, osobliwie w upały; — dopiero w zimie, kiedy się droga śniegiem zabieliła, układał swój towar na małe sarneczki, i bez wielkiego już trudu wiózł go do miasta. — W zimę też daleko lepiej się działo w węglarskiej chałupce; — co niedzielę ojciec przynosił z targu dostatkami soli, słoniny spory kawał, czasem pytlowego chleba bułkę, a nawet raz, (oj już znać że bardzo dobrze węgle swoje sprzedał) raz tedy mówię wam, przyniósł Pawełkowi obrazek!... Co też to było uciechy!... ale bo i obrazek był prześliczny. Na błękitnym jak

niebo papierze wymalowano krzyż, a w koło krzyża pełno aniołków z ślicznymi białymi skrzydełkami, z jasnymi włosami, z rumianą twarzą, a usteczka różowe jakby do śpiewu otwarte mieli.

Uszczęśliwiony Pawełek nie mógł im się napatrzeć, nie mógł się wydziwić ślicznym i jasnym kolorom obrazka; — was moje dzieci nie tyle by to wszystko bawiło, ale Pawełek nie tylko malowanych, lecz nawet zwyczajnych ludzkich twarzy nie widział; oprócz węglarzy nie znał nikogo, a oni przez dzień cały stojąc nad drzewem co się tli pomału, poprawiając je drągami, układając węgle w wory tak się zawsze okopca, zasmolą, że nawet po umyciu twarz ich zachowuje ciemną barwę, i posępny wyraz; matka Pawełka także nieraz pomagając mężowi, lub przy dymnym stojąc kominie, nie bardzo z białości żdo aniołka podobną była, a chłopczyna choć sam świeży i rumiany nie znał sam siebie, bo w domu zwierciadła ani kawałka nie było.

Tak więc jak już mówiłam podobały mu się niezmiernie aniołki, prosił matki by mu obrazek nad postaniem zawiesiła, patrzył na niego często, a wypytywał gdzie aniołki mieszkają, co robią, czy każdy z nich ma własne imię, czy czasem na ziemię przychodzą? a dowiedziawszy się że są aniołki pilnujące dobrych ludzi, starał się być grzecznym i cichym przez dzień cały, i za to też w nocy

śniło mu się że spoczywa pod świecącemi skrzydłami anioła.

W tak miłym zajęciu minęła zima, — stopniały śniegi, na drzewach pączki się pokazały, a na ziemi trawka zielona. Jednego ranka, Pawełek wyszedł z chałupki, a widząc wszystko tak piękném, tak jasném szedł coraz dalej w las, to za świeżą sasanką, to za robaczkciem, to za muszką złocistą, i wyszedł aż nad brzeg lasu, skąd gościniec widać było. — Tu przerwała się uciecha i wesołość jego, bo niedaleko usłyszał jęki i westchnienia; — obraca się, i spostrzega pod drzewem zgarbionego staruszka, który nazbierawszy sobie w lesie gałęzi, związał je sznurem i założył na ramiona. — Biedny starzec znać słaby i zmęczony, nie mógł iść dalej, siadł więc sobie pod drzewem by wypocząć trochę, lecz posiedziawszy ociężał bardziej, i już się nie mógł podnieść z brzemieniem, chciał je zdjąć, ale sznur nie ostrożnie na piersiach związany zaciągnął się w ścisły węzeł, i nie było już rady. — Starzec wzdychał i wyrzekał, Pawełek zbliżył się do niego, podał mu rękę, chciał drobnemi paluszkami splątany sznur rozciągnąć, lub podnieść ciężką wiązkę, lecz próżno, stanął więc smutnie nad starcem i myślał jakimby mu sposobem dopomódz alie między drzewami mignęło coś jasnego, i śliczny aniołek stanął przed staruszkiem. W białej

był sukni, z jasnymi włoskami, oczki tak miał niebieskie, twarzyczkę rumianą jak na obrazku Pawełka, tylko mu jeszcze skrzydełek brakowało.

— Cóż to wam Macieju? spytał staruszka.

— Oj mój aniołku! bięda mi oto! nie mogę tych gałęzisków ni dzwignąć ni zrucić.

— To ja wam pomogę; zawołał aniołek, i zaczął żwawo wyciągać po gałązce z za sznura dopóki połowa brzemienia nie ubyła, potem podał rączkę starcowi, podniósł go, pozbierał połowę rozproszonych gałęzi, zarzucił je sobie na ramię i śpiewając wesoło poszedł wążką dróżyną, za nim staruszek dziękując i błogosławiąc, a za starcem zdaleka biegł ciekawy i zajęty Pawełek z resztą suchych gałązek.

Jak doszli do gościńca, od którego nieopodal stała chatka maleńka, pochylona, nędzniejsza jeszcze od węglarskiej chałupki; przed nią się starzec zatrzymał, i zaczął aniołkowi dziękować; na głos jego wysypało się z chatki dzieci kilkoro skaczą, klaszczą w ręce, a wołają dziadunio! panielka! a aniołek z kieszeni dobywa bułeczkę i rozdziela ją dzieciom. —

W tej chwili nadszedł zmęczony Pawełek, i złożył przy drzwiach przydzwiganą wiązkę.

— Cóż to za chłopczyna? spytał aniołek. —

— Niewiem dalipan! odrzekł staruszek, znać jakaś dobra dziecina, bo mię także podnieść chciała. —

— Czyżżeś ty chłopczyku?

— Kaspra węglarza.

— To ja go znam!

— Znasz go aniołku?

— Znam, a jak się nazywasz?

— Pawełek. — A ty aniołku jak się nazywasz?

— Jam nie aniołek: — odrzekł z uśmiechem.

— O ja wiem że się aniołki do tego przyznawać nie chcą, ale ja ich znam, i ciebie poznałem.

— Ale dla czegoż rzekł zdziwiony pomocnik staruszka, dla czegoż ja mam być aniołem?

— Boś podobny do tych co są na moim obrazku, i dobrym ludziom pomagasz.

— Prawdę mówisz dziecino! zawołał starzec, prawdziwy to anioł, gdzie tylko bieda, wszędzie z radą i pomocą pospieszy. Zarumieniony aniołek poskoczył w las, i niezadługo znikł z przed oczu Pawełka, a ten pożegnawszy starca i jego wnuczki, wrócił zamyślony do domu; — lecz już nie patrzy na listki, na muszki, tylko myśli o aniołku

co zna jego ojca, jaki piękny, jaki dobry, a jak sobie prędko poradzić umiał. W tém zamyśleniu nie spostrzegł nawet, że matka niespokojna długą jego wycieczką, wyszła na spotkanie syna; — ujrzawszy ją w reszcie, zaczął opowiadać swoje spotkanie. Matka słuchała go z uśmiechem, a gdy skończył, rzekła:

— I jam tego aniołka widziała moje dziecię.

— Ale czemu on skrzydeł nie ma? matulu.

— Jemu skrzydła nie potrzebne, bo nie w niebie, ale jak my na ziemi żyje.

— A jakże się nazywa?

— Lina.

— Nie mówiliście mi matulu o takim aniołku!

— Bo też to nie istotny niebieski anioł, ale córka tej dobrej pani, co to o niej nieraz ojciec powiada.

— A czemuż ją aniołkiem nazywacie?

— Bo dobra, pobożna, litościwa, a takie dzieci, to i Pan Bóg i ludzie jak prawdziwych aniołów kochają.

Pawełek raz się jeszcze zamyślił; — żał mu było że nie prawdziwego widział anioła, ale od-tąd już nie pytał o tych co na obrazku malowane były, tylko o młodą Linę, co ona robi przez dzień

cały? jak się modli, jak matki słucha? jak biedniejszych wspomaga? bo choć małeńki, poznał że łatwiej jest żyć tak jak Bóg nakazał, niżli mu w obłokach śpiewać, łatwiej każdemu dziecku być ziemskim, niżli niebieskim aniołem.

Paulina Kraków.



PIĄTACZEK.

— 29 —

Jam jedynaczek, Mamo kochana
Wszakże jednego masz syna;
Rzekła zawiścią pieczęt rumiana
Do Matki swojej dziecina.

A trzeba wiedzieć że siostry dziatki
Matka za własne przybrała,
I wszystkie sercem kochała Matki,
Wszystkimby serce oddała.

„Ej co też dziecię u ciebie w głowie,
„Ty myślisz żeś jedynaczek,
„Czworo przed tobą“ Matka odpowie“
„A tyś dopiero piątaczek.

Uwierzył synek w świętej pokorze
Braciszków siostry całował,
I oko nad nim czuwało boże
I pięknie zdrowo się chował.

Bo kto pierwszeństwa w sercu ustąpi,
Nikczemną zazdrość przytłumi,
Temu Bóg łaski swojej nie skąpi,
Stokroć nagrodzić to umie.

Stanisław Jachowicz.



DO JASKÓWKI.

Witaj nam, witaj, jaskółko miła!
Nadobna posłanko wiosny
Przecież się przecie u nas zjawiła,
Jakże twój powrót rodosny.

Jak niegdyś było w oknie méj chatki
Ulepże sobie gniazdeczko,
I w nim spokojnie wychowaj dziatki
Luba moja jaskółeczko.

A za komorne w rannéj godzinie
Wdzięczną mi piosnkę zanucisz. —
A potém znowu, jak wiosna minie
Z przyszłą tu wiosną powrócisz.

Teraz ca-rychlěj o, jaskółeczko!
Bierz się do swojej roboty;
Niezawsze jasne świeci słońeczko
Wszak mogą nadejść i słoty.

O jak-to miło, ptaszyno moja,
Mieć wtedy zagrodę własną;
Chociażby małą, chociażby ciasną,
Byle tylko była swoja.

Marya M.



PAMIĘTNIKI LALKI.



I.

WSTĘP.

Dawno, bardzo dawno jak tylko zapamiętać mogę znajdowałam się w sklepie jakiegoś zamożnego kupca w niemieckiej krainie; długo na półce w szklanej szafie spoczywając przeglądałam ciekawie na przechodzące panienki i panie — i one czasem spójrzały, ale że nie nęciły do mnie ani piękne sukienki, ani bogate stroje; panie minęły, przeszły panienki, a ja zostałam sama.

Nareszcie jarmark się rozpoczął, nazjeżdżało się gości z różnych stron świata; zaczęto dla obcego pana pakować lalki i mnie do tuzinów doliczono.

Daleką odbyłam podróż, długą mi się przynajmniej bardzo wydawała; ciekawościem dziatki, myślicie że wiele, wiele o niej opowiadać wam będę, więc was przepraszam zawczasu: żadnego z podróży nie przywiozłam dziennika — bo... bo... moje jasne splety, moje delikatne rączki potrzebowały starannej bacności. W dużym więc pudle na mię-

kięż ułożona bawełnie, z twarzą owiniętą papierem przyjechałam aż do samej Warszawy.

W pięknym bogatym sklepie na Krakowskiem Przedmieściu położono mnie z innymi lalkami, mróz był dokuczliwy, a ja bez odzienia przeziębła i drżąc patrzyłam litościwie czy jakie dobre dziecie w ciepłą mnie nie ustroi sukienkę.

Przyszła jakaś pani nie wiem czy litość czy moja rumiana twarzyczka do wyboru ją nakłoniła, i przeniosłam się na drugą stronę Warszawy.

Ta pani była opiekunką sierot Dobroczynności, na ich korzyść grzecznym dzieciom stroiła lalki na kolendę; a że jestem blondynka a ona blondynki lubi, ja więc najświetniejszą dostałam sukienkę, białą atlasową, wieniec z białych róż na czolo i gazową prześliczną zasłonę. Musiałam być piękna kiedy aż uśmiechnęła się pani przypinając ostatni bukiet do ślicznej mojej sukni.

Było w tym domu dwóch chłopczyków i dwie grzeciuchne panienki — obchodziły ciekawie duży stoł napelniony jasnemi i świecącemi kawałkami, ale obchodząc rączki złączyły za sobą, oczkami tylko dziwiąc piękność kolorów.

Ach moja ciciu mówiła najmłodsza jakie masz gałganki bogate, a jakie śliczne lalczki, ale ich ruszać nie można, bo to lalczki nie nasze, sprzedadzą je bogatym panienkom a za to będą ciepłe

sukienki, dobry chlebek dla biednych dzieci co nie mają ani tatki ani mamy, .. ani cioci nawet... i po tych wyrazach oczko jój łezką zabłysło — już się rozplakać chciała, kiedy dobra pani ukończywszy moje ubranie błysnęła jój mną zdaleka.

Poskoczyła dziewczeczka, i roztwartemi ramionami do serdecznego uścisku się zamierzyła, ale nagle jakaś nowa myśl przebiegła jój po główce i tylko ostróżnie w rączkę mnie pocałowała. — O kochane dziecię! pomyślałam jakżebym chętnie do serca Cię przycisnęła! Ale kiedy mimo usiłowań ruszyć się z miejsca nie mogłam, trzeba się było wyrzec lubej chęci i stojąc wyprostowaną na stoliku spoglądać tylko z daleka na ukochaną panienkę.

O wy dzieci nie wiecie jak to czasem przykro być lalką. Patrzeć, czuć, myśleć, a nie módz najmniejszym słowkiem, najdrobniejszym poruszeniem objawić myśli swojej!

Kilka dni stałam u dobrej pani — i chętnie byłabym nazawsze u niej została — bo tam tyle dobrych dzieci! —

Ani jednej nie słyszałam skargi — ani jednego nie widziałam grymasu, wszystko cicho, spokojnie, grzecznie się odbywało; — starsze młodszym były przykładem, młodsze chętnie starszych słuchały. — Nauka szła pilnie, zabawa wesoło. O to raj między takimi dziećmi!

Ale trzeba było je pożegnać — i dzieci serdecznie mnie żegnały, najmłodsza nawet oknem wyglądając od buzi, do powozu, jeszcze pocałunki mi słała.

Ciekawam była bardzo i Dobroczynności sklepu i lalek które tam zastać miałam, jak często dzieci mówiły — z wielką więc radością spostrzegłam zatrzymujący się powóz.

Jakże zachwycający był widok dla mnie ujrzyć się w pośrodku tylu strojnych pań, panienek, chłopczyków i panów, wieśniaków i księżąt, i arlekinów i bożków. —

O kto nie widział lalek na Dobroczynność ubieranych, niech bardzo żałuje. —

Najbogatsza ze wszystkich była poważna księżniczka, w rogówce, w krezach, na suto haftowanej rozparta kanapie, a przy niej śliczne koleczko do przedzenia. Niedowierzający mazur z pod oka spoglądał na nią — pochyloną głową jakby chciał przeczyć że te złotem obciążone rączki, te w jasne atłasy obciśnięte nóżki nie do kółka są stworzone wcale. Ej chyba sąsiedni modniś szepnął mu że to na maskaradę przebranie, bo do prawdy zbytoby była śmiałość wieśniaka.

Była pani w podróznym szlafrocuku, w kapeluszu, w salopie z kapiszonem, trzymająca w ręku zgrabny na klamerkę zapinany woreczek, a przy niej pewnie żegnająca mamę córeczka, różową

miała żaknocikową sukienkę krociołką, z podwójną rurkowaną falbanką i fartuszek czarny z kieszonkami, rękawiczki, chusteczkę w rękę i loczki na około głowy — i na takiej stała podstawce że za każdym poruszeniem sprężyny zgrabniutki ukłon robiła.

Był oficer ze szlifami z pałaszem w stosowanym kapeluszu — a na nim pełno krzyżyków — był i zakonnik przesuwający różaniec. —

Wiejska mamka kołysała bogatej pani dziecicę, znać to było po ubiorze i ozdobach kolebki. Usłużny żydek klaniał się wszystkim unizienie sobolową czapką. — A niemczyk kuglarz przedstawiał kubki na magicznym stoliku.

Było się czemu napatrzeć, było!

Najzabawniejsza ze wszystkiego Ochrona — piętnaście dziewczynek i piętnaście chłopczyków w rozmaitych sukienkach i nowych i starych, w czepeczkach skromnych białych mniejsze, z odkrytymi główkami starsze — wszystkie siedziały na malowanych ławeczkach trzema rzędami ustawionych, — osobno dziewczynki — osobno chłopczyki; przed niemi stał nauczyciel i matka Ochrony — z daleka tablica czarna — i dwie bogate panie opiekunki przynoszące zabawki dzieciom.

Ależ najpiękniejszej lalki byłabym zapomniała. — Oj był jeszcze krakowiak — ale to co się nazywa krakowiak. Bogata na nim sukmana. —

peleryna samém złotém szyta aż blask patrzeć przeszkadzał, i pasik brzęczący, z podkówkami buciki, u pasa kozik na sznureczku, czapeczka graniasta czerwona z piórkami i skrzypeczki do grania ułożone.

I dużo, dużo jeszcze różnych lalek — a jedna piękniejsza od drugiej. Przychodziły mamy, babuni i ciocie — przychodziły i dzieci oglądać zabawki — wybierały i płaciły — a kto nic nie kupił — to przy odejściu w puszkę co rzucił i do nas się uśmiechnął życzliwie.

Weszła nareszcie jedna pani już w samą wigilię Bożego narodzenia i mnie obrała. Serdecznie się ucieszyła bo wiercie mi dzieci — chociaż było i przypatrywać się i dziwić czemu — poznałam jak smutno zostawać pomiędzy same mi lalkami.

II.

GWIAZDKA.

Znówu zapakowana w pudle przejeżdżałam przez miasto, wszędzie było szumno i gwarno — każde głośniejsze stuknięcie, każdy łoskot podniecał moją ciekawość — jednak musiałam siedzieć cicho i milczeć, a musiałam nietylko przez drogę — ale aż do samego wieczora.

O! które z was kochane dzieci nie zna wigilii Bożego-narodzenia. Które nie wie że staropolskim zwyczajem, dziś jeszcze w wielu domach przechowanym, ukazanie się pierwszej gwiazdki na niebie jest znakiem zaczęcia sutego obiadu. Któreżby zapomniało że po tym obiedzie grzeszne dzieci od kochanych Rodziców dostają zasłużone podarki, i że ten zwyczaj z tą chwilą jakby dla wywdzięczenia się dobroczynnemu światelku co jej zbliżenie ogłasza, gwiazdką przewano.

Na gwiazdkę więc i ja przeznaczona byłam.

Przybiegła słuszna panna wyjęła mnie z pudła, obejrzała stroje i pobiegła ze mną do przyległego salonu.

Jakiż widok uderzył moje oczy! Na środku salonu, naprzeciw ogromnego zwierciadła stał duży stół okrągły. Na nim wysokie świerkowe drzewko, ustrojone mnóstwem zapalonych świeczek, gałązki jego zakończone złożonemi orzechami, unosiły na sobie czerwone jabłuszka, i koszyczki pełne cukierków i różnych łakotek.

Po prawej stronie drzewka stała prześliczna gotowalnia maleńka, na niej poduszeczek, flakoników, świecideł, kwiatów bez liku, przed zwierciadłem w dwóch lichtarzykach błyszczących zapalone olbrotowe świeczki—a przed gotowal-

nią wygodne axamitem pokryte krzesło z poręczami.

Po drugiej stronie stał kocyk zgrabny ze spuszcżającą się budą i zamykanemi drzwiczkami—konik osiodłany, z kółkami u nóg—biczek—i szabelka z pendentem.

Posadzono mnie na krzesle przed gotowalnią, spojrzalam w zwierciadło i zaczęłam rozbierać piękność mojego ubioru; kiedy nagle radośny okrzyk prowadzonych przez matkę dwojga dzieci rozległ się po salonie.

Wandzi i Stasiowi mówiła matka wskazując kolejno na dwie strony oświetlonego drzewka; a dzieci radosne zanim przybiegły cieszyć się ślicznymi podarkami—wprzód całowały ręczki kochanej matki—wprzód dobremu tacie dziękowały.

O co to było radości! Ile razy każda drobnostka obejrzana, pochwalona—jak drogo cennione wszystkie!

Wandzia najbardziej lalką się cieszyła, Stasiowi najwięcej konik się podobał.—A ja spojrzawszy na miluchną dziewczynkę która mnie z takim czuciem pieściła, znów żalowałam że lalką jestem, że jój uściskiem odplacić nie mogę.

Ach bo też to był prawdziwy aniołek—ta Wandzia. W białej sukience, z jasnymi w loczki spuszcżonemi włoskami, i z śliczném niebie-

skiem oczkiem przez które jej anielska dusza spoglądała.

Ośm lat miał Stasio, a Wądzia właśnie w dzień Bożego-narodzenia kończyła rok siódmy—do gwiazdki więc inne życzenia i podarki się dołączyły. — Od babuni zastawa do herbaty i serwis porcelanowy — od wujaszka trzy tomy nowych powiastek Jachowicza, — a od starszej siostry przeslicznych rozmaitych kawalków pudełko, i obrazki do historyi polskiej.

Przytém, mama chcąc zrobić przyjemność grzecznej Wądzi, zaprosiła na ten dzień wiele znajomych dzieci. Wszystkie z kolei podziwiała bogate podarki i winszowały tej co na nie zasłużyć umiała,

Panna Helena, starsza siostra Wądzi radziła dzieciom aby potańcowały trochę — kazała więc sprzątnąć oświetlony stolik, a sama zasiadła do fortepianu i zaczęła grać walca.

— Polskiego! wołały dzieci: polskiego prosimy—Wądzi lalka ubrana jak panna-młoda, niech dzisiaj będzie jej wesele; ona rozpocznie tańce.

— A gdzież pan młody? zapytał figlarny Stasio.

— I bez pana-młodego będzie wesele; odpowiedziała Wądzia.

O tak! wesele, wesele! wołały wszystkie dziewczynki, i posadziły mnie na wspaniałej kanapie. Wądzia ułamała kilka gałązek zielonych z wa-

zoników, po przypinała je panienkom do sukien; kilka chłopczykom podała; — Staś drożył się z początku, nie chciał być drużbą na lalki weselu, ale kiedy huczno zagrzmiała muzyka, a wszystkie oczy na niego się zwróciły — przybliżył się — i ukłonem do tańca mnie wezwał. — Baczna Wańdzia obawiając się aby nie obraziło go sztywne moje siedzenie, podniosła mnie prędko i z powagą podała mu lewą moją rękę.

Rozpoczął się polonez, sunęły liczne pary za nami; — szumne zwroty i głośnie odbijanie rozlegało się po salonie. Przechodziłam z rąk do rąk kolejno, przyznam się nie zupełnie podobał mi się ten taniec, zawsze trzymano mnie za samą rękę — a ja mało mając siły ciągle traciłam równowagę i drżałam o moją suknię a bardziej jeszcze o głowę.

Nareszcie jeden swawolny chłopczyk obszedłszy ze mną salon, nagle się zatrzymał, postawił mnie przed sobą, klasnął w rączki — a kłaniając mi się niziuteńko: *solo damy!* zawołał: i odbiegł prędko — za nim wszyscy tancerze toż samo zrobili. Dziewczynki spójrzały na mnie: — „pierwsza para przewodniczy, pierwsza para wybiera!“ wołały żwawo: o! niechże pani zaczyna, prosimy, prosimy! — powtarzały tłumnie i głośny śmiech ze wszystkich się stron odezwał.

Zmieszana, zawstydzona — zaledwie trzymająca

się na nogach dzięki pomocy sztywnych sukien, nie wiedziałam co począć z sobą — a one wszystkie aż chusteczkami twarze od śmiechu zasłaniały. — O! to niedobrze tak cieszyć się kosztem drugich.

Rachowałam na dobroć serca Wańdzi — i nie zawiodłam się wcale. Widząc smutne moje położenie, przybiegła chętnie, podała rękę — a obracając się do całego grona, miłuchnym rzekła głosem :

— Przebaczcie panie, ta dama cudzoziemka, nie zna tańców naszych, i mowy naszej nie rozumie. Wiem że z sercaby was przeprosić rada — ale kiedy swoim językiem pośród obcych nie śmie się odezwać — pozwolicie — że dla nagrodzenia chwilowej przykrości zakończymy ulubionym jej walcem.

(Dokończenie nastąpi).

O monetach dawnych polskich.

Ślady mennic w Polsce są od czasów Bolesława Krzywoustego, to jest od początku XII wieku.

Najpierwszą znaną monetą wybijaną w Polsce były grosze srebrne; Wacław król czeski i polski przy końcu XIII wieku kazał bić grosze, na wzór francuzkich bitych przez Ludwika. Było ich dwa gatunki: większe nazywały się *lati grossi pragenses* i zawierały 18 denarów, mniejsze 12 tylko.

Kazimierz wielki ustanowił 1347 r. jedną monetę w Wielkiej i Małej-polsce, bito więc grosze srebrne takiej wartości jak węgierskie i czeskie, a rachowano ich 14 na jeden czerwony złoty. — Czerwony-złoty, *florenus* nazywany — ponieważ pierwszy raz wybity był we Florencyi włoskiem mieście, nie zmieniał prawie nigdy swęj wartości, i dla tego najlepiej służy do porównań przy poznawaniu wewnętrznej wartości dawnych monet.

Od czasu więc ustanowień Kazimierza W. aż do Jana Albrychta, rachowano ciągle na jeden czer-

wony-złoty, 14 groszy srebrnych — zatem grosz ówczasowy, wart był trzydzieści ośm dzisiejszych.

Jan Albrycht 1496 r. kazał bić grosze srebrne będące 30^{ta} częścią czerwonego-złotego. Alexander do 32, a Zygmunt I do 50 je pomnożył. Za Zygmunta Augusta liczono 52 grosze srebrne na czerwony-złoty; nareszcie Zygmunt III do 70 je podniósł, i to było ostatnie rachowanie groszy srebrnych, względnie z wartością czerwonego złotego.

Florenus (dukat) czy to początkowo włoski czy później węgierski lub hollenderski, zawsze ze szczerego bity był złota, i dla tego w Polsce z podwójną dobitnością czerwonym-złotym nazywany. — Na sejmie 1620 r., jeszcze za Zygmunta III pieniądź polski stanowiący czwartą część florenusa zaczęto nazywać *florenus polonicalis*, a chociaż zawsze srebrny tylko, przez zastosowanie pierwotnego tłumaczenia i złotym polskim się zrobił.

Za Jana Kazimierza 1650 r. Kommissya wyznaczona do rozrządzania mennicy kazała rachować złotych 6 na czerwony-złoty; — roku 1679 Jan III na 12 go podzielił części; nakoniec prawo 1717 r. oszacowało czerwony-złoty, 18 złotych polskich. — Przez Konstytucję 1766 roku wartość czerwonego - złotego oznaczono złp. 12

gr. 22 --- a sejm z 1786 r. cenę złota znowu do 18 złp. podniósł.

Miedzianych pieniędzy nie miała polska do roku 1658. Podczas klęsk jakich kraj doznał za panowania Jana Kazimierza, dla braku srebra pierwszy raz miedziane szelągi kazano bić Baturyniemu; w tymże czasie Tynf Jan bił spodłone złotówki, które odtąd dla jego nazwiska i dla odróżnienia od lepszych dawnych, tynfami nazwano; a wartość ich w 1717 r. oznaczono na złoty i groszy 8.

Rachowano pieniądze w Polsce na grzywny wiardunki czyli fertony, i skojce. Grzywnę czystego srebra podawali o ośmiu uncjach, czyli łótkach szesnastu — tak jak dzisiaj; grzywna liczalna składała się w Czechach za Wacława II z 48 groszy srebrnych — taką i u nas przyjęto rachubę i ta się nigdy nie zmieniała.

Wiardunek znaczył 4^{ta} część grzywny, skojec 24^{ta}. Za czasów więc owych, kiedy 14 groszy srebrnych składało czerwony złoty, — jedna grzywna zawierała w sobie trzy czerwone-złote i sześć groszy srebrnych, wiardunek dwanaście, a skojec dwa grosze srebrne.

W Litwie rachowano grosze na kopy — rachunek ten przez stosunki i odłączanie prowincyi i w Polsce się upowszechnił. —

ZORZA

ŚWIĘTE WYDZI WYDZIA.

— 36 —

Zeszły na niebie rumiane zorze,
Światelko w ciasnej błysło komorze,
Biedni rodzice ze snu powstali
I Bogu korne dzięki składali.

Tam gdzie gromadka dzieciątek spała,
Blask swych promieni zorza rzucała;
Matka obchodzi każde z kolei,
Wszystkich wyżywić nie ma nadziei.

Westchnęła tkliwie — w pracy niesporo,
A tu mój Boże! dzieątek siedmioro.
Tyle drobiazgu! my nieszczęśliwi
Przy téj drożynie, któż ich wyżywi!

Ojciec z uśmiechem mówił do matki:
Widzisz jak smacznie spią nasze dziatki,
Śliczne rumiane mają twarzączki,
Tak wyglądają jakby różyczki.

I na nich bije blask świetnej zorzy,
Mają sen miły z opieki bożej;
A kto sen daje i piękną zorzę
Ten i dzieciutki wyżywić może.

Gdy drzwi otwarli, siedmioro chleba
Jak gdyby cudem zesłane z nieba,
I siedm koszulek, siedm sukieneczek
Jakby robione dla ich dzieciątek.

Stanisław Jachowicz.



KLASZTOR Ś. KAZIMIERZA W WARSZAWIE.

Klęski co od śmierci Władysława IV przez cały ciąg bezkrólewia trapiły Polskę, przeciągnęły się i do pierwszych lat panowania Jana Kazimierza. Bohdan Chmielnicki, stanąwszy na czele kozaczyzny przymierzem z Tatarami się łączy, i krwawe z Polską rozpoczyna boje; ogniem i mieczem znaczy swoje szlaki.

Po spustoszałych miastach tułały się osierotałe dzieci, wojownik kaleka, drżącym głosem ratunku wzywał. Nie mogła bez wzruszenia patrzeć na to szlachetna Marya Ludwika, wdowa po Władysławie, a żona zaczynającego panowanie Jana Kazimierza; zapłakała nad niedolą, i zapragnęła zaczerpnąć pociechy z prawdziwego jej źródła.

Współczesna Świętego Wincentego a Paulo, wychowana na ziemi głośnej jego wielkimi zakładami, przyczyniająca się może sama kiedyś i datkiem, i współdziałaniem, do rozwinięcia pięknych myśli tego Ojca ubogich, znała dobrze cel zgro-

madzenia sióstr Miłosierdzia, ich wpływ na szczęście cierpiącej ludzkości, i pierwsza je do wojną nękaną wprowadziła Polski.

O! czy wy wiecie dobrze, młodzi czytelnicy moi, — co to jest siostra miłosierdzia? — Słyszeliście o niej nieraz — prawda — lecz to niedosyć. — Biegnijcie po szpitalach, lazaretach, domach przytułku sierot, tam dopiero poznacie ją w całym blasku szczytnego powołania.

Patrzcie — czarna wełniana sukienka. Wy nie lubicie czarnego koloru — i ona może różowy, błękitny, przekładała nad żalobną barwę; ale jej upodobanie, jej wola — już martwa, serce tylko żyje pełne chrześcijańskiej miłości.

Obcięła długie sploty — jej chwile tak porachowane, że zabrakłoby czasu do najskromniejszego ułożenia warkocza; natomiast sztywny biały kornet, od słońca, deszczu i natrętnych oczu zastania świętą dziewicę.

Spójrzycie jeszcze z jakim wyrazem prawdziwego uczucia przybliży się opatrywać zadawnioną ranę kaleki, jak ochotnie, bez najmniejszego szemrania idzie podnieść ciężkie ciało bezwładnego; z jaką anielską dobrocią z konającym odmawia modlitwy!

Tu gorączkowi sami — każdy się chroni, coprzedź z sali ucieka, a ona idzie śmiało — lekarstwo podaje, ręką głów rozpalonych dotyka; bo z nią — idzie Bóg i Wiara.

Tam dziecko opuszczone, sierota nieszczęśliwa pod jej opiekę się tuli — na wieczyste osamotnienie skazane były te dzieci — ale Bóg spojrział na nie — i przyjaciela, ojca, matkę zesłał im w Siostrze Miłosierdzia.

Wielki i trudny jest zawód Siostr świętych; ale Ś. Wincenty niebiańską mądrością swoją uznał że najmozolniejszej pracy, najtrudniejszych obowiązków, chętnie się podejmie kobieta, kiedy w zakresie tych działań tylko piastować, nauczać, leczyć potrzeba. Nie wahał się więc nowemu zgromadzeniu surowych naznaczać obowiązków, bo członków jego robił tylko opiekunami biednych sierot, tylko sługami ubogich chorych!

Zdrowe ziarno na żyzną rzucone niwę, bujne wydało plony; pod gorącym słońcem miłości chrześcijańskiej, dojrzały owoce cnót wysokich i ludzkość cieszyć się niemi poczęła. Ileż zgromadzenie to wydać musiało istot najwyższej czci godnych! ile wybranych przed tron Boga postawiło! — wierzymy — chociaż przy tylu czynach, przy tylu poświęceniach na najwyższe zasługujących uwielbienie, taką się wszystkie Siostry Miłosierdzia otoczyły pokorą, że po życiu najcnotliwszej z ich grona, żadnej nie pozostaje autentycznej pamiątki. Dni ich podobne technieniu wietrzyka, co ożywczą rosę przynosił mdlejącemu kwiatkowi; że był — widzimy, jak był — nie wiemy.

A cóż powiecie teraz młodzi czytelnicy moi? Czém jest ta siostra Miłosierdzia? Czyż nie powtórzycie ze mną razem. — To anioł ziemski!

Dobroczyzna królowa, sprowadziwszy na łono nowej ojczyzny swojej Siostry Miłosierdzia z Paryża w r. 1652; niedaleko Zamojskich i Kazimirowskiego pałacu, dziś przy ulicy Tamka zwanój, klasztor im wybudować kazała, a uposażywszy dostatecznie przeznaczyła na Nowicyat Sióstr Miłosierdzia, aby wszystkie szpitale w całym kraju ztąd siostrami opatrywane były. Tu także mają mieć schronienie Siostry emerytkami zwane, które dla starganych sił i podeszłego wieku usług po szpitalach podejmować nie mogą; tu przytułek dla sierot płci żeńskiej, według możności i miejsca przyjmować się mających.

Zgromadzenie to długo zostawało pod zarządem generałek francuzkich; wizytatorki nawet ciągle z Francyi przysyłaone, namiestniczą tu sprawowały władzę; dopiero kiedy rewolucya francuzka przerwała bliższe stosunki zgromadzenia warszawskiego z paryżkiem, pierwszy raz polkę obrano wizytatorką — nią była Ernestyna de Hunt; Maryanna Bożuchowska po niej nastąpiła, a dzisiejsza Tekla Żukowska jest trzecią z rzędu polką zarządzającą zgromadzeniem. Szanowna ta niewiasta pięćdziesiąt lat poświęciwszy ciężkiej pracy i usługom bliźnich już sobie przydomek matki

wysłużyła ; wszystkie bowiem zakonnice siostrami się między sobą nazywaj, matki tytuł zyskuje ta tylko, co chlubną rachubą wielu lat pobytu w zgromadzeniu poszczycić się może. A drogi im ten tytuł być musi, bo chociaż pięcioletni przeznaczony nowicyat, chociaż każda z wkładających sukienkę, doczasowém się tylko obowiązuje przyrzeczeniem, rzadkie są przykłady chęci opuszczenia klasztoru.

Dwieście dziś blisko dziewczynek używa darów dobroczynnego zakładu, i codziennie w gorących modłach prośby do Boga niesie za szlachetną fundatorkę, co w tak oddalonej przyszłości, silném je czuciem dosięgła.

Mistrzynie czyli przełożona nad instytutem dziewcząt, z pomocą siostr innych zajmuje się ich wychowaniem, starając się najusilniej pobożność i zamiłowanie pracy ugruntować w młodocianych sercach.

Dziewczynki przeznaczone do czynnego, rzeczywistego życia, wczesnie do niego wprowadzają ; wspólną służbą utrzymują porządek w salach przez siebie zajmowanych ; uczą się przytém katechizmu staraniem księży Missyonarzy, oraz czytać, pisać, rachować od siostr zgromadzenia, pracy jednakże ręcznej najwięcej poświęcają czasu, a przy robótkach zwykle pobożne śpiewają pieśni. — Miło jest zastać je wtedy — spojrzeć

na tak liczne zgromadzenie dzieci; w każdej ustach myśl pobożna, w każdej oku wdzięk niewinnej wesołości, — w każdej sercu Bóg obecny, bo patrząc na całą harmonijną zgodę i jednostajność pomiędzy niemi, śmiało twierdzić można: usta nie kłamią myśli. —

Dziewczynki już nie czarno ubrane; wśród lata niebieskie płócienkowe noszą sukienki, różowe do tego fartuszki i kolorowe chusteczki, w zimie zamieniają je na szafirowe sukienne ubranie, mają nawet białe sukienki na dni wielkich uroczystości kościelnych, wszystko najczęściej własnej roboty, bo tak są pracowite że nietylko sobie i zakonnikom szyją, — ale jeszcze pracując dla obcych, przyczyniają fundnszu zgromadzeniu.

Do instytucji sierot u Ś. Kazimierza przyjmowane są dziewczynki od lat siedmiu wieku swojego, po ukończeniu zakresu nauk klasztornych, wolno jest rodzinie odebrać dziewczynkę, te zaś które zupełnemi są sierotami, — umieszczają Siostry Miłosierdzia po domach pań zamożnych i godnych, zostawiając zawsze sobie główną nad niemi macierzyńską opiekę.

Obok klasztoru jest ogród i ocienione drzewami podwórko, tu latem, na drewnianych umyślnie na ten cel poustawianych ławeczkach, siadają z robotą, tu wieczorne odmawiają modlitwy.

Starannie w ciągle wzorowym porządku utrzy-

mywane sypialnie dziewczątek, godne są uwagi, równie jak bacność ozdobienia sali do robot przeznaczonój.

Obszerna, jasno malowana — jój duże okna strojnie frankami ozdobione, wychodzą na ogród, zkład i świeże powietrze i miła zieloność, tak sprzyjająca wzrokowi trudzonemu drobiazgowém ręcznych robótek wykończeniem. Latem każdy spoczynek oka, oprócz świeżej zieloności, spotyka jeszcze prześliczne kwiateczki, których tu mnóstwo rośnie; ale i zima ma swoje wdzięki, białe kolumny podpierające sklepienie sali, otoczono różnowzornie malowaném kwieciami, a na zakończenie w złotych głóskach złote prawdy i obietnice

Bóg widzi,
Czas ucieka,
Śmierć goni,
Wieczność czeka!

Celki Siostr Świętobliwych, sypialnia nowicyatek, refektarz, oratorium, równie wzorowym odznaczają się porządkiem; wszystko tak skromne jak życie zwolenniczek Św. Wincentego, wszędzie taka czystość, spokój taki, jak w sercach tu-tejszych mieszkanek.

Jest przy tym klasztorze obszerna kaplica, ołtarz środkowy sięga czasów pierwszej fundacyi, i bez dowodów łatwoby się tego domyśleć można,

w nim bowiem duży obraz Św. Kazimierza królewicza, polaka, i kochającej żony — i czulej narodu matki wybór usprawiedliwia. Nad tym obrazem w górze Zwiastowanie N. Panny, boki ołtarza zdobią statuy St. Ludwika i Józefa.

Dwa boczne ołtarze przystawione w czasie pierwszej restauracyi kaplicy r. 1766 za czasów wizytatorki Lesurier. Dobroczyńca ludzkości Św. Wicenty a Paulo w jednym z nich cześć odbiera, wspólnie z Świętym Franciszkiem Salezym, który zbawienne chęci niezmordowanego pracownika czuć i oceniać umiał, i Świętym Karolem Boromeuszem. Drugi w odpowiednim kształcie Przenajświętszej Maryi poświęcony, w nim duży obraz wystawiający Tajemnicę Wcielenia, zdobią go statuy Rodziców Matki Boskiej — i Św. Józef w okrągłym obrazie zakończającym wyniesienie ołtarza.

Obecnie w 1842 roku, staraniem Siostr Miłosierdzia a składkami dobrowolnemi łaskawych dobrodziejów, powtórnie odnowiona kaplica.

Jeden z wzorowo-gorliwych Missyonarzy, czynnie przykładający się do rozszerzenia tak wewnętrznej jako i zewnętrznej czci Najwyższego Pana, napisał treściwy zbiór nauki Chrześcijańskiej — a ofiarowawszy z książeczki tej przychód cały na odnowienie klasztoru Św. Kazimierza, podwójną w niebie zjednął sobie zasługę.

Nie wątpię, że książeczka ta znajduje się w ręku czytelników moich — oby pojawił się dobrze, zasady w niej skreślone, kiedyś podobni jej autorowi stać się mogli.

Przy powtórnej więc restauracyi wyzłocono ołtarze, kaplicę i zakrystję olejno odmalowano, i ozdobiono nowym organem z pedałem o dziesięciu głosach.

Ambona także odnowiona starannie, na niej złocona płaskorzeźba wystawia p. Jezusa dziatka błogosławiącego, na ambonie trzech aniołków z symbolami: miłości, wiary i nadziei chrześcijańskiej — pod daszkiem ambony Duch Święty w kształcie gołąbka także złoconą płaskorzeźbą na wierzchu dwóch jakby kazujących aniołków, a trzeci najwyżej z księgą przykazań i kielichem.

Jest w kaplicy obraz królowej Maryi Ludwiki Gonzagi fundatorki; włos jej ciemny, wzniosłe czoło i blask oka o żywości uczuć świadczą, w ustach słodycz, dobroci serca pozostawiła ślady. Jest wiele innych malowideł dawnych i nowych z których największy Św. Ludwika w czasie restauracyi otrzymany w darze; inne jako to: naśladowanie Madony, wskreszenie Św. Łazarza, Św. Tekla, Matka Boska bolesna, Św. Stanisław Kostka, Pan Jezus Nazarański — pięknie zdobią ściany domu Bożego.

Na tablicach marmurowych wypisane fundacye

mszy codziennój przez Karola Marchant z r. 1688, a przez Franciszkę Riaucour mszy drugiej w każdą niedzielę i Święto z r. 1737.

Z gustownie ozdobnej zakrystyi -- wychodz się do ślicznie kwiatami ustrojonego prawdziwie Maryi pokoiku — w którym, w umyślnie na to sporządzonej szafce z przejrzystymi drzwiczkami umieszczony obraz Boga Rodzicy przywieziony z Paryża przez księcia Angouleme, jako kopija obrazu z kaplicy Pawła V papieża, z kościoła Sancta Maria Major.

W oratorium, czyli miejscu zgromadzeń codziennych dla nabożeństwa i czytania rzeczy świętych, jest w stacyach żywot Św. Wincentego a Paulo — i jeszcze jeden portret królowej fundatorki niedługo przed śmiercią malowany, na nim długi kabat koronką u gorsu zdobny i płaskie rękawy sukni, dziwnie starożytność z dzisiejszą równają modą.

Jadalnia na około zawieszona portretami, jest tu Książę Prymas Poniatowski, są generałowie zgromadzenia Siostr Miłosierdzia, kilku dobroczyńców, dwie generałki między którymi dobroczynna wdowa Riaucour i matka Le Gras, jedna z fundatorek zgromadzenia, znalazły swoje miejsca.

Walentyńska Trojanowska.

KRÓL MIGDAŁOWY.

W święto *Trzech Króli*, po nabożeństwie po poświęceniu złota, myrrhy, i kadzidła, na pamiątkę darów, które niegdyś mędrcomie wschodu Boskiemu złożyli dzieciątku, wracali do domu Państwo Morscy, wracali z pospiechem, bo się na obiad licznych spodziewali gości, a wracali w milczeniu, bo na czole poważnego męża, jakaś chmura smutku osiadła. — Józio i Kasia na przedniej siedząc ławeczce, poglądali to na siebie, to na ojca, to nakoniec na matkę, a szło im o rzecz ważną; od dawna na ów dzień obiecywali sobie wesołą, ochoczą w domu zabawę, którą zasmucone ojca oblicze zasepić a może i zniweczyć obiecywało.

Zrozumiała dobra matka niespokojność dzieci, i zwracając się do męża rzekła łagodnie.

— Dziwna rzecz, jak czasem najlepsi, najrozsądniejsi ludzie zdziwaczéć mogą, i dziś, dopra-

wdy że tylko długoletnia przyjaźń i szacunek jaki mam dla Chorążego wstrzymała mię od oburzenia na widok jego obejścia.

— Widziałas! odrzekł Pan Morski, widziałas więc jak zimno przyjął serdeczne moje pozdrowienie, i przekonałas się że zgoda nie ode mnie zależy.

— Prawda! i na moje zaprosiny ledwie odpowiedzieć raczył, że w zimnej porze nie rad w gościńce jeździ, a kiedym mu wspomniała że po obiedzie zamyślamy najechać córkę jego, rzekł oziębło i jakby dla pozbycia się mego natręctwa, że niebardzo dawno widział się z dziećmi swojemi.

— Nie podobna zatem wystawiać się dłużej na takie upokorzenia; a jednakże Bóg widzi jak mi to poróżnienie bolesne, jakbym je pragnął usunąć. — I o co! o co ten gniew! o jedno słowo, bez znaczenia, bez złego zamiaru wymówione.

— Zdajmy to na Boga; wszak On włada sercem ludzkim, może nam też choć później starego przyjaciela powróci.

— O bogdajby się twoje słowa z iścily, bo czuję że nie będę miał swobodnej i wesołej chwili, dopóki nie zniknie ta przegroda między mną a Chorążym! Prawda że to z jego strony niepojęte dziwactwo, ale mogę zapomnieć że on

mi miejsce ojca zastępował, że przez całe życie w rozumie jego znajdowałem radę, w sercu pociechę!

I przy tych słowach, zasepienie Pana Morskiego stopiło się w łezkę, która mu w oku błysnąwszy, całą twarz tkliwie rozpogodziła. — Właśnie też mocniejsze z bicza trzaśnięcie, zwiastowało zbliżanie się do domu, i w krótcie cała Morskich rodzina rozproszyła się po mieszkaniu, by przyspieszyć przygotowania, ku przyjęciu oczekiwanych gości potrzebne.

Nie wszyscy mieszkańcy miasta dzielą zapewne moje zdanie w tym względzie, nie wszyscy odstąpiliby chętnie swoich łatwych wygodnych, systematycznych zabaw, dla tych hucznych wiejskich biesiad, gdzie to kilkadziesiąt osób zjedzie się niespodzianie do szczupłego domku, i z końmi, z służącemi, gości po dni kilka, ochoczy gospodarz rad każdemu jak rodzonemu bratu, a skrzętna gospodyni, zna upodobanie każdego, dogadza, częstuje, jakby ją własne dziatki obsiadły.

Otóż to taka zabawa zbierała się dnia tego w domu Państwa Morskich. Pierwszy raz owych zapust przyjmując u siebie, umówili się z sąsiadami i przyjaciółmi, żeby nie tyle sobie, ile dzieciom ucztę wyprawić. — Wiadomość ta gruchnęła po całej okolicy, a wiadomo wam czytelnicy moi jak to miło w młodym wieku jakie-

kolwiek pierwszeństwo odnieść nad starszymi, jak się to rośnie w powagę i próżność, jak by się pragnęło okazać godnym chwilowej przewagi! — Tak też i młodź z sąsiedztwa Państwa Morskich pragnąc się przy pierwszym swoim balu odznaczyć, ułożyła, by się przebrać po krakowsku, i z całego grona wiejskie utworzyć wesele. W tajemnicy zatém, ale to w tajemnicy zwyczajnej dzieciom, poprzeczano ubiory, i role druchen, swatek, panny młoděj, i przez tydzień cały cieszone się miłą niespodzianką, którą niewiedzącym niby o niczém rodzicom wyprawić miano.

Zaledwie Pani Morska wydała w domu potrzebne rozporządzenia, gdy się goście zjeźdźać zaczęli; — starsze osoby schodziły się zaraz do gościnnego pokoju, lecz dzieci znikwały tuż przy progu; — tylko widziano jak z każdego powozu wyciągano tajemnie pudło lub tłumoczek, tylko słyszano od strony garderoby i dziecinněj izdebki wzmagający się coraz szmer, jakby pszczołek ochoczo w ulu brzęczących, a z tego szmeru, coraz to śmiech wesoly, to głośnie słówko wypadłszy, co chwila bliższą zapowiadało wycieczkę.

Już też i czwarta wybiła godzina, już kilkakrotnie rozniesiono wódeczkę i zakąski, już nawet mrok wieczorny w okna zaglądać zaczął, gdy na znak pani domu rozwarły się drzwi jadalni,

panowie podali paniom ręce, i przy odgłosie skrzypków i basetli postąpili do suto oświetlonego i zastawionego stołu. — Zajeli miejsca u wyższego końca, pani Morska uzbrojona w potężną łyżkę, zaczęła już z srebrnej wazy posilną czerpać polewkę, aż w tém muzyka, z poważnego naszego tańca zmienia się w skoczno krakowiaka, drzwi przymknięte na chwilę rozpadają na oścież, i piętnaście par prześlicznych chłopiątek wbiega trzymając się pod ręce, okrążają stół niby łańcuchem a starsza druchna stanawszy przed panią domu, wsparła rączki na kieszonkach od fartuszka, i zanuciła przy wtórze muzyki:

Pani! przyjmij za swym stołem
Wieśniaków gromadkę,
Bo my Ciebie wszyscy społem
Kochamy jak matkę.

Nieraz Ty pod naszą strzechę
Niesiesz pomoc, radę;
My Ci niesiem w dom uciechę,
Śpiewy i biesiadę. —

I zaledwie umilkł jój głos, gdy starszy družba wystąpił na przód, poprawił na ucho magierkę, a wybijając takt podkówkami, zawołał donośnie:

Hejże! radzi czy nie radzi
Posuńta się goście!
Boć to obiad nie zawadzi
Po półdniowym poście.

Choć my kmiecie, wy panowie,
Przyjmijta nas mile,
Da wam za to Pan Bóg zdrowie
I wesole chwile! —

Trzydzieści głosów powtórzyło ostatnią zwrótkę, a raz jeszcze stół okrążywszy, wśród śmiechów i żartów ochocze grono zasiadło przygotowane dla siebie miejsca, pilnując ściśle porządku, jaki wieśniacy w weselnych uroczystościach zachowywać zwykli.

Nikt zapewne nie wątpi, że przy takim usposobieniu goszczących obiad zszedł wesole, że każdy, spóźnioną porą, przejażdżką, i śmiechem zaostrzywszy apetyt ochoczo się przykladał do wypróżnienia półmisek.

Pani Morska wdzięczna za to swym gościom, pod koniec obiadu skinęła na starego sługę stojącego za jęj krzesłem, a on, zrozumiawszy to skinienie, wyszedł, i wkrótce wrócił, niosąc poważnie na srebrnym półmisku, ogromny placek, suto konfiturą i rozynkami ozdobny.

— Ha! ha! zawołał poważny Sędzia M. po-

prawiając pasa; — to widzę jeszcze jedną będziemy dziś mieli siurpryzę! A jakże Acaństwo Dobrodziejstwo wotujecie, losem czy elekcyą wybierzem sobie migdałowego króla? —

— Losem! losem! zawołano do koła. — Stary sługa postawił półmisek na środku stołu, obrócił go kilkakrotnie, i powrócił za krzesło pani domu. — Goście tym czasem jeden po drugim sięgali widelcami do tajemniczego placka, ale każdy ująwszy jeden z odkrojonych kawałków, kładł go zaraz na swój talerz, niezglądając pod spód, aby i sobie i drugim nie skrócić przyjemności.

— Tylkoż ostrzegam Waszmościów, rzekł żartując sędziwy Cześnik: że jeżeli mnie się migdał dostanie, to wnet po obiedzie będziecie mieli bezkrólewie, bo ja Mości dobrodzieju, przeprosiwszy szanownych poddanych moich, muszę zwykłą odbyć drzymkę.

— A jeżeli ja królową zostanę, dodała z uśmiechem Starościna; to się Acan swojej delicji wyrzec musisz, bo go zaraz do partji marjasza zasadzę. —

A placek z migdałem, przesuwiał się w czasie tych rozmów ku drugiemu końcowi stołu; — już tylko dzieci państwa Morskich wybrać miały swoje części, a jeszcze panowała niepewność: czy, i komu dostał się pożądany migdał? — gdy

nagle Józio pochwywszy wybrany przez siebie kawałek, powstał radośnie, a podnosząc w górę rękę, krzyknął.

— Czołem panowie! czołem przed królem Jegomością!

I w jego rękę wszyscy dokładnie ujrzeni, biały wielki migdał, godło panowania nad wszystkimi przez ciąg całej zabawy.

Nalano węgryzna w kieliszki, spełniono zdrowie migdałowego króla, i przy odgłosie muzyki huczno, wesoło, całe towarzystwo wtoczyło się znów do salonu.

Tu nowa nastąpiła scena; kobiety starsze i młode zasiadły rzędem jedną stronę pokoju, po drugiej mężczyźni stanęli; w środku zaś, Józio który do krakowskiej swojej magierki przypiął był długie strusie pióro, z prawdziwie królewską powagą przechadzał się w tę i ową stronę; nakoniec w jeden punkt oczy utkwivszy, wolniejszym jeszcze krokiem postąpił ku oknu, zerwał z wazonu kilka zielonych mirtu gałązek, zwinął je w mały wianeczek, i kłaniając się po trzykroć przyklęknął na jedno kolano przed świeżutką czternastoletnią dziewczynką, i złożył przy jej nogach mniemaną koronę. — Stojące obok dziewicy družki, przypięły natychmiast do kruczych jej włosów oznakę władzy i wdzięków; huczny *wiwat* zabrzmiał ze wszech stron, a kiedy nowy

król i królowa wiejskie wesele w dwór swój zamienili, zahuczał polonez, i wszyscy bez wyjątku poważnym kołem okrążyli komnatę. —

Potém jak to zwykle bywa, starsi usunęli się do bocznych pokoi, ci na drzymkę, ci do kart, owi do kielicha, młodzi tym czasem, krzesząc ognia w podkówki wywijali to mazura, to krakowiaka. — Dziwno tylko wszystkim było, że król z królową zamiast przewodniczyć ochocie, siedzieli pod oknem, i rozmawiali z cicha, a rozmowa ich żywą i zajmującą być musiała, bo królowa kilka razy to oczy wzniosła do góry, to ręce na pierśiach złożyła. — Ktoż wie? może z téj rozmowy nowa się jaka zabawa wysnuje; — królową bowiem jest Elżbieta, córka Pani Dobrzyckiej, do której za godzinę całe towarzystwo sunie się niespodzianym niiby kuligiem, a która tymczasem dobrze się w domu krząta, by uprzejmie przyjmując miłych sąsiadów i gości. Jakoż po godzinnéj może hulance, zabłysły przez okna z dziedzińca światła pochodni i latarni, zabrzmiał tętent koni i trzask z biczków; biesiadnicy rzucili się do futer i czapek, i wkrótce wszyscy otuleni od stóp do głów w zwierzęce skóry, wyszli przed ganek by nowéj użyć uciechy.

Przed samym progiem stały wielkie kuligowe sanie. Wprzężono do nich cztery dzielne konie pokryte długimi wzorzystemi kapami, do głów

prytwierdzono im pęki piór strusich, a do szyi i boków dzwonki i grzechotki. — Sanie staroświeckie, długie i szerokie, na trzy dzieliły się oddziały, a najprzód: drewniana ściana zasłaniająca jadących od śniegu i piasku, które konie kopytami wyrzucać mogą po obu jej stronach dwa biało pomalowane łabędzie, trzymające w dzióbach jasne i wielkie latarnie ku wygodzie woźnicy co się w lisej czapce i obszernej wilczurze wygodnie między skrzydłami wodnych ptaków rozpie-rał. Za siedzeniem tej ważnej osoby, ławeczka dla kapeli, i już dwóch skrzypków z basetlistą usadowili się na niej; za tą dopiero szerokie, miętko wysłane, perskim kobiercem pokryte siedzenie dla przodkujących w kuligu gości.

Nie było sprzeczek o pierwszeństwo, znano bowiem prawa migdałowego króla; i bez najmniejszego zdziwienia ujrzano, jak Józio wsadziwszy do sani Elżbietę, swoją siostrę, i Panią Starościnę, sam z dwóma dworzanami swymi stanął za saniami, a nie czekając aż się reszta jego orszaku usadowi, krzyknął na woźnicę „ruszaj!“ Poruszyły się ogromne saniska, za niemi drugie i trzecie, i tak szeregiem aż do ostatnich. — Józio kazał woźnicy jechać w ten sposób, by spieszący za nimi mogli ich ciągle widzieć, ale nie doścignąć, a tym czasem z Panią Starościna i towarzyszami rozmawiał z cicha.

Tak dopędzili do rozdroża; tu gdy woźnica znając zamiary Państwa chciał zawrócić na lewo, do dworu Dobrzyckich, Józio zawołał:

— W prawo Janie! w prawo! do Mszczonówki!

Jan się obejrzał, potrząsł głową, ale usłuchał. Gościniec do Mszczonówki zaiskrzył się latarniami; wprawdzie z sani ku końcowi jadących, odzywały się pytania. — A coż to? Gdzież to jedziemy? lecz nie było odpowiedzi, bo dwór migdałowego króla pędził przodem, a Jan pamiętny rozkazów, tak swoje konie zacinał, że nikt nie mógł z nim wejść w rozmowę.

W Mszczonówce, w dworskiej komnacie, na okrągłym stole kilimkiem pokrytym, paliła się w cynowym lichtarzu malowana świeca, przy niej rozłożona księga z kazaniami księdza Pawęskiego, a nad tą Pan Chorąży Godziemba pochylił oczy uzbrojone w potężne okulary, i czytał. Znać że staruszek nie spodziewał się przerwy w pobożnym zatrudnieniu, bo sobie zasiadł wygodnie, po domowemu, w kożuszku baranim szarym kamlotem pokrytym, w czerwonych lisami podszytych bótach, i w pstrój tureckiej czapeczce; w komnacie też zupełna panowała cisza, tylko ją kiedy niekiedy przerwało warknięcie ulubionego

brysia skulonego u nóg pańskich, lub mruczenie burego matysa co miękką szerść swoją na ławie pod piecem wygrzewał. Jednakże łatwo było poznać że i tu, lubo w spokojniejszy niż w innych domach sposób, obchodzono uroczyste święto; bo przy drzwiach, nad kropielnicą gorzała jasna lampa, oświecając białe świeżo kredą napisane litery C. M. B.— z kadzielniczki przed kominem stojącej rozchodziła się woń mirry i jałowcu, a z czeladniej izby, coraz to dobiegał do komnaty pańskiej radośny wykrzyk: — hej kolenda! kolenda!

Nagle psy u wrót zawyły, stróże wybiegli na podwórze, za nimi parobcy, dziewuchy, słowem; co było w Mszczonowickim dworze wyskoczyło z domu, bo przy wrotach obok hałasu i zgiełku odzywało się wyraźne rzempolenie skrzypków, a wiadomo jaki to miły dźwięk dla wiejskiego ludu, osobliwie w zapusty. — Pan Chorąży wyjrzał zamrożonem okienkiem, lecz prócz niezwykłego światła na drodze, nic dojrzyć nie zdołał; już zatem wzięwszy trzcinę w rękę chciał dla swego zaspokojenia wyjść na podwórze, gdy we drzwi komnaty, wpadła zadyszana stara Grzesiowa, gospodyni pana Godziemby.

— Ah Jegomość kochany!

— No? No?

— Wszelki duch Pana Boga chwali!...

— No i cóż tam przecie takiego?

— Oj dobrodzieju! nie wiem, czy cygany, czy goście nas kuligiem najechali.

— Pleciesz Waszeć! kuligiem do mnie! no!.. Ledwie tych słów domawiał, a już na podwórzu parskwały konie kuligowych sani, jaśniały latarnie, a w sieni między czeladką pana Godziemby tłoczącą się z otwartymi gębami, ukazało się dwóch chłopcyków, w futrzanych płaszczach zwieszonych przez ramię, w czerwonych czapeczkach, i ogromnymi laskami pukając w podłogę, wołali całym głosem:

— Miejsce dla króla jegomości! Król migdałowy jedzie!

W sercu pana Chorążego ozwało się uczucie stariej gościnności; — a lubo od lat wielu nie należał już do hucznych zabaw, pamiętał ich tryb doskonale, z uśmiechem więc rzekł młodym poślancom.

— Witajcie mili goście! ściele się pod stopy miłościwego pana, a czém dom ma, tém z serca dworowi jego służyć gotowém.

Chłopaczki wybiegły na podwórze, a tymczasem pan Chorąży w prawo i w lewo rzucał rozkazy: — Maciej! węgryna gąsiorek — z anno 1805. Ty Tadeuszu miodu i wiszniaku dzbanek! — héj tam Grzeło! na rożen sarnie udźce! Asani, Grzesiowa myśl o kawie i kołaczach. — A ty Antek cóż tak stoisz gdyby malowany? świec w komnatę! drzazeg na podwórze! — Wacho! cóż to ja w kozuchu gości przyjmę?....

W mgnieniu oka rozsypała się po domu służba

Chorążego; on sam wkroczył do alkowy, i kiedy po chwili wyszedł ubrany, już we drzwiach wchodowych kuligowa kapela rznęła od ucha, dwór migdałowego króla nappełnił pół komnaty, a on sam z piękną swoją towarzyszką stał poważnie przy okrągłym stole, wspierając rękę na zwoju pergaminu, czyli téż: (ale o tém w sekrecie) żółtego papieru.

Godziemba spójrzył do koła, a na widok tych główek znajomych, przyjaznych, na widok tych oczu w których od lat kilkunastu zwykł był szacunek i tkliwe dla siebie przywiązanie spotykać, wesoła już twarz jego do łez się rozpodziła, i wyciągając ręce do ochoczój młodzi, już nie żartem zawołał:

— Witajcie mi! witajcie królowie moi! niechże wam Bóg nagrodi, żeście mi raz jeszcze przed śmiercią stary dom uweselili!

Młodzi goście rzucili się tłumnie do starca, lecz Józio tłumiąc łzy rozczulenia, i na bohater-ską zdobywając się powagę, rzekł:

— Szanowny gospodarzu! drogą nam jest uprzejmość wasza, lecz nie możemy jój przyjąć, jedno pod warunkami... i uderzył ręką po papierze.

— Wszystko, wszystko co zechcesz moje ty dziecko! wykrzyknął coraz weselszy Chorąży ścisnąjąc to Józia, to swoją hożą wnuczkę.

— A zatém dodał Król: — primo — ponieważ między poddanymi moimi pragnę zachować równość,

niech każdy z tych co jadą za nami, jednakiego dozna przyjęcia.....

Starzec spójrział w wilgotne oczy młodzieńca, spójrział na łzy płynące po twarzy jego siostry, przypomniał sobie ranne z ich ojcem obejście, przypomniał gniew swój dziwaczny; — pojął dopiero ile okazywaniem smiesznej urazy całą tę rodzinę zasmucił, a uderzając się w piersi, prawdziwie skruszonym głosem zawołał:

— Panie! odpuść staremu grzesznikowi!

W tej téż chwili starszy oddział kuligu wjechał na podwórze. — Chorąży jakby odmłodzony wyskoczył przed sień, a przy świetle łuczywa i latarni poznavszy sanie pana Morskiego wjeżdżające na ostatku, podbiegł ku nim mimo śniegu, stając na stopniu pochwycił za szyję ojca Józia i Kasi, i całując go to w lica, to w czoło powtarzał rozczulony: daruj! daruj staremu dziwakowi!

Nie by nie było nowego gdybym chciała opowiadać, jak przybyli goście wcisnęli się do komnaty Mszczonowickiego dworku; — jak pokrępiwszy się winem i miodem, mimo nalegań Chorążego dłużej zostać u niego nie chcieli, lecz zabrawszy go z sobą popędzili do państwa Dobrzyckich. — I w tym gościnnym domu zabawa szła ochoczo; Chorąży z panią Morską w pierwszą parę stanął do poloneza, z jój mężem przed północą do domu powrócił. — Młodzież bawiła

się prawie do świtu; tańce, śpiewy, gry rozmaite snuły się bez przerwy.— Potem spocząwszy jak kto mógł, wrócono do dworu Morskich i przebawiono do wieczora.— Wszystko to są rzeczy zwyczajne, i łatwo z pamięci ustępujące; ale Józio i Elżbieta patrząc na wróconą zgodę między starymi przyjaciółmi, patrząc na to tkiwe przywiązanie niczem już aż do śmierci Chorążego nie zasępione, w miłej chowali pamięci, i błogostawili dzień, w którym migdałowe berło wpadłszy im wręce, tyle pociechy sprawiło;— i pewnie choć dorosną, choć każde z nich swój dom będzie miało, nie zaniechają starodawnego zwyczaju, nie wygnają w dzień Trzech króli kołacza z migdałem.— Bo pamiętajcie dziatki, że w starych zwyczajach jest zaród dobrego;— choć źródło ich wśród baśni zaginie, choć cel ich z właściwego zejdzie toru, choć się w płochą tylko igraszkę zamienią, przy dobrych i prostych chęciach, jak iskrę z krzemienia, tak z starego zwyczaju cnotliwy czyn wykrzeszem; a tam gdzie gmin dziwactwo lub hulankę tylko widzi, my dla siebie i drugich znajdziemy źródło szczęścia lub pociechy.

P. K.

PAMIĘTNIKI LALKI.

(Dokończenie).

Muzyka na prośbę Wandzi, z poważnej i wolnej — w skoczną się zamieniła. Żwawo zataczając drobne koła kilka razy okrążyłyśmy salon, i spoczęły na dwóch sąsiednich krzeselkach. O! bo-daj to tańcować z grzecznemi dziewczynkami!

Długo jeszcze bawiły się dzieci. Roznoszono różne chłodniki, na prośby wszystkich odemnie zaczynając. Przy wieczerzy ja pierwsze zajmowałam miejsce, i za moje zdrowie wszystkie kolejną powstawszy z miejsca pić musiały duży kielich sokiem zarumienionój wody. —

Nie długo po wieczerzy zaczęło się rozchodzić, panienki żegnając mnie zgrabnym ukłonem, dodawały kilka wyrazów zapewniających o przyjaźni, pamięci — życzących mi zdrowia, wesołych zabaw, a nadewszystko nauczania się po polsku.

Skończyły się pożegnania. Wzięła mnie Wan-

dzia na ręce i pytała matki gdzie ja spać będę kiedy nie mam ani łóżeczka ani pościeli?

Na to panna Helena prowadząc ją do dzieciennego pokoju wskazała mały na podwyższeniu przy oknie urządzony pokoik — jako dar tatki kochanego.

O! był to prześliczny pokoik — miał cztery ściany, drzwi zamykane, szklane okna ustrojone wazonikami. I kanapę i stoliki i krzesła; biórko, szafę, komodę, łóżko z pawilonem usłane do spania, a na łóżku, koszulka nocna, kaftanik z falbanką i czepeczek.

Wandzia nie posiadała się z radości! Pobiegła dziękować rodzicom za tyle przyjemności dnia tego — i powtórzyć zapewnienie że ciągle będzie się starała dobrocią i posłuszeństwem wyplacać się za ich starania.

Potém rozebrała mnie z jasnych strojów — ułożyła ślicznie rzeczy moje w stojącym przy łóżku koszyku, uścisnęła na dobranoc, a otuliwszy jedwabną kołderką, odeszła oglądając się jeszcze na zachwycający pokoik.

XIII.

Pobył u grzecznej dziewczynki.

Z dobrými dziećmi to i lalkom dobrze — przekonałam się o tём przy Wandzi. — Nazajutrz ranniej wstała jak zwykle, ubrała się spiesznie, odmówiła modlitwy i przybiegła na paluszkach dowiedzieć się jak się miéwam.

Zobaczywszy otwarte oczki moje, wyjęła mnie z łóžeczka, przywitała i posadziwszy na kolanach mówiła scicha: Może się boisz laleczko że w nowém mieszkaniu u nowej pani nie tak ci dobrze będzie, nie tak wesoło jak w sklepie, pomiędzy tyloma innemi laleczkami. O! nie bój się pręszę, nie bój, ja ciebie kocham, ja z tobą zawsze grzecznie obchodzić się będę. Zawsze mieć będziesz czyste, całe sukienki, nowe dla ciebie wymyślę zabawy, codzién przeczytam Ci ładną bajeczkę, a jak będziesz grzeczna i posłuszna, i czytać i pisać cię nauczę.

Potém obuła mnie, ubrała we wczorajsze sukienki, odpiąwszy tylko bukiety ślubne — a welon na szalik zamieniwszy, i zaprowadziła do swego pokoju, gdzie już czekało nas przygotowane śniadanie. Śliczny wczorajszy dar babuni, przyczynił się do pomnożenia świetności naszego jedzenia; mleko bowiem, strucelka małeńka, dwa bi-

szkopciki i kawałek cukru na pięknie malowanych talerzykach i w gustownych filizaneczkach zastawione, wydało się czemś lepszym i kosztowniejszym.

Wańdzia przytykała ostrożnie każdą rzecz do ust moich a potem sama dokończyła, trochę i Staś pomógł, dość że nic nie pozostało z całej zastawy.

Po śniadaniu i kościele, miały dzieci jechać na spacer; Wańdzia wziąć mnie chciała, ale że nie miałam ani salopy ani nic ciepłego musiałam zostać w domu.

Całe święta spędziłam bardzo wesoło, czytała Wańdzia piękne powiastki — grałyśmy w loteryjkę, oglądały nowe kolorowane obrazki — jeden tylko miałam smutny wypadek. Już to ja nigdy nie lubię, bawić się z chłopczykami, i Wańdzia niebardzo chętnie widziała mnie w ręku Stasia, ale raz tak ją prosił, tak prosił, że przystać musiała.

Oto chciał się bawić w podróże. Był w doć mu łaskawy piesek — Staś zaprzął go wstążeczką do koczyka, mnie po stopniach wsadził, zamknął drzwiczki, i trzymając za lejce pogania i kierować zaczął.

Bardzo miła z początku była ta podróż, kilka razy przez wszystkie przejechaliśmy pokoje — ależ raz wjeżdżających do garderoby spostrzegł obu-

dzony bałasem kotek, zasyczał, wspiął się do góry i nasrożył — piesek co zawsze woli otwartą prowadzić wojnę niż milczkiem dokuczyć, poskoczył ku niemu, a nagłym rzutem i koczyk i mnie z koczykiem obalił. Szczęściem prędką pomoc Wańdzi od wielkiego mnie nieszczęścia ochroniła.

Po świętach, Wańdzia się chętnie wzięła do nauk, całe rano im poświęcała, za to też popołudnie zawsze dla mnie przeznaczała. Zajęła się mojem oporządzeniem; bo niepodobna było w jednej balowej sukni chodzić ciągle.

Ja przestraszona wypadkiem podróży, — a bardzo dla braku sukien, musiałam pozostać w łóżku przez dni kilka, od dobrej Wańdzi najtroskliwszych doznając starań. Ona tymczasem z pomocą i pod dozorem pauny Heleny szła mi sukienki, czepeczki, ciepłe salopki i różne prześliczne stroiki.

— Dziękuję ci Helenko, mówiła zapinając mi zgrabny codzienny szlafroczek: otóż i zakończone ubiory mojej lalki; ale cóż, zawszeż ją tylko lalką nazywać będę? O! pomóż mi wybrać dla niej imię. I zaczęły obiedwie przewracać kartki kalendarza, potem w pamięci szukały, żadne nie przypadło do gustu Wańdzi — zamyśliła się jeszcze i nagle zawołała radośnie:

— O! już wiem, wiem Helenko, będzie *Róża*, — a jej imieniny wtenczas, kiedy bzy okwitną w o-

gródka, — a pierwszy kwiatek różany z pączka się rozwinie. I szczęśliwa trafnym wyborem biegła wesoło po pokoju, klaszcząc w drobne rączęta.

Różą odtąd się zwałam, i szczęśliwa byłam jak róża pod dozorem starannego ogrodnika. Upłynęło nam tak dni wiele, jednostajnie ale zawsze równie mile. Jeździłyśmy razem sankami, przyjmowały odwiedziny małych dziewczynek. Raz też na wielkie prośby, otrzymała Wańdzia pozwolenie zabrania mnie z sobą do Emilki, znajomój swojej.

Ubrała mnie w najpiękniejszą suknię, w biały atlasowy kapelusz z różowem długim piórem, włożyła mi nowy łańcuszek z zegarkiem, a do boku przypięła pięknie wyrobiony pugilaresik w którym znajdował się mój bilet wizytowy, na różowym papierze złotem pisany.

Przez całą drogę słyszałam tylko o bogatej księżniczce Kornelii (lalcie Emilki) o jej strojach, dostatkach, prawdziwie aż bałam się trochę, jak ja się przy niej wydawać będę. Ależ zajechaliśmy już przed pałac, matka Wańdzi kazała i ją i mnie zameldować. Przyjęto — wysiadamy — do przedpokoju wybiega naprzeciw nam Emilka. Wita — chce wprowadzić do salonu, ale Wańdzia zrzuca wprzód ze mnie salopę, zdejmuje rękawek a dopiero wprowadza i przedstawia Emilce jako przybyłą złożyć uszanowanie księżniczce Kornelii.

Na to wspomnienie zarumieniała się mocno Emilka.

O! ja nie będę śmiała pokazać Ci mojej stariej lalki — Twoja taka śliczna, taka nowiuteńka.

— Nie żartujże Emilko, razem na gwiazdkę dostałyśmy nasze lalki — o! nie wymówisz się, musisz pokazać nam księżniczkę.

Kończąc te słowa, prowadziła lekko opierając się Emilkę do dziecinnego pokoju i prosiła jej bardzo o przyniesienie wszystkich zabawek swoich. Nie mogła się już wymówić Emilka, ze wstydem więc z kątów wywłóczyć zaczęła, połamane krzeselka, oskubane ptaszki, zniszczone lalek stroik; jedną rękę znalazła, drugiej głowy brakowało — a wychwalonej księżniczki i pod komodą i za szafką znaleźć nie mogła. Dopiero Władzia przeglądając dekoracje na pół stojącego teatrzyku spostrzegła ją opartą o kulisę, pośród pyłu i różnych niepotrzebnych gratów.

Przyglądam się jej ciekawie — aż to ta sama lalka co tak wspaniale w sklepie Dobroczyńności na wykwintnej siedziała kanapie. Jaka zmiana w jej całej postawie!

Piękną jedwabną sukni koloru dojsć trudno, tak poplamiona i zgnieciona cała, z krez blondynowych wiszą podarte kawałki, — na głowie czeppek do którego różowe wstążki czarną nitką dużemi poprzyczepiane ściegami, pewnie robota

niedbałej Emilki. — A twarz jaka! ach, przykro patrzeć było. Nos odtłuczony, zniszczone świeże rumieńce, a na białych policzkach jakieś ciemne kresy — może to ślady łez skrytych!...

Emilka chciała się tłumaczyć — ale zmieszanie mowę jej odjęło, — spuściła oczki nieśmiało i nieporuszona stała w oddaleniu. Spozjrzała to dobra Wańdzia, spójrzała raz jeszcze na księżniczkę, westchnęła i wyszła ze mną do drugiego pokoju. Serdecznie jej wdzięczna za to była — bo jakież wstyd musiał być dla biednej Kornelii, pokazać się w tak nędznym stanie przed tą, co na najświetniejszy jej dzień patrzyła przed kilkoma tygodniami.

Niedługośmy tam bawili — Emilka nie mogła odzyskać humoru. — Wiem dla czego twoja Różia tak ślicznie wygląda, mówiła do Wańdzi: panna Helena jej szyje stroje, mama też pewno pomaga — a ja nieszczęśliwa zawsze sama i sama wszystko robić muszę, jak też ma czas wystarczyć!

— Prawda, że Helenka mi często przykroi sukienkę; że wskaże jak szyć trzeba — ale co po rządkiem to ja tylko sama się zajmuję.

— Jakto, sama? o, to chyba cały dzień tylko się lalką bawisz, kiedy zawsze tak świeżo ubrana, takie porządne ma rzeczy.

— Mylisz się Emilciu, nie tyle trzeba czasu dla jednej lalki, codzien chwilkę tylko zająć się

szczerze; ostrożnie się z nią obchodzić, bieliznę i suknie raz ułożywszy zachować zawsze w porządku, a po zabawie lalkę na miejsce przeznaczone odłożyć. Czyż to tak trudno?

Nic nie odpowiedziała Emilka, zamyśliła się trochę, i odchodzącą Wandzię czule bardzo pożegnała jakby jej przykładem wiedziona poprawić się zamyślała.

WIELEKA-NOG.

Przeminęły wesołe zapusty, post się już zaczął; — trzeba się włączyć do pracy panno Rózo! mówiła Wandzia dnia jednego kończąc moje ubranie. Sześć lat skończyłaś, już nie jesteś małym dzieckiem, uczyć się trzeba, uczyć koniecznie. I rozłożyła przedemną książeczkę, i tak mnie pilnie uczyła, że jednego dnia od alfabetu aż do czytania doszliśmy.

A śliczna była książeczka, o takiej grzecznej Helence, aż miło czytać było. Ja myślę że ta Helenka musi być dzisiaj wielką pociechą rodzicom, bo dziecku dobremu, tak łatwo coraz lepszym się stawać.

Pisałyśmy potem na maleńkim zeszytce z czerwonymi okładkami — a Wandzia prowadząc mi rękę ciągle powtarzała:

Tylko porządnie, panno Rózo! porządek jest najpierwszą ozdobą pisma. Rachowałyśmy także i na tabliczce i na pamięć— już to do rachunków czasem w pomoc przychodziła mama, zawoławszy Stasia kazała mu ze mną na wyścigi rozwiązywać pytania, naturalnie Wandzia mówiła myśli moje— a chociaż Staś jako starszy więcej miał wiadomości, mnie się jednak nieraz udało wyprzedzić go odpowiedzią.

Dziwnie się niejednemu czytelnikowi wydawać będzie, że ja co na wstępie grałam rolę panny młodej— teraz zostałam małą dziewczynką rozpoczynającą nauki. Otóż wiedzieć trzeba że my lalki tak jesteśmy zawisłe od chęci figlarnych pań uaszych że w dniu jednym nie tylko kilka stanów zmieniać możemy, ale nawet liczbę lat podwyższać lub zniżyć do upodobania.

I ja więc ze słusznej damy zostałam małą pannienką, Rózią córką pani Wandy— poszły na bok balowe ubiory, pióra, świecidła— natomiast krótkie sukienki, fartuszki ze staniczkiem, spuszczone warkocze, i pasterskie kapelusiki składały całą moją garderobę.

Wandzia brała od matki dwa złote miesięcznej pensyi, z tych piętnaście groszy do mojego wkładała woreczka, powtarzając zawsze.

— Pamiętaj Róziu że ty masz wszystko u mnie,

a tyle jest biednych ludzi na świecie! — dziel się z nimi chętnie tem co posiadasz.

I pomna przestróg swoich, ile razy zdarzyło nam się spotkać na drodze ubogiego — albo gdzie puszkę ujrzeć, albo słyszeć o jakich dobroczynnych składkach, zaraz przy swoim darze wkładała obiedwie rączki moje do woreczka i wyjmowała niemi ile się zabrać zdarzyło świecących nowych groszów, dodając:

— Tak zawsze rób Rózieczko — a nie zostaniesz obrzydłym skąpcem, jak Kostuś o którym czytałam ci w bajeczkach, bo dla dobrego użytku Pan Bóg dał pieniądze.

Na nauce więc i dobrych uczynkach przeszedł nam post cały — w Kwietnią niedzielę nawet, na cały tydzień pozegnała mnie Wańdzia — bo naśladowując starszych postanowiła sobie zrobić małe umartwienie; i tak dotrzymała słowa że ani spojrziała na mnie przez ten czas cały.

Za to też w pierwszy dzień święta witając mnie radośnie, wołała: chodź, chodź Róziu ze mną, nagrodzę ja ci długą samotność. I wprowadziła mnie do jadalnego pokoju, gdzie przy dużym suto zastawionym stole był mały niziuteński stoliczek, a ua nim święcone zupełnie lalczyne.

Naschodziło się i dzieci dużo, a każda dziewczynka z lalką swoją na rękę. Wańdzia mnie zrobiła gospodynią, mojami rękami roznosiła lal-

kom smaczne babki, wyborne mazurki, cukrową szynkę malutką,— chłopcykom postawiła kilkanaście buteleczek win różnych gatunków, każda oznaczona napisem właściwym, ale jakieś szczególnie były te wina, bo zdarzyło mi się widzieć jak Staś całą butelkę włożywszy w buzię, schrupał ją doskonale.

Po święconém, wodziły nas pańienki, przypatrywać się kazały rozmaitym ciastom — szczególnym ubiorom mięs różnych. Wieczór dopiero wyborna zaczęła się zabawa. Panna Helena w obrazy grać poradziła; i doskonale czuwała nad wykonaniem dokładném wszystkich pomysłów.

Jedno lub dwoje wychodziło koleją — a inne przez ten czas obrawszy sobie ważniejszy jaki czyn historyczny, dodawszy do swoich ubiorów jaką zastonę, skrzydelko, lub inną ozdobę z nagromadzonych przez mamę Wandzi na ten cel drobnotek, umieszczano się w przeznaczoném miejscu i nieporuszone czekało odgadnięcia.

I nas lalek nie pomijano — ja raz przy Wandzi byłam Leszkiem, drugi raz Krzywoustym wybierającym się na wojnę. A chociaż zarzucano że Leszek miał mało czucia w spojrzeniu; a Krzywousty lalczyną odwagę w postawie, jednak obrazy ślicznie się udały — wszystkie odgadniono łatwo i prędko, a dzieci tak były kontente że częste powtarzanie gry takiej przyrzekwały sobie wzajemnie.

MOJE IMIENINY.

Niedługo po Wielkiej-nocy mama Wańdzi na wieś wyjeżdżała co rok— i tą więc razą po świętach zaraz zaczęto myśleć o podróży. — Wańdzi przybył kłopot w pakowaniu moich rzeczy, myślę jednak że miłém jój było to zajęcie, bo tak się chętnie do niego brała jakby do nowój zabawki.

W połowie maja już byliśmy w drodze. Troskliwa dziewczynka zasłaniała mnie gazową chusteczką przed słońca skwarem, otulała w czasie wieczornego chłodu, — wskazywała piękną okolicę — opowiadała mi nawet wiele historycznych wspomnień o różnych miejscach— ale że ja ani historyi ani jeografii nie posiadam jeszcze, zapomniałam nazwisk wielu, i dla tego o wszystkich podaniach zamilzcć wolę.

Na wsi podobało mi się bardzo — częściej chodziłyśmy razem na przechadzkę — a powracały zawsze z dużemi pękami rozmaitych kwiatów, — które Wańdzia od nas obudwóch mamie składała.

Na wsi też bzy rozkwitające przypomniały jój moje imieniny — i codzien raniuteńko wzięwszy mnie na ręce obiegała wszystkie krzaki różane, każdemu przypatrując się pączkowi.

Raz kiedy taką odbywałyśmy kolej — spostrzegła na wznioślejszėj gałęzce pączek już blizki rozwicia. Podskoczyła radośnie, przycisnęła mnie

z czuciem do serca i pędem strzały do pałacu wróciła. — Przez cały dzień ten, nie widziałam ję już zupełnie — nawet rozebrać mnie nie przysła; noc przepędziłam wsparta na poduszce kanapy, dziwiąc się niezwyčajnemu obchodzeniu.

Nazajutrz dopiero zrozumiałam przyczynę ję postępowania: — dobra dziewczynka! ona tyle o mnie myślała, nawet wtenczas kiedy ją o obojętność obwinać chciałam.

Ze wschodem słońca, przybiegła do mnie, nigdy ję jeszcze tak rano ubranęj zupełnie nie widziała.

— Róziu! mówiła do mnie: winszuję ci, dziś twoje imieniny, pierwsza róża zakwitła w naszym ogrodzie dzisiaj — widziałam ją już, widziałam; — a przy róży pierwszy raz w życiu widziałam wschód słońca. O! jaka dobra mama że mi taką myśl podała; teraz przez całe lato tak rano wstawać będę, abym codzięń śliczny początek dnia widziała.

— A to Róziu moje wiązanie — biała sukienka perkalowa ale ja ją sama uszyłam — i para pończoszek mojęj roboty. — Ubrała mnie starannie, zaprowadziła do matki pokoju — z tamtąd dopiero wszyscy razem udali się do ogrodu.

Kiedyśmy blisko byli różanej alei — Wańdzia mi oczy rączką zakryła — a uszedłszy tak ze mną kilkanaście kroków dopiero odstawiając zawołała:

— Przypatrz się teraz, to niespodzianka dla ciebie!

I ujrzałam na trawniku cztery wiejskie dziewczynki w bieli z wieńcami na czole trzymające w rękach duże głoiski kwiatami owinięte — powstały wszystkie, ukłoniły mi się główkami i podniosły rączki do góry łącząc kwieciste głoiski, które ja składając z pomocą Wańdzi, przeczytałam; RÓŻA.

Potém wybiegła z za krzaku najmniejsza dziewczynka, ładniuchna jak aniołek — z rozpuszczonemi włoskami, nawet skrzydełka miała anielskie — i zbliżając się do mnie, złożyła u nóg moich śliczną, pierwszą rozkwitłą różę.

Wańdzia do boku mi ją przypięła; — dziewczynki wszystkie uściskała serdecznie, najmłodszą Marysię najczuliej; panna Helena przyniosła dzieciom wyborne śniadanie, składające się z mléczka, bułeczki i jagódek. A Wańdzia szepnęła mi do ucha:

— Imama na dzień twoich imienin wszystkim tym biednym dziewczynkom koszulki posprawiała.

Długo, długo bawiły się dzieci wesoło, myślały z początku że ja żywa jestem — przemawiały do mnie; chciały żebym biegała z niemi na wyścigi — i żadnym sposobem pomieścić im się w głowach nie mogło — aby lalka taka duża, taka ładna być mogła.

Ale nie tak mile skończył się dzień moich imienin; ledwieśmy powróciły do pałacu, kiedy z płaczem wpadła młoda dziewczyna wołając: ach — dobra, wielmożna pani! ratuj mi matkę! ratuj — ona

już umiera — bedłkami złemi otruta; — a była to siostra Marysi.

Mama Wańdzi i panna Helena pobiegły natychmiast do chaty gdzie nieszczęśliwa mieszkała wdowa. Aż do wieczora tam przesiadziały prawie, kolejno się mieniały w czuwaniu i pomocy, i doktor z miasteczka przyjechał, ale widać już nic pomódz nie można było, kiedy wróciły smutne, z zapłakanými oczami, a z niémi mała Marysia niemogąca się utulić z żalu.

—Jéj matka już nie żyje, mówiła pani do Wańdzi, ona biédna sierota, ojca już dawno nie ma, a siostra w służbie nic pomódz jéj nie może.

— O! to my ją weźmy mamó. rzekła Wańdzia, a rzucając mnie na kanapę pobiegła pieścić i uspakajać Marysię.

— Chętniebym to uczyniła moje dziecię — ale wszyscy tak są zajęci w domu, każdy ma tyle swoich obowiązków, że nikt nie znajdzie czasu nią się zajmować, szyć dla niéj koszulki, sukienki; uczyć ją i doglądać nie będzie komu.

— Ja, mamó kochana wszystkiego się podéjmę; ja będę dla niéj tak jak Helenka dla mnie troskliwą siostrzyczką, ach! ona nie ma nikogo, ona sierota!... i tu łezki rzewne zalały drobną twarzyczkę.

— A twoja lalka, twoja Rózia kochana, cóż się z nié stanie ?dwóm wydołać nie potrafisz.

— Rózia — o! ona przecież lalka, ona nieżywa;

ja Rózię schowam z jój wszystkiemi rzeczami, nigdy już, nigdy nią bawić się nie będę — zajmę się tylko Marysią, ach pozwól mi mammo!

Na te słowa matka ze łzami przyciskała kochane dziecko do łona. — Nie, ja nie żądam tak wiele poświęceń od mojej Władzi. Nie schowasz zupełnie lalki — ale zamiast jój strojów, dla Marysi szyc będziesz, dla Marysi robić pończoszki — A lalką w święta, w niedzielę tylko razem się bawić będziecie.

I na tém stanęła umowa. Przykro mi było z początku że tak łatwo wyrzekła mi się Władzia. Ale kiedy już w osobnym zamkniętą pokoju na górze, zastanawiać się nad wszystkiém zaczęłam, poznaję że Władzia powinna była tak zrobić.

Dzięki jój staraniom, umiem pisać trochę, w samotności więc mojej — czekając od niedzieli do niedzieli na widzenie mojej pani — nakreśliłam te pamiętniki — życząc aby dzieci co je kiedyś czytać będą, tak obchodziły się ze swemi lalkami jak ze mną Władzia, a pewno na takąż przychylną pamięć zasłużą u swoich lalek.

W. T.

DLA MELUNI,

WIERSZYK SKRĘSLONY NA PIERWSZEJ STRONCE KSIĄŻECZKI
OZDOBIONEJ ZNAKIEM KRZYŻA.



Tobieby się moje dziecię!
Należało raczej kwiecie;
Lecz ja pono baczniej robię—
Że krzyż pański daje tobie.

Nic przed czasem nie osłoni
Kwiatów wdzięku— barwy— woni;
A ty będziesz mieć w udziale,
Pokój— szczęście i wesele.
Wiecznie— pokąd żyć na świecie,
Z Bogiem będziesz moje dziecię!

J. N. Jaskowski.



BIEDNY GÓRAŁ.

•••••

Wyjrzała oknem panienka, okno wychodziło na dziedziniec, a w dziedzińcu przy bramie stał młody wynędzniały druciarz i bacznie do góry poglądał okiem.

Panienka wiedziała że biedni są druciarze, że dla wyżywienia siebie, dla drobnego zarobku z tak daleka przybywają. Że w swoim kraju zostawili i matki i siostry których tęsknotę jedynie nadzieja polepszenia mienia zmniejsza, i żal jój się zrobiło biednego druciarza; kiwnęła rączką na niego — a sama prędko poskoczyła do matki.

„Pozwól, pozwól mammo! mówiła nieśmiało, że dziś i jutro samo mléko dostanę na podwieczorek, a bułeczkę moją oddam druciarzowi, i że mu dam jedną z tych białych dziesiąteczek które mi wczoraj tatko darował.

Pozwoliła matka, a dobra panienka zabrawszy bułeczkę i pieniądz wybiegła do sieni. W pierwszym poruszeniu chciała dziesiątkę wsunąć w rękę

druciarza, ale on spójrzał, zarumienił się i usunął ręki. „To nie jałmużna, powiedziała panienska: to zadatek; kup drutu, zrób co ładnego i przynieś, mama pewno kupi — bo mama taka dobra!“ — A tych słów domawiając i pieniądz i bułeczkę złożyła w rękach węgierskiego górala.

Pan Jezus niech zapłaci litościwój panneczce, zawołał druciarz, o! bardzo, bardzo jeść mi się chciało! Skłonił się do ziemi i przebiegł szybko schody — a panienska powoli wróciła do pokoju z myślą zajęta wybladłym pewno z głodu i nędzy chłopaczkciem.

I znowu mimowolnie spójrzała przez okienko, opodal od bramy na kamieniu siedział wiekiem i trudy pochylony starzec, w narodowym ubiorze młodego górala, któremu stojący przed nim uszczęśliwiony darem druciarz, większą część swojej bułki oddawał.

Byłże to ojciec, krewny, lub tylko ziomek szlachetnego młodzieńca? nie dowiedziała się panienska; ale po tym widoku miłszą jój jeszcze była ofiara — chętniej jeszcze jak dawniej pocziwych wspiera druciarzy.

W. T.

WSPOMNIENIE

○ MARCHINIE TEOFILU

PRZEZ P. K.



Na początku siedemnastego wieku, kiedy nie-tylko oświata, lecz i zamiłowanie w naukach i sztukach zakwitło w Polsce, kiedy Zygmunt III. przyjmował mile na dworze swoim obcych mistrzów a Holender Dankersee zawieszał swoje obrazy po kościołach i zamkach naszego kraju, ziomek nasz, znany tylko pod imieniem Marcina Teofila umiejętnością swoją w malarstwie zadziwiał Niemcy i Tyrol.— Gdzie się rodził? czém byli jego rodzice? niewiadomo, ale musiała to być prawa, poczciwa dusza, bo we wszystkich jego obrazach obok talentu znać spokojność i pobożność malarza, musiał kochać swoją ziemię, kiedy zamiast rodzinnego nazwiska, przy imieniu Marcina Teofila kładł wszędzie imię Polaka. Pod tém nazwiskiem mianowano go w Insbruku—

Nadwornym Arcyksiążęcym malarzem, w Trydencie nadwornym malarzem księcia biskupa i kardynała Karola de Madruz; t \acute{e} m nazwiskiem nazwał swoje obrazy, pod ni \acute{e} m umierając przeznaczył znakomity fundusz ku wsparciu młodzi \acute{e} ży ubogiej a pragnącej nauki.

Blisko trzydzieści lat mieszkał w Tyrolu, i liczne dzieła w r $\acute{o$ żnych miastach tego kraju zostawił; i tak w Insbruku: opr $\acute{o$ cz obraz \acute{o} w w prywatnych zbiorach będących, opr $\acute{o$ cz tych które w ksią \acute{z} ęcym zamku wraz z nim pożarem spłonęły znajdują się jeszcze: w kościele Serwit \acute{o} w Zaślubienie Maryi Panny zadziwiające po dzi \acute{s} dzień znawc \acute{o} w układem i wykonaniem. W kościele Świąt \acute{e} go Ducha obraz Świąt \acute{e} ej Anny, Matki Boskiej, i Dzieciątka Jezus.

W Trydencie: w kościele katedralnym Wniebowzięcie N. Panny, Męczeństwo Młodziank \acute{o} w, Ś. Kryszt \acute{o} f, Ś. Dorota. W kościele Ś. Magdaleny: wieczerza Szymona trędowatego; w kościele Ś. Franciszka: Matka bolesna, i dwa historyczne obrazy z których jeden wyobraza odpust Portiunculi, prócz tego dziesięć innych obraz \acute{o} w w rozmaitych kościołach umieszczonych, i w Castion, w wikarjacie Brentonico prześliczne malowidło wyobrażające Ś. Wawrzyńca.

W Brxien znajdują się r \acute{e} ki jego: w kościele farnym, obraz ŚŚ. trzech Kr \acute{o} l \acute{o} w ofiarujących

dziecinie Jezus. W tamtejszym tak zwanym kościele Kollegijaty N. Panny dwa cudnie piękne obrazy: Zwiastowanie N. Panny, i Ś. Magdalena. W tym kościele spoczywają jego zwłoki, jak świadczy nie pomnik, lecz księga kościelna. Cześć jego pamięci!

Badający wszystko Niemcy domyślają się, że Marcin Teofil ubogi, bez rodziny i przyjaciół widziany tylko miłością sztuki dostał się na naukę do jakiego Szlązkiego malarza, a z tamąd już tylko własną pracą i zasługą wzniosł się do godności prawdziwego mistrza. Jaka to szkoda że dotąd nie mamy nawet wyobrażenia o rodzaju talentu naszego ziomka! Jaki wstyd że zwożąc tak rozliczne malowidła ze wszystkich stron Europy, w podróżach chciwie rysując widoki miejsc obcych sercu naszemu, nie postaraliśmy się dotąd przynajmniej o kopję którego z obrazów, skreślonych ręką Marcina Polaka. Kto wie? może też która z czytelniczek tego pisma zwiedzając kiedy góry Tyrola, oddychając czystym ich powietrzem, przypomni sobie Marcina Teofila, i zdolności swoich na przerysowanie choć jednego z jego dzieł użyje.

WIANKI *)

OBRAZEK WIEJSKI.



Matulku! matulku! to dzisiaj wigilija Bożego ciała, mówiła powracająca z pola Wojciechowój Marysia; Soltysowój Nasteczka powiadała mi o tém, ona po południu idzie zbierać zioła na wianeczki. a Ignacka z dziećmi już takie duże pęki niosła do domu.

O na wianeczki, na wianeczki, i my kwiatki zbierać pójdziemy — wszak prawda matulku droga? wołały młodsze od dziesięcioletniej Marysi dziewczeczki.

(*) Pięknym dowodem pobożności ludu naszego jest zwyczaj święcenia wianków, zwyczaj naszemu tylko właściwy narodowi. W porze najbardziej sprzyjającej suszeniu ziół na leki, przypada nroczyść Bożego ciała; korzystają z tego pobożne niewiasty. wiążą potrzebne kwiaty i zioła w ozdobne wieniec; składają na ołtarzu, prosząc kapłana o poświęcenie. Kościół szanujący wiarę prostaczków, nie odmawia błogosławieństwa podanemu zielu, a lud z większą jeszcze ufnością używa go tak w swoich, jak w bydelka i trzódki cierpieniach.

A z wianeczkami do kościoła ślicznego nas zaprowadzisz matulku, zapytał z wdzięcznym uśmiechem pięcioletni Jasio.

O zaprowadzę ciebie aniołku, odrzekła, pie-szczotliwym całunkiem płacąc uśmiech jedynaka. Potem do dziewczynek obróciła się łagodnie.

Pójdziecie zbierać zioła na łąkę— ale teraz pomóżciez mi w oprzątku domu; ojciec niedługo z pola na obiad powraca, a tu jeszcze roboty nie mało. Jutro takie wielkie święto!

Ach święto święto zawołał znowu Jasio klaszcząc w drobne ręczyny; a siostrzyczki jego pilnie się wzięły do roboty. Druga z rzędu Krysia z matką około obiadu krzątać się zaczęła, Marysia umiotła izbę, sieni i komorę, świeżą bielizną łóżka pokryła; a najmłodsza z dziewcząt Anusia siedmioletnia, wysypawszy żółciutkim piaskiem podwórko, przyniosła z ogródka pęk róż kwitnących i ustroiła nimi obrazki świętych, zdobiące świeżo wybielone ściany lepianki. A tak się chętnie, tak szczerze zajęły wykonaniem zwykłych przed każdym świętém zatrudnień, że kiedy ojciec powrócił z pola, wszystko już ukończoném było.

Spożyli smaczno dar Boży, a po skromnym posiłku *krzyżem pańskim* znaczyli czoło, ramiona i piersi, dzięki Najwyższemu Dawcy i do

nowych prac gotowość znamionując. Pojém rodzice do zwykłych udali się zatrudnień — a dzia-twa swobodna pobiegła w pole, na łąki — po kwiatki, po ziółka.

I bujało ochocze gronko po zielonój trawce, jak lekuchne motylki unosząc się z miejsca na miejsce, jak głosiwe ptaszki świergocąc między sobą, aż nabierało ziół i kwiatów dostatek.

Wtenczas dziewczynki z pełnemi do chaty wróciły fartuszkami — i Jaś obiedwie ręczki napełnione jaskrami i różą polną, wyciągał do matki

Rozłożono dużą płachtę na podwórku, dzia-ki¹ złożyły na niej plony swoje — a dobra matka osiadłszy ją z dziećmi na około, rozbierać potrzebne, odrzucać nieużyteczne zioła zaczęła. Potém pokazała najstarszój córce sposób splatania wianków i odeszła do chaty, dziewczekom wykonanie reszty zostawując.

I ślicznie szła im robota; Aneczka z Krysią układały drobne równianki z rozchodniku, bożego-drzewka, macierzanki; wybierały piękne kwiatki rumianku, z barwinku najdrobniejsze odłamywały gałązki; a zręczna Marysia na zakolonym badyłku drobne zióteczka przymocowując to je stokrotką okrasia, to bratkiem przystroi, to ściągniętą na nitkę z nawrotku gwiazdką ozdobi.

A kiedy już stanęło ośm ślicznych okrągłu-

chnych jak pierścioneczki wianków, matka wyjęła ze skrzyni nową jasno-różową wstążkę, na nią wianeczki nawlokła i sutą zakończyła kokardą.

Dzieweczki sprzątnowszy niepotrzebne zioła, czysto się wszystkie ubrały, właśnie białe koszulki nowemi *zaścieżkami* ozdabiać kończyły, kiedy odgłos kościelnego dzwonu po wsi rozchodzić się zaczął.

Marysia z Krystyną stanęła w parze, Anusia Janeczkowi podała rękę i tak ruszyli do kościoła, a za nimi szedł poważny ojciec i uśmiechająca się matka z wianeczkami w ręku.

Weszli wszyscy w progi świątyni pańskiej, dziateczki przeżegnały się święconą wodą z kropielnicy i pokłękawszy obok siebie pokłon Bogu oddały. Marysia na książeczkę czytać zaczęła, siostry jej z pamięci odmawiały modlitwy, a mały Jasio idąc za przykładem dziewczynek, ze złożonymi rączkami ciągle w kółko swój krótki pacierz powtarzał, czasami tylko zwracając oczki na ołtarz, gdzie takie śliczne złociste były aniołki.

Matka tymczasem odniosła wianki zakrystyanowi, a powróciwszy ukłękła tuż za dziatekami, to pobożnie się ich modlitwie przypatrując, to znów dziękując Bogu że jej dał takie dobre dziateczki.

Odśpiewano psalmy— kapłanowi podano długą, pięknie szytą ponsową ozdobę i kadzielnicę won-

ném narzucono kadzidłem, on poruszając ją ku ołtarzowi, otoczył go jakby wonnym obłoczkiem, potem objął rękoma świetną monstrancję i przy rozgłosie licznych dzwonek, przy hucznych bębna uderzeniach, żegnał się lud kornie ku ziemi pochylony.

Wojciechowój dziateczki razem z wszystkimi zniżyły czoła, ale ich myśli wyżej, serdeczniej się wzniosły, bo im się wydawało, że na ołtarz z rozwartego nieba spłynął obłoczek z synem Bożym, że ich odgłos anielskiej muzyki dochodzi, że woń nieba zachwycają!

Kapłan opuścił stopnie ołtarza, sam dziediec rękę mu podał, czterech dworskich przyjęło go pod strojny baldachim, dziadek z krzyżem poprzedał z chorągwiami i jaśniejącem światłem wierny go lud otaczał, śliczniuchne w bieli i kwieciu panienki różanemi listkami usypywały drogę — i tak wyszli na cmentarz.

Procesya w okolo kościół okrążyła, Wojciechowa z dziatkami postępowała w oddali, łącząc głos swój z chóralnym śpiewem ogółu; ale raz jakoś w ciągu procesyi przybliżyły się jój dziatki do kapłana — o! zdziwienie — na złocistej monstrancyi promieniach, swoją bufiastą różową wstążkę, swoje wianeczki spostrzegły. — W samiej rzeczy tak było. — Zakrystian widząc zgrabnie i drobno uwite wianki Wojciechowój, zamiast po-

łożyć je z innymi na ołtarzu, tuż obok dworskich na monstrancy zawiesił, a serca pobożnych dziatek jeszcze gorętszą modlitwę zasiały przed tron Boga.

Cała procesya powróciła w progi świątyni; dwa rzędy wiernych z zapalonemi świecami, na kolana, przyjmowało orszak baldachimu; i znowu kapłan ze stopni ołtarza wierny lud błogosławił, i znowu Wojciechowej dziateki widziały w wyobraźni swojej Zbawcę świata unoszącego się na jasnym obłoczku, a woń ich niebieska zalatywała i anielskie słyszały chóry.

Nareszcie wszystko skończyło się i ucichło;— poważnie, wolno wychodzili zgromadzeni z nie-sporów, czasem tylko mocniejsze westchnienie, głośniejszy szept końzonego pacierza objął się o uszy, aż wyszli za podwoje kościoła, za mur cmentarza.

Tu dopiero gwarniej zaczęły się rozmowy gospodarzy, weselne powitanie młodzieży, głośniejsze dziatewy śmiechy — aż potrzeba odpoczynku, znużenie — wszystkich do chatek zwabiło.

I tak się skończył wieczór pierwszego niesporu w Oktawie Bożego ciała — za nim podobnych ośm przebiegło; tylko ósmego już nie w skocznych płasach ale z poważną radością szły dziateki Wojciechowej z kościoła prosto do domu, a na czele

ich Marysia z poświęconemi wiankami w rękę. Matka jój samęj nieść pozwoliła, samęj zawiesić w chatce nad kolorowo malowanym obrazem Przenajświętszej Panny.

W. T.



LIST MŁODEJ ZIEMIANKI.



Na samym podobno wyjeździe do Tręczyna list cię mój ostatni doszedł— przez całe dwa miesiące innym cię nie pogodziłam, myślałaś więc ciągle o smutnej tęsknej przyjaciółce,— a może nawet nieraz westchnęłaś nad dziwacznym moim usposobieniem, co się tak do zmiany życia przyzwyczaić nie może, litowałaś się nademną— bo na uzalenie nie zasługiwałam w samej rzeczy.

O moja jedyna aż wstydze się dzisiaj tych skarg tych bredni któremi napełniłam cały list przeszły. I doprawdy pojąć nie mogę jak ja na nie zdobyć się mogłam. Ja co z Felińskim, Węzykiem, Koźmianem tak wielbiłam piękność natury, ja co powtarzając z uniesieniem rzewną poezję Brodzińskiego, tak już jego serdeczną miłością, chłopków kochać zaczynałam, ja zadrzałam na myśl samą zupełnego na wieś powrotu rodziców moich, łzami goniącemi wspomnienia Warszawy wi-

tałam ciche wiejskie ustronie, i byłabym długo zbyt długo może tęskniła uporczywie za spacerem Łazienkowskim, za nową sztuką w Teatrze za tańczącym wieczorkiem, gdyby nie następujące zdarzenie.

Wyprawivszy listy do ciebie— bardziej rozdrażniono exaltacją wynurzeń moich— wysłałam na dziedziniec, prawie bez celu, bez myśli. Słońce zachodziło właśnie, ostatnie jego połyski spoczęły na kłębach dziedzińcowych, i poraz pierwszy zwróciwszy na nie baczną uwagę moją, wykryły mi całą ich różnowzorną piękność.

Siadłam na kamiennych schodkach pałacowych— okiem powiodłam do koła siebie.— Na lewo czerniły dawnego pałacu ruiny, z po za nich wybiegłe topole, dzwicznym szelestem coś objawiały— drobnym kłębowym krzewinom wprost mnie stojącym, które chociaż na wieczną skazane poziomość, wszystkie gałązki zwróciły do góry— jakby na znak uwielbienia wzniosłym topolom wyrównać chciały. Na lewo za umajonym płotkiem szedł gościniec— przy gościńcu stał krzyż malowany, a za krzyżem ocieniona drzewami droga do kościelnej prowadziła wioski.

Siedzę, przypatruję się i myślę— jedną razą, na gościńcu od naszej strony cichy gwar się rozległ i połączył z wolnym kół turkotem, obracam się skwapliwie— aż tu prosty jednokonny z drab-

kami wózek — a na nim uboga trumienka. W ponurém milczeniu postępował przy wózku średniego wieku mężczyzna, gromadka niewiast i gronko dzieci za cały pogrzebowy orszak służyły.

Zbliżyli się do krzyża — chłopak konia zatrzymał — uklękli wszyscy w milczeniu, i w milczeniu, Bogu nowego aniołka oddali. Chłopak powstał i ruszył dalej, one klęczały jeszcze, aż znikł zupełnie z ich oczu — wtenczas matka jęklivy krzyk wydała i padła twarzą na ziemię jak gdyby bluźnierczą boleść przytłumić chciała, opoką téj ziemi która w swe łono za chwilę miała przyjmując jój dziecię.

Nigdy, nigdy wypowiedzieć ci nie zdołam com czuła w téj chwili — jakieś niepojęte owładnęło mnie wzruszenie, klęczałam z orszakiem — płakałam z matką nieszczęśliwą, ale taki obraz i w takim miejscu to tylko Brodzińskiego pióro godnieby oddać potrafiło.

Złączyłam się z gromadką — z rozmowy i uzaleń dowiedziałam się że wiele dzieci choruje we wsi w tym czasie. Wskazane mi chatki naznaczyłam wszystkie w myśli — i spiesznie powróciłam do domu prosić kochanej mamy o posłanie do miasteczka po lekarza. Dobra mama, dziekowała mi zem jój myśl uprzedziła — tego wieczora jeszcze pociecha wstąpiła do niskich chatek, — mama sama oprowadzała lekarza a ja na drugi

dzień miałam zacząć lekarstw wydzielanie, stosownie do przyczepionych kartek.

O jeszcze nigdy tak rano nie zerwałam się z łóżka! podobno dopiero szósta była godzina kiedy już zupełnie ubrana z łyżką i flaszeczkami wybiegła z pokoju.

Na końcu wiejskiej ulicy, Wojciechowej stoi chata, tam najwięcej cierpiący był chłopczyk— od niej więc zacząć miałam. Usuwam spiesznie drewnianą drzwi zaporę, wchodzę do wąskiej nędznej sieni— z sieni do nędźniejszej jeszcze izdebki. Oglądam się, w około pusto — już chcę wychodzić kiedy z jednego rogu jęk się odzywa.— Przybliżam się do nędznego posłania, o moja jedyna! ja ci opisać nie potrafię jakim uczuciem ten widok mnie przejął!

Mój Boże kiedy w naszym stanie lekka słabość kogo w łóżku zatrzyma, ileż przy nim starań, pieczołowitości, doglądań, a tu od dwóch tygodni leży, ukochane dziecię, leży samotne, opuszczone, nie ma komu czulém pytaniem umniejszyć cierpienia, nie ma komu zrozumieć gorączkowych ust poruszeń. Ojciec z plugiem poszedł w pole, do przyszłych plonów sposobić ziemię, najstarsza siostra pańskie odrabia, a matka wyprzedzając świtanie pobiegła na swoim zagonie użąć kilka snopów, bo wczoraj ostatni już mąki zapas na chleb zaczęła. Poszli wszyscy— a poszli bo mu-

sieli, ostatnia wyszła z chaty matka, łzawém okiem żegnała chorego Józefka boskiej go polecając opiece.

Wprawdzie zostawała jeszcze, ośmioletnia Magdusia przy kolebce, maleńkiego Janka, ale dziecię dziś wczesnie rozbudzone jękami brata w żaden sposób w izbie siedzieć nie chciało; i póty wyciągało z płaczem rączki do zielonej trawki, do kwiateczków co przy płocie rosną aż je Magdusia na dwór wynieść musiała.

Od niej to dowiedziałam się wszystkiego— zwabiona bowiem ciekawością niedługo po mnie weszła do chaty.

Obiegłam kolejno naznaczone pamięcią domy, nie wszędzie wprawdzie takie opuszczenie chorych, ale wszędzie równą nędzę znalazłam, bo jak się dowiedziałam później był to czas przednówka a mieszkańcy wioski tak w moich oczach bogatej w obfite plony— od dni kilku samemi żyli betłkami.

Zadrzałam na taką wiadomość, zrozumiałam powód nędzy i choroby coraz się bardziej szerzącej— a idąc za pierwszym popędem serca pobiegłam błagać ojca o pomoc dla nieszczęśliwych. Już nie wiem jakimi mówiłam do niego wyrazami, wiem tylko że mnie słuchał z zajęciem— potem sam mówić, tłumaczyć mi zaczął— i dowiedziałam się— niestety! że sprężyną niedoli

chłopców naszych — są po części oni sami, a głównym źródłem ich zaniedbane wychowanie.

Mówił mi jeszcze ojciec o wielkich zamiarach swoich celem polepszenia ich bytu — o myślach które mama rozwijać pragnie, a mówił tak pięknie że i ja uczułam całą godność córki ziemianów polskich i przyrzekłam sobie w duszy stać się godną mojego położenia.

O tak, rozumiem teraz dziedzic to nie pan to przyjaciel, to ojciec włościan — dziedziczka nie pani ale pośredniczka, lekarka, matka, a córka dziedziców to pomoc, wyręczycielka obojga — to opiekunka wiejskich dzieci.

Do mnie więc odtąd należeć będą dziatki rolników — ich ojcowie w pocie czoła dla nas uprawiają niwę — byt nasz, przygody, pomysłność ich pracy winni jesteśmy — wdzięczną za tą przyhylnością wypłacać im się trzeba.

Przy ciągłej troskliwości, — chore dziatki w krótko odzyskały zdrowie — dobre ich matki łzami wdzięczności dziękować mi przychodziły — moja droga! jaki to lud dobry — małą przysługę tak wysoko ceni! — One nie wiedzą że rumieniec zdrowia ich dziatek większą mi był nagrodą jak wszystkie dzięki, pochwały. Jedna matka rozczuliła mnie bardzo — była to nboga wyrobnica, jedynak jój bardzo chorował — po kilku łyżkach lekarstwa widocznie mu ulżyło, a kiedy w dni parę zdro-

wę dziecię śmiać się i grzechotać do matki po dawnemu zaczęło — porwała go z uniesieniem na ręce, w jego rączki włożyła młodą kurkę jedyny swój majątek i przybiegła mnie prosić abym przyjęła tę oznakę jej wdzięczności. Wymawiałam się usilnie, ona jeszcze usilniej nalegała aż nareszcie zrobiliśmy układ taki:— przy mnie kurka została, a ona zabrała z sobą dwie gąski do mego należące gospodarstwa.

Kiedy więc już chorzy nietyłe potrzebowali mojej pieczołowitości zajęłam się wykonaniem planów moich.

Najwprzód zwiedziłam szkółkę miejscową. Wszystko zastałam dobrze. Mieszkanie wygodne i obszerne, nauczyciel zdolny, dawny uczeń puławskiej szkoły, ławki, stoły tablice w należyтым porządku — ale przy tém wszystkiém dzieci tylko czworo — dwie dziewczynki kucharza, organisty i ekonoma chłopczyk.

Pytam się dla czego dzieci tak mało?— To lato panienko odpowie nauczyciel— a latem wiejskie dzieci starsze pomagają rodzicom, a młodsze jeszcze młodszych strzegą.

Nie umiałam poradzić sobie, smutno wróciłam do domu, dopiero ojciec kochany, wyprowadził mnie z kłopotu, podając myśl założenia ochrony wiejskiej.

O duzo miałam trudności nim tę myśl rozwi-

nąć potrafiłam— Widziałam ja wprawdzie ochrony Warszawskie ale zwiedzając je przez samą ciekawość, najglówniejszych nie dowiedziałam się rzeczy; musiałam więc i czytać dużo i pytać, i radzić się co chwila to ojca to mamy— aż narazie tak się ułożyło wszystko.

Była w domu naszym jedna wdowa po dawnym ekonomie, bezdzietna, z łaski rodziców moich utrzymywana, ją więc zrobiłam główną *matką ochrony*, z pensyi mojej dwadzieścia złotych miesięcznie jój płacić przyrzekłam— ojciec do tego dawno ordynaryę przyłączył— a mama kochana co miesiąc na zabawki dla dzieci pięć złotych przeznacza.

Wiesz że my już mieszkamy w nowym pałacyku, dawny dwór drewniany stał prawie pustką— z łatwością wielką jedną stronę gdzie duża sala i pokoik mały się znajduje, dostałam na ochronkę— tuż za dworkiem jest podwórko i mój dawny ogódek— teraz już własność ochrony.

W przeciągu dwóch tygodni tak się wszystko pięknie urządziło— że i nasza poczciwa Lipowska, obowiązki swoje poznała i mieszkanie się wyporządziło— i dwadzieścia przeszło dziątek małych zgromadziło się do sali, i sześć siostr nianiek do szkoły chodzi.

O nie nie, już wcale nie tęsknię za Warszawą ja tu tak użyteczne tak miłe prowadzę życie. I ta-

lenta mi się przydały. Tylko się nie śmiej, moja droga, ja ci najszczerzą prawdę powiem że chociaż maluję tylko koniki, żołnierzy, ptaszki, zwierzątka, dla dzieci wiejskich i to czasem umyślnie jeszcze jaskrawsze jak w naturze, doprawdy wcale mię to nie nudzi — a uawet milsze mi są te próbki od owych historycznych obrazów a których całe życie marzyłam. I muzyka mi się przydała łatwą, dobitną nótę układam do piosnek dla dzieci — a kiedy fortepianu przenieść nie można do ochronki — często harfy dźwiękiem do skoków ich zachęcam!

Otóż i arkuszowy list zapełniłam — przebiegłam go oczyma doprawdy i na drugim arkuszu nie zmieściłabym moich opisów — lepiej już im dać pokój — zostawić resztę do twojego powrotu — bo jak nam mama twoja robi nadzieję podobno w przejeździe do nas zboczyście — dosyć na teraz dowodów że jestem szczęśliwa w wiejskim ustroniu bo cel prawdziwy życia poznałam.

W. T.

OBZAKANA.

Było to ósmego Maja, ze wszystkich okolic zeszli się włościanie do kościoła gdzie odprawiano nabożeństwo na cześć *uroczystującego* w ten dzień świętego; wszystkie ławki były zapelnione, posadzka pokryta kłęzczącymi, i kaźden zdawał się być najmocniej nabożeństwem zajęty, gdy w drzwi świątyni weszła wysoka, czarno ubrana niewiasta, wsparta na ręce młodej jasnowłosej dziewczynki. Głuchy szmer powstał między wieśniaczkami bliżej wejścia będącemi, i jedna za drugą zaczęły się z drogi usuwać, tak, że czarna nieznajoma wygodnie przeszła wśród tłumu, i stanęła przed wielkim oltarzem.

Nie klękała, nie przeżegnała się jak jej przewodniczka; w milczeniu stała patrząc ponuro przed siebie, zdawało się że nie czuje, nie rozumie co się koło niej dzieje; dopiero kiedy uroczysty dźwięk organu obił się o sklepienie kościółka, gdy się z nim połączyły młodych dziewcząt głosy, obli-

cze nieznaiomój zaczęło się rozjaśniać, i skoro zadzwoniono na „Święty“ przyklękła z uśmiechem, i w téj postawie została aż do końca nabożeństwa. Wtedy młoda dziewczyna która ją była przyprowadziła podała jej rękę, wyszły obie z kościoła minęły w milczeniu stojących u drzwi wieśniaków, i udały się na cmentarz.

Tam pod trzema lipami były trzy zielone, kwiatem ozdobione mogiły; nieznajoma zbliżywszy się do nich, usiadła na ziemi, wlepiała w nie oczy, i założywszy ręce na piersiach zamysliła się głęboko.

Jasnowłosa dziewczynka uklękła obok niej, i pomodliwszy się chwilę, wstała, i w mieszała się w grono wiejskich dziewcząt stojących nie daleko.

— Powiedz mi, spytała jedna z nich wskazując na siedzącą nieznajomą, czy to twoja matka?

— Nie, to moja pani.

— Z kądże ona się tu wzięła, rzekła druga, pamiętam że kiedyśmy jeszcze w staréj chałupie mieszkali, to jéj we wsi nie było.

— Oh! to długa historia, rzekła młoda dziewczyna.

— Opowiedz nam ją proszę, zawołało kilka wieśniaczek, przynajmniej będziemy wiedziały prawdę, bo jedni mówią że to warjatka, drudzy że jeszcze coś gorszego; a boją się jéj wszyscy jak

nie wiem czego, bo kiedy ją kto spotka wyszedłszy z domu, to już może być pewnym nieszczęścia.

— Nie wiercie temu! rzekła młoda dziewczyna, moja pani choć sama nieszczęśliwa, nikomu nieszczęścia nie przynosi. Teraz kiedy już przy grobach usiadła, pewno przez długi czas zostanie spokojna; jeżeli więc chcecie, to wam powiem wszystko co sama wiem o niej, żebyście się jój nie bały.

Usiadła na jednéj z licznych mogił, ciekawe dziewczęta otoczyły ją w koło, a ona w te słowa opowiadać zaczęła:

— Moja Pani wychowała mnie od dzieciństwa, znam ją więc dobrze; zawsze była tak słodką, tak łagodną, tak się z wszystkimi dobrze obchodziła, że ją za to każdy z całej duszy kochał. Mąż jój był urzędnikiem, dwaj synowie chodzili do szkół, a córka Cecylia ładna i dobra jak matka, chowała się w domu.

Będzie temu ze trzy lata, wybraliśmy się wszyscy w drogę, chcąc odwiedzić brata pani który jest księdzem proboszczem o dwanaście mil z tąd, panowała w tedy właśnie okropna choroba zwana cholera, i ledwie żeśmy wyjechali milę od Warszawy, mąż pani zachorował; posłaliśmy czémprędzej po lekarza do miasta, ale za czém przyjechał, mój dobry pan już nie żył.

Pani się zmartwiła niezmiernie, ale nie na tém się skończyło; jeszcze nie ubrano nieboszczyka, gdy dwaj synowie, uczuli takie same boleści jak ojciec; na próżno im dawano różne zioła do picia, na próżno przytomny jeszcze doktor kazał ich rozcierać i ogrzewać, nic to nie pomogło, skonali w trzy godziny, a nieszczęśliwa matka padła bez czucia na ziemię.

Oprócz mnie, był jeszcze z państwem stangret i lokaj, wynieśliśmy panią do drugiej izby, ocucili, i położyli na łóżku karczmarki; służący zajęli się zaraz pogrzebem zmarłych, a ja doglądałam pani która ze zmartwienia zachorowała, cieszyłam jak mogłam pannę Cecylię, i płakałam z nią razem,

Nazajutrz złożono ciała na wozach, Cecylia ledwie żywa z płaczu i żalu chciała iść za niemi, nie chciałam jęj puścić samęj, i powierzwszy panią karczmarce, poszłam z panną. Wiecie że tu parafia, szłyśmy więc milę drogi piechotą, i aniśmy czuły jak to daleko, ale gdyśmy tu stanęły, zdjęto trumny z wozów, ksiądz je pobłogosławił, i już je miano spuszczać do grobów gdy usłyszeliśmy głośny śmiech za nami; odwracamy się aż tu nasza pani nieubrana, z rozczochranemi włosami śmieje się okropnie, mówiąc że nas przecię oszukała, i że się wyrwała karczmarce.

Chcieliśmy ją odprowadzić od tak smutnego

widoku, ale nas poodpychała, i spokojnie patrzyła jak przywalano ziemią zwłoki jój męża i dzieci. Biédna! nie rozumiała już swojego nieszczęścia, bo z wielkiego zmartwienia straciła rozum zupełnie.

Po skończonym obrządku wzięła za rękę splekaną Cecylię i chciała wyjść z cmentarza, lecz przy drzwiach opuściły ją siły; musieliśmy ją zanieść do karczmy, położyliśmy ją znowu na łóżku, ja z panną Cecylją zostałam przy chorój, lokaj pojechał po doktora do Warszawy, a stan-gret do brata pani, donosząc mu o wszystkim, i prosząc żeby z nim przybył, bośmy nie wiedzieli jak sobie poradzić.

Doktór przyjechawszy, powiedział zaraz że chorobę wyleczy z gorączki, ale że jój rozum nie prędko, a może i wcale nie powróci.

Przyjechał i xiądz proboszcz, ale go pani nie poznała, śmiała się i płakała na przemiany, potem zrywała się z łóżka, i lajała a nawet biła tych, co jój nie pozwalali wyjść z izby. Mój Boże! cośmy się też napłakały widząc ją tak zmienioną, doktór przyjeżdżał co dzień, ale wszystkie lekarstwa nic nie pomagały, ciągle była w obłąkaniu, a im więcej ją pilnowano, tym więcej się wzmagało.

Nareszcie brat pani umyślił dać jój zupełną wolność, pewnego więc rana nie zamknięto drzwi

jak za zwyczaj, ona téż myśląc że jój nikt nie widzi, wymknęła się po maleńku; poszliśmy za nią z daleka, biegła prędko jakby była pewną drogi, nakoniec przyszedłszy na ten cmentarz, usiadła przy mógiłach jak ją teraz widzicie, i siedziała długo, bardzo długo, nie uważając żeśmy byli przy niej. W kilka godzin wzięliśmy ją pod ręce, i zaprowadzili do karczmy, nic nie mówiła, ale szła spokojnie, i przez cały dzień nie gniwała się na nikogo.

Tak było co dzień przez tydzień cały, prawda że była daleko spokojniejszą jak przed tém, ale nie poznawała nikogo, nie zajmowała się niczém, i nie mówiła ani słowa.

Xiądz proboszcz widząc że jój siły wróciły zupełnie, i że w lichój karczemce niewygodnie było mieszkać, kazał zaprządz powóz i ruszyliśmy na powrót do Warszawy, do naszego mieszkania. Pani nie przeciwiała się temu wcale, spała spokojnie, ale nazajutrz rano zniknęła, i naszukawszy się jój wszędzie, wieczorem dopiero znaleźliśmy ją tu na cmentarzu zmęczoną, osłabioną, bo dwie mile przyszła piechotą, i cały dzień nic nie jadła ani piła.

Odtąd co rano powóz na nią czekał przy drzwiach, co dzień tu przyjeżdżała nie uważając na deszcze i zimna, widocznie było że jój tylko to miejsce było przyjemnem, że tu tylko była spokojna. Jój

brat więc, najął mieszkanie w starej tutéjszej plebanji, sprzedał wszystko co miała, i nie wiem jak tam zrobił, dość że pani będzie miała z czego żyć do śmierci, i jeszcze się dla panny Cecylji zostanie. Chciał ją nawet wziąć do siebie, ale dobre dziecię nie chciało opuścić nieszczęśliwej matki, zostałyśmy obie przy niej, i pilnowaliśmy żeby jej na niczém nie zbywało, bo ona sama nigdy nie pomyślała ani o ubraniu, ani o jedzeniu.

Długośmy tak żyły; xiądz proboszcz często nas odwiedzał, przywoził z sobą po kilka razy lekarzy, lecz każdy wzruszał ramionami, mówiąc że gdyby ją codzień rozrywać śpiewem i muzyką, to może by jej jeszcze można było choć część rozumu przywrócić.

Zaczęłyśmy więc chodzić po kościołach, i do prawdy, po summie weselszą była daleko, głaaskała nas obie po głowie, i obie nazywała swoją córką Cecylją, może dla tego żeśmy były jednego wzrostu, i jednakowe miały włosy; ale rozum nie wrócił; boć trudno żeby jej kto codzień śpiewał summę, jak Panu Bogu w niedzielę.

Na tém skończyła opowiadanie; dziewczęta z uczuciem poglądały na nieszczęśliwą siedzącą ciągle przy mogiłach, nie uważały jej już za złą wróżbę, i każda radaby jej się czém przysłużyć, ułożyły między sobą że jak się podniesie zaśpie-

wają razem jedną z ładnych śpiewek, które zwykle w zimie przy kądzieli nucą.

— Ale gdzie jej córka? spytała jeszcze młoda wieśniaczka, nie widzę jej nigdy czy także umarła?

— Ach nie! rzekła ze łzami Marja, (bo tak się nazywała dziewczynka) ale ja sama nie wiem gdzie się podziała: raz kiedy jej wuj przyjechał rozmawiała z nim długo; potem przysła do matki, pieściła ją całowała, nakoniec ukłękła i prosiła o błogosławieństwo; zrozumiała ją biedna moja pani, i położyła rękę na jej głowie. Panna Cecilja wyszła i nie widziałam jej już od tego czasu; ale co u nas, to teraz jeszcze smutniej, nie ma do kogo i słowa przemówić.

Biędna dziewczyna zapłakana wróciła do swojej pani, podniosła ją i wyprowadziła z cmentarza. Wieśniaczki dotrzymały słowa i zaczęły z wolna nucić smutną dumę, obłąkana stanęła, słuchała uważnie, a gdy skończyły uśmiechnęła się, i podawszy rękę Maryi, zwróciła się ku domowi.

Wśród drogi stała figura, dziewczyna zatrzymywała się przed nią, ile razy przechodziła tamte dy, i szczerze się modliła o uzdrowienie swojej dobrej pani; i teraz ukłękła, lecz zaledwie pierwszą odmówiła modliwę usłyszała oddalony dźwięk harfy, zdawało się że wychodził z gęstych zarosli będących nie opodal od krzyża.

Dźwięki te tak były tkliwe i czyste, że Marja

przywykła do nie najlepszej gry organisty lub wiejskiego skrzypka, myślała że to głos aniołów z nieba aż do niej doszedł. Spojrzała na obłąkaną, nigdy jeszcze od czasu nieszczęsnej słabości twarz jej nie była tak pogodną i wesołą; lecz dźwięki ustały zwolna, a obie kobiety podniosły się wróciły do domu.

Przez ośm dni ten cud się powtarzał, zawsze gdy wracały do domu witał je dźwięk niewidzialnej harfy; obłąkana z początku wesoła, co raz się smutniejszą stawała, przemawiała wprawdzie czasami do Maryi, lecz częściej jeszcze zamyślała się ponuro i zdawało się że dopiero zaczynała czuć swoje nieszczęście. Dziewczyna domyślając się że to było skutkiem nieznanej muzyki, nie wiedziała czy się jeszcze zatrzymywać pod figurą, czyli też omijać; lecz kiedy dziewiątego dnia koło niej przechodziła, uderzył ją śpiew połączony z brzmieniem harfy, już nie ona, lecz obłąkana zatrzymała się sama, i wsparłszy się o krzyż drewniany z największą uwagą zaczęła słuchać tego słodkiego i tkliwego głosu.

Zwolna zbliżał się ku figurze i zdawało się Maryi że wśród zarośli ujrzała lekką białą postać pochyloną na harfie; już teraz nie tylko smutna i uroczyta muzyka, ale i wyrazy doszły jej ucha, był to psalm;

Panie! wysłuchaj modlitwę moją!

Znasz serca mego skrytości,

Błagam cię, w łaskę ufając twoją

Spójrz na mnie okiem litości.

Nie wchodź w rachubę i sąd straszliwy

Ze służą twoim mój Boże!

Bo przed Twym okiem, któż proszę żywy

Usprawiedliwion być może.

Obłąkana obięta krzyż rękami, i choć głos zamilkł słuchała jeszcze z głową zwróconą ku zaroślom, harfa brzmiała ciągle się przybliżając, a w krótkce spiew się ozwał znouu.

Oczyść mnie z grzechów, oczyść tej godziny!

Uwolń mnie z więzów w których mnie błąd trzyma,
Bo ja poznałem wielkość mojej winy

I grzech mój zawsze przed memi oczyma.

.

Z góry mnie na dół pchnąłeś rozgniewany,

A w gniewie twoim wiek mój oplakany

Chynął ku nocy, jako cień wieczorny,

I uschłem nędzny jako kwiat ugorny

.

— To prawda! rzekła słabym głosem nieszczęśliwa, przyłożyła rękę do głowy, potem do serca i rzekła jeszcze; to prawda Marjo.... i ze mną tak samo.... ale dla czego?.....

Nie mogła sobie przypomnieć przyczyny swego nieszczęścia. Głos się jeszcze bardziej zbliżył, Marja wyraźnie już widziała młodą jasnowłosą dziewczynkę grającą na harfie jak niegdyś Dawid przed obłąkanym Saulem, zdawało się nawet że, ją poznawała, lecz nie śmiała przerywać bo po trzeci raz śpiewać zaczęła.

Jestem jak w lesie pelikan schowany,
Jako ptak nocny w pustkach zamieszkanym,
Oczu nie mogę przymrużyć ze strachem
Jak biedny wróbel sam jeden pod dachem.

— Ah tak! zawołała obłąkana: i ja jestem sama na świecie, i dla mnie on pusty... załamała ręce, grube łzy potoczyły się po twarzy: Marja szczęśliwa padła na kolana, bo lekarze powiedzieli, że jeżeli zapłacze, to rozum jój wróci.

Jakoż wrócił istotnie; cały obraz przeszłości stanął przed jój myślą.

— O moje dzieci! moje dzieci! zawołała płacząc, Bóg mi was zabrał dwoje; ale moja córka, moja Cecylja, ona mnie dobrowolnie opuściła!...

— Nie matko! zawołał Aniół grający na harfie, twoja Cecylja tu przy tobie; opuściłam cię na jakiś czas, żeby cię potem do szczęścia powrócić; poznasz że mnie? kochasz mnie jeszcze jak dawniej? i lube dziewczę pieściło wyschłą rękę nieszczęśliwej.

Matka przycisnęła ją do serca, a potem z zupełną przytomnością zaczęła jej pytać, co robiła i gdzie była przez tak długi czas.

— Pójdźmy do domu, rzekła Cecilja, potrzebujesz spoczynku, potem ci wszystko opowiem.

Przez drogę wszystkie trzy ściały się na przemiany, obłąkanie zniknęło zupełnie, i wszedłszy do mieszkania, nowo uleczona nalegała na Cecylją aby jej wyjaśniła to szczęśliwe i cudowne zdarzenie.

— Kiedy lekarze osądzili, rzekła dziewczynka: iż tylko dobra, często wykonywana muzyka może twój umysł uzdrowić, nie przestawałam myśleć jakinby to sposobem można było do skutku doprowadzić. Nie mamy dość pieniędzy aby co dzień jakiego mistrza sprowadzać, a po tém któren że by z nich tak jak ja czuł, tak jak ja pragnął twego uzdrowienia? Postanowiłam więc nauczyć się grać koniecznie, choćby mnie to nie wiem co miało kosztować.

Zwierzyłam się wujowi, a on mnie zawiózł do Warszawy i oddał przełożonej klasztoru panien Wizytek; dobra ta pani dowiedziawszy się o moim zamiarze, przyjęła mnie uprzejmie, i poleciła młodym zakonnicom, które mnie chętnie uczyły muzyki; nie miałam im się czém odplacić służyłam im, i pracowałam dla nich przez dzień cały,

a wieczorem i w nocy, grałam i śpiewałam hymny lub psalmy.

Tak przeszło dwa lata, Bóg który mnie natchnął tą myślą, pobłogosławił moje usiłowania; i moje nauczycielki oszczędziły że dość już umiem. Przełożona darowała mi harfę i napisała do wuja żeby po mnie przyjechał; przywiózł mnie tu przed dziesięcioma dniami, stanęliśmy oboje u tutejszego plebana, i odtąd co dzień grywałam ci pod krzyżem. Ah matko! gdybyś wiedziała com czuła tak blisko ciebie będąc, jak drzałam myśląc że się może zawiodę w nadziei, że mój głos żadnego na tobie nie zrobi wrażenia!

— Moje dziecię! moja Cecyljo! ileż ci winna jestem, tyś mi więcej jak życie wróciła; teraz dopiero poznaję jak byłam uieszczęśliwą kiedy przez tak długi czas nie czułam żem twoją matką, nie umiałam twójgo serca ocenić.

To mówiąc całowała jasne włosy swjej córki, która z kolei pieściła dobrą Maryję, i przysięgała wieczną wdzięczność za tkliwe koło jej matki starania. Nadszedł i xiądz proboszcz którego siostra tak długo nie poznawała; trudno opisać szczęścia i radości tej małej rodziny, po tylu latach smutku i cierpienia. Nie porzucili skromnego w plebanji mieszkania, bo się nie chcieli oddalać od drogich im grobów; co dzień matka i dwie dziewczynki chodziły je odwiedzać i zdobić kwiatami, modliły

się, płakały wszystkie razem, potem wracały do domu, i reszta dnia schodziła mile na pracy i rozmowie.

Wieśniacy i wieśniaczki, nie unikały już czarnej nieznajomój, owszem witały ją uprzejmie ile razy wyszła z domu, a w pogodne wieczory cała wieś zbierała się pod jej oknami, i słuchała śpiewu i harfy Cecylji.

P. K.



POWIETRZE

(z prawdziwego zdarzenia).



Była to niedziela — niedziela dzień tak ważny, tak uroczysty dla pracowitych wieśniaków; jednak nie widać radości na twarzach skromnych mieszkańców Wierzbowa. Czemuż mileżą ochocze skrzypki niegdyś do miłej wzywające rozrywki? Czemuż ustał wesoly gwar zebranych kumoszek i głośnie rozprawy starszych wiekiem gospodarzy? Co znaczy ta posepność, ten wyraz przerażenia? — Kto pozamykał te chatki? gdzie są ich właściciele? — Co przyczyną łez téj rozpaczającej niewiasty? Kto wydarł matkę tym tulającym się dziatkom? Zaraza! okropna zaraza!...

Powoli, donośnie ozwał się odgłos kościelnego dzwonu do wieczornój wzywając modlitwy. — Ucichły szmery, wszyscy jakby jedną niewidzialną pchnięci siłą, padli na kolana, i gorącemi słowy i pełném czucia wejrzaniem błagali litości Boga.

Ostatni raz dzwon uderzył uroczyście, żałośnie, a w jego dźwięku było coś tak smętnego, tak okropnego jak gdyby był echem konających jęku, skargą pozostałych sierot, lub nowych klęsk przepowiednią. O! długo, długo ten odgłos złowieszczy drżał w uszach słuchających, choć coraz ciszej, choć coraz słabiej, lecz zawsze z równym wrażeniem, aż nareszcie skończył zupełnie. Ale powstał jęk drugi, już nie marzeń, przewidywań, nie urojenia, tylko jęk boleści. — Małe wynędzniałe dziecię w odartej sukience z piętnem choroby i wyniszczenia przywlekło się do murów cmentarza okrążającego świątynię — chciało postąpić dalej — zdrząły nóżki i padło bezsilne na ziemię. — Jeszcze raz wzniosło zapadłe oczy w których ogień gorączki walczył z mgłą śmierci, poruszyły się spieczona usta jakby chłodzącego szukając napoju, podniosła się zsiniała rączka, i dziecię zawołało na wpół umarłym głosem „wody!... kropelkę wody dajcie!“...

Posunęło się kilka osób — ale myśl zarazy nagle ich cofnęła, i rozpierzchnął się tłum patrzących — a bojaźń śmierci ostudziła uczucie ludzkości w sercach tych ludzi, którzy przed chwilą sami tak kornie błagali miłosierdzia.

Wtém się wyrывa z pośród tłumu niewiasta — jej odzież nosi cechę kilkodniowej podróży — na licach maluje się wyraz z mordowania i pośpiechu.

Ona jedna zrozumiała błagalny głos dziecięcia! Ach ten głos jój tak drogi, ledwie zachował cząstkę dawnego dźwięku— jednak poznało go serce!... Wstrzymuje ją nieczułych zgraja— zabrania— grozi— straszy; ona nie słucha—ona wyrывa się z rąk natrętników i bieży, bo któraż matka lęka się śmierci na widok konającego dziecięcia?

O już są razem!... synu mój! zawołała kobieta chwytając go z dziką rozpaczą w swoje objęcia; synu mój! jęknęła mocnym przedłużonym głosem i w tych wyrazach wylała się jój cała dusza.— Stanęła niema, martwa— jakby nagle rażona uderzeniem piorunu. Znów porwała dziecko, okrywa go pieśczoćty, uściski, jak gdyby chciała wspomnieniem szczęścia, obietnicą rozkoszy zmusić do pozostania ulatującą duszę— i własnym tchnieniem przedłużyć coraz wolniejszy oddech swojego syna.

Poznało na koniec dziecko obecność matki! chciało jój czulém nagrodzić wejrzeniem— ale łza śmiertelna zaćmiła oko— uśmiech skończył na usteczkach— a kiedy wezbranėj tkliwości kropelka potoczyła się po wybladłém licu już w ostupiaćtych oczkach nie płonął ogień życia!

W. T.

W RESPONDE

Najświętszej Maryji Panny

(przez X. Orsini po fr.).



WYJĄTEK.

Z szumem i dumą toczył Syzon *) swe nurty wezbrane burzami jesieni, a zielone góry Galilei śniegiem się pokrywać zaczynały, gdy rodzice Maryji przedsięwzięli podróż do Jeruzalem. Niewiadomo z jakich pobudek opuścili rodzinną swą ziemię wśród dzdźystej pory; może pragnęli być przytomnymi wielkim uroczystościom poświęcenia kościoła, może też zastosowali podróż swoją do epoki w której Zacharjasz krewny ich, książę kapłanów mieszkający w Herbon, miał odbywać posługę w świątyni.

Mając przed sobą kilka dni drogi w niepogo-

(*) Syzon mała rzeczka płynąca między Nazaretem i górą Karmel, płytka w lecie jak większa część rzek w Palestynie, lecz wzbiera ogromnie w jesieni. W jej nurtach zatonęło wojsko Sizary.

dnęj porze i z młodém dziecięciem, roztropni wędrowcy nie dążyli ku świętemu miastu skalistą drogą krążącą wśród dzikich ustroni, szumiących potoków, i głębokich parowów gór Judzkich i Samaryjskich; tam bowiem już zima z szronami swęmi osiadła. Ale zstąpili po wonnej pochylności Karmelu, w żyzną choć piaszczystą równinę Saronu, gdzie powietrze tak jest łagodném, że pomarańcze, banany, daktyle po polach rosną, a wyobrazenie śniegu z cytrynowego tylko kwiatu powziąć można. Tym sposobem przybyli do Jeruzalem, przez bramę Efraima, a przeszedłszy kilka krętych i ciemnych ulic, składających się z ciężkich niekształtnych domów bez okien, i z płaskimi dachami, zatrzymali się w południowej części miasta, przed niepozornym domkiem, który podanie miui dotąd mieszkaniem świętej Anny.

Skoro Marja spoczęła po trudach podróży, Joachim połączywszy się z krewnymi swęmi znajdującymi się w Jérozolimie, wziął baranka na ofiarę panu *) i wszedł do kościoła, a za nim znaczna liczba przyjaciół w święteczne suknie przybranych.

Przebywając zewnętrzny dziedziniec, gdzie cu-

(*) Przy uroczystém poświęceniu dzieci, składano panu ofiarę. Anna, matka Samuela złożyła podobną, ofiarując syna swego w Silo.

dzoziemiec pod karą śmierci zatrzymać się był winien, orszak pobożny pomnożył się znaczną liczbą urzędników królewskich, faryzeuszów, doktorów, i znakomitych niewiast które skryte zrządzenie opatrności jakby przypadkowo sprowadziło pod przysionek Salomona. Bóg chciał bez wątpienia aby błogostawiona dziewica, którą przed wieki wybrał na matkę dla syna swego, ukazała się w domu modlitwy z okazałością stosowną do wysokich Jój przeznaczeń. Pobożni pisarze, łącząc do téj ziemskiej uroczystości świat duchów niebieskich, utrzymują że niewidzialni stróże kościoła otoczyli ją białemi skrzydłami swémi, a sypiąc po jój drodze wonne rajskie kwiaty, wdzięcznémi głosy powitali jój wnijsicie.

Zatrzymano się przez chwilę na marmurowym progu i tam faryzeusze wydobyli *tephilim* *) i wyniosłe swe czoła zasłonili połami *taledu* **) z białej cienkiej wełny zdobuego granatami, purpurą i sznurami hyacyncytowej barwy; śmieli wodzowie Heroda roztoczyli bogate płaszcze swoje spięte niedbale złotemi klamrami, a córki Syonu otoczyły się staranniej w fałdy swych zasłon z uszawania dla aniołów przybytku. Tak więc dziecie

(*) *Tephilim*, były to małe kawałki pergaminu na których atramentem umyślnie przygotowaunym pisano cztery zdania z pisma Śgo, żydzi nosili je na lewej ręce i na czole,

(**) *Taled* płaszcz czworokątny którym się żydzi w świątyni w czasie modlitwy okrywali.

wybrane od Boga i wspaniały jego orszak przebył bramę śpizową zawierającą przed niegodnymi przestrzeń poświęconą religji.

W naszych północnych krajach potrzeba sklepień obszernych by od zmian powietrza ochronić tych co serce wznoszą ku niebu, mamy więc kościoły, katedry mogące objąć niezliczone tłumy; ale w dawniej Azji świątynie właściwie były stawiane dla osłony kapłanów, lud modlił się pod sklepieniem nieba. W Izraelu, święte zgromadzenia odbywały się najczęściej w dziedzińcu niewiast, które podług dawnego prawa uważane prawie za niewolnice nie mogły postąpić dalej.— Zdała więc od swych mężów i synów którzy wśród nawy lub pod bocznemi arkadami świątyni przytomnymi byli obrządkom hebrajskiej wiary, niewiasty modliły się w przeznaczonych na to galerjach, z głowami pochylonemi ku przybytkowi Jechowy, którego dach wspaniały z cedrowego drzewa nasadzony złotemi iglicami ukazywał im się nie opodal.

Uroczystość poświęcenia, odbywała się niewątpliwie w dziedzińcu niewiast, a nie w samym wnętrzu kościoła.— Rozpoczniała ją ofiara— przez drzwi Nikanora obracające się w cichości na śpizowych zawiasach ku przejściu ofiary, ukazywał się kościół Zorobabela, zdobny w bogate wieńce, z drzwiami obitemi złotą blachą, z ścianami z o-

gromnych ciosanych i kształconych glazów, na których ręka wieków rozciągnęła tę barwę żółkłego liścia tak właściwą starym budowom Wschodu.

Kapłani i Lewitowie zgromadzeni w ostatniej nawie przyjęli z rąk Joachima ofiarę pomysłności *) Namiestnicy Boga żywego nie wieńczyli skroni swych zielonym liściem wawrzynu jak kapłani bałwanów. Ubiór obrzędowy używany w świątyni składał się z zaokrąglonej mitry z nadzwyczaj gęstej lnianej tkaniny, z sukni również lnianej długiej, białej i niezbyt obszerniej, ściśnionej szerokim pasem haftowanym złotem, purpurą i hyacyntem. Jeden z ofiarników wziął baranka, i po krótkiej modlitwie zarznął go obracając mu głowę ku północy, a krew spływająca w spizowe naczynie została tu i owdzie porozlewana do koła ołtarza.

Po tych obrządkach, kapłan ułożył na półmisku część mięsa drżącej jeszcze ofiary, i część jej wnętrzości obmytych przez lewitów w sali źródłowej, otoczył oblatę podwójną tłustością, pokrył ją kadzidłem, i rzucił na nią sól przy-mierza; potem bosęmi nogami wstąpił na wyniesienie prowadzące ku płaszczyźnie spizowego ołtarza. Tu złożył ofiarę na stosie ułożonym z zdrowych i odartych z kory drewek które o-

(*) Ofiara składana na uproszenie łaski, lub podziękowanie, nazywała się ofiarą pomysłności.

gien poświęcony zasilaly.— Reszta baranka, wyjąwszy pierś i prawą łopatkę która z prawa ofiarującemu należała, oddaną została małżonkowi Świętej Anny, który ją zwyczajem ludu swego między najbliższych krewnych rozdzielił.

Ostatnie dźwięki trąb kościelnych konały pod sklepieniami, ofiara gorzała jeszcze na spizowym ołtarzu, gdy kapłan zstąpił na dziedziniec niewiast dla ukończenia obrzędu. Anna z zasłonią głową, trzymając Marję na ręku zbliżyła się do sługi Najwyższego; Joachim szedł za nią; małżonkowie powtórzyli w obecności jego ślub wykonany, i złożyli u nóg kapłana młodą służebnicę pańską która że tak powiemy, z kolebki przechodziła pod zasłonę ołtarza. Kapłan w imieniu Boga błogosławiącego łono macierzyńskie przyjął ten drogi zakład i pobłogosławił Joachima i Annę, potem wyciągając ręce nad zgromadzeniem pochylajacem się przed błogosławieństwem jego, rzekł: „O Izraelu! niechaj Przedwieczny zwróci światło swoje ku tobie, niech ześle na cię pomysłność wszelką, i niech ci da pokój.“

Pieśń radości i dziękczynienia śpiewana wdzicznie przy dźwięku harf poświęconych, zakończyła uroczystość stawienia w kościele świętej dziewicy.

Obrzęd ten odbył się w ostatnich dniach listopada w świętym przybytku Syońskim, ludzie

patrzący na wszystko powierzchownie, widzieli tylko dziecię nadzwyczajnej piękności i dziwnego nabożeństwa, które matka poświęcała Bogu jako dar otrzymany postem i łzami; ale anieli unoszący się po nad przybytkiem odgadli w tej drobnej i słodkiej istocie dziewicę Izajasza, oblubienicę, której tajemnicze zaślubiny opiewał Salomon, Ewę niebieską wracającą upadłemu pokoleniu nadzieję świetnej nieśmiertelności. Na widok wschodzącej jutrzeńki chwały Messyjasza, przejęci czystą radością powitali zdaleka ten młody kwiatek mający wzrastać u stóp ołtarza, jako rószcza pokoju i odnowionego przymierza, jako wawrzyn chroniący ludzi od gromu.

Co się w ówczas działo w sercu Marji, w tej duszy rozwiniętej tchnieniem ducha poświęciela, w tym przybytku pokoju, światła i najczystszej miłości! Ilu świętymi związkami połączyła się z Tym który ją przeniósł nad dziewicę i królowe tylu narodów? To pozostało tajemnicą między nią i Bogiem, lecz słusznie twierdzić można że ta ofiara miliej od Pana przyjęta została niż wszystkie dotąd na ołtarzu Jego składane.

Nie jest z pewnością wiadome imię kapłana który świętą dziewicę przyjął w grono córek Pana: święty German patriarcha Konstantynopolitański, i Grzegorz z Nikomedji utrzymują że obrzędu tego dopełnił ojciec świętego Jana Chrzcici-

ciela; zdanie to zdaje się być podobnym do prawdy, a związki pokrewieństwa łączące Zacharyasa z rodziną Joachima, wysoki stopień który on jako wielki kapłan w duchowieństwie zajmował, i tkliwa przychyłość którą Marya dla niego i małżonki jego świętej Elżbiety zachowała, potwierdzają je mocniej.— Jakkolwiek bądź, błogosławiona córka Joachima została uroczystie przyjętą w liczbę Almów, czyli młodych dziewic wychowanych zdala od ludzkiego wzroku w cieniu Pańskiego ołtarza.

P. K.

ROZMOWA.



Jeszcze w całym blasku wiosny
Słońce nie wstało na niebie,
A już ptasząt śpiew radosny
Wdzięcznie wabi nas do siebie.
Śpiesz się Helenko kochana,
Korzystać z pięknego rana. —
Patrz; cudny widok natury
Nagrodził nam trudy małe;
Lasy, pola, łąki, góry,
I to niebo okazałe,
A nawet ten strumyk mały
Co się sączy między skały,
W oddalone płynąc kraje,
Nową ozdobę jój daje.

Córka.

Spójrzysz mammo na te kwiatki
Otoczone swémi pączki,
Co przez świetnych farb dostatki
Są ozdobą naszej łączki.

Jaką one woń roznoszą,
Jak zmysły poją rozkoszą!—
Już na pierwszy połysk zorzy,
Zanim słońce twarz odstłoni
Noc umyka, dzień się tworzy,
Gwiazdy nikną na błękitcie;
Skowronek w powietrznój toni
Głosi natury ożycie.

Tak gdzie tylko zwrócę oko,
Czy to nisko, czy wysoko,
Wszystko piętno Boga nosi,
Wszystko jego wielkość głosi.
On tyle rzeczy od wieka
Dla nędznego stworzył człeka,
Człek zaś, rąk jego stworzenie,
Jakież mu złoży ofiary?...
Drogie ołtarze, jałmużny,
Kosztowne kościołom dary
Choćby złożył, jeszcze dłużny
Byłby jego wszechmocności:
Naucz mię więc matko droga
Winnój dla Boga wdzięczności?

Matka.

Córko, nie ofiara droga
Łaskę nam okupi Boga;
On żąda tylko od ciebie:
Byś darów jego szczodroty

Nã zle nigdy nie użyla,
Idąc zawsze śladem cnoty,
Cnót przykładem wszystkim była.
Abyś jawnie a nie skrycie
Świętej hołd składała wiarze;
To nie trudno lube dziecię!
Bóg trudnego nic nie każe.
Ku serca twego ozdobie
Pracuj stale, w każdej dobie
Pełnij rady przyjacieli,
Czczij Matkę, Nauczycieli.
Gdy ci pierwsza życie dała,
Drudzy żyć cię nauczyli;
Twoja największa w tém chwała
Bydź im wdzięczną w każdej chwili.

— *Leontyna M.* —



DONIESIENIE.

—••••—

Cieszcie się dziatki! choć zima mrozem straszny, choć ziemię śniegi przysuły— Motyl się ukazał— Motyl dla was na wiązanie. Wprawdzie nie błyszczą złotem jego skrzydełka, nie w purpurowe strojny barwy— ale też stalszej bogatszej od pieszczocha wiosny, bo ten motyl— to książka.

O cieszyć się dziatki! wy tak lubicie słuchać o cudach natury— ję skarby liczyć lubicie, otóż jeden znany zaszczytnie z prac swoich autor, p. J. Żochowski co tyle już pożytecznych rzeczy dla starszych pisał, teraz wam pióro swoje poświęcać zamysła, dla was nauki przyrodzone wykladać będzie.

W tym celu wyszedł już pierwszy poszyt Motyla, i dalej poszytami wychodzić będzie. Motyl sprzedaje się częściowo, po wyjściu każdego poszytu— a cena bardzo przystępna.

W. T.

ARCHIPELAG

JANA POŁOCKIEGO

NA MORZU ŻÓŁTÉM.



Chiny, ten kraj tak nam niegdyś obcy, już dzisiaj dzięki uczonym i badającym ludziom stał się tak przystępnym i znajomym, że nietylko główne miasta i rzeki, lecz nawet drobniejsze osady, obyczaje, sposób życia i ubierania się jego mieszkańców, wiadomym jest każdemu uczącemu się geografij. — Pewną jestem, że czytelnicy moi wiedzą o tém, iż morze Żółte leżące między Chinami i Koreą, pomimo kilku wypraw które się nie udały, pozostało nieznaném Europejczykom aż do roku 1816, w którym dwa angielskie okręty po pierwszy raz zwiedziły część jego południową, gdzie odkrywszy wysp kilka, nie posuwały się ku północy.

Właśnie ku północy na morzu Żółtém istnieje

ośmnaście wysepek; Chyńcy je znają, bo tu urządzają sobie składy towarów żeglarze prowadzący handel między Chinami i Koreą, każda wysepka ma swoje imię, lecz cały Archipelag nietylko że w żadnym chińskim dziele nie jest wspomnianym, ale nadto nie było go na żadnej mapie do roku 1824.

W tym czasie pan M. Klaproth, uczony człowiek towarzystwa azjatyckiego w Paryżu, autor wielu dzieł ważnych w przedmiocie Geografji Historji i języków dawnych, podróżnik znający dokładnie większą część Azji, porównywając mapy Chin przez Europejczyków wydane, z mappami tegoż kraju, które z rozkazu cesarza, Khang hi Jezuitcy Missjonarze sporządzili w roku 1704, przekonał się dokładnie że zbiór wysp leżących na morzu Żółtym w bliskości południowego brzegu prowincji Liao-tung wszystkim dotychczasowym geografom był nieznanym. — Pierwszy zatem mieszcząc je na mapie, pan Klaproth, nadał im nazwę Archipelagu Jana Potockiego, przez wdzięczność dla uczonego ziomka naszego, który tak w Europie jak w Afryce i Azji, nietylko że sam się zajmował badaniem dziejów i obyczajów rozmaitych ludów, lecz i innych w tymże celu działających wspierał, i przyjaźnią swoją zachęcał. Tak więc ogromne naukowe prace, niezliczone podróże, całe życie w mozolnych ba-

daniach strawione przekazało imię Jana Potockiego uczonęj tylko potomności; — uprzejmość zaś jego, dobroć serca, szczerą chęć wspomagania uboższych, unieśmiertelniły go, przcniosły jego nazwisko do innęj części świata, na małażnane morze, i w długie lata świadczyć ono jeszcze będzie że Hrabia Jan Potocki nietylko że sam był światłym, lecz na przyjaźń i wdzięczność światłych, uczonych ludzi zasłużyć umiał.

P. K.



LISTY Z PODRÓŻY

JADWIGA DO WAŃDY



LIST I.

Radom 20 czerwca 1840 r.

● moja kochana Wańdziu! bodajto nigdy nie rozłączać się z ukochanymi. Dopiero jeden dzień drogi, a już tak tęskno tak smutno! doprawdy nie wiem co dalej będzie.

Pamiętam nieraz kiedy Julcia nóciła „czemu świat ten tak szeroki?“ serdecznie się śmiałam z jój myśli, dziś mi się i nóta i wyrazy ciągle snują po głowie; bo i prawdziwie w mniejszym świecie bliżejbyśmy zawsze były siebie. — Lepiej podobno było dawniej kiedy i ciężkie powozy i złe drogi od podróży odstręczały, każdy siedział w domu, bo musiał, i lekarze pewno tak daleko do kąpieli nie wysyłali — o Ty mnie dzisiaj nie poznasz, na wszystko się gniewam i na wygodny kocyk i na bity gościniec i na lekarzy i na cho-

roby i .. i .. i nie skończyłabym wyliczania, ale kiedy mi Brońcia mówi że przyjemności późniejsze nagrodzą dzisiejszy żal po domu, to i dam pokój skargom. Brońcia przecie starsza, ona już i przeszłego roku jeździła z rodzicami, może dobrze mówi. O jaka to szkoda moja Wandziu że ciocia nie pozwoliła ci jechać z nami, wiem że przy tobie wszystkoby mi się inaczej wydawało. Jednakże mam jeszcze jeden rodzaj pociechy. Dotrzymam słowa jak najczęstszego pisywania do ciebie, a tём samém więcéj się wszystkiém zajmować będę, i może znajdę powód téj radości z jaką się wiele osób zagranicę wybiera.

Dosyc piękne i zajmujące są blizkie Warszawy okolice, ale więcéj ci one o sobie, niż ja o nich powiedzieć mogę; a przytём tak byłam rozdrażniona pożegnaniem waszém że i mało na nie tą razą zwróciłam baczenia.

Dopiero smutne dzisiaj Falenty z blizkich drzew ogołoczone musiały mi przypomnieć że tu Zygmunt III życia dokonał. Spoglądałam na nie jakoby w roztwarte dziejów karty i pomyślność i klęski długiego panowania jego, wszystko mi się w pamięci przesunęło, tak jasno, tak szczegółowo jakoby wczorajsze zdarzenia, aż zadziwiłam się kiedy po ścisłej rachubie, dwieście ośm lat od téj chwili naliczyłam kiedy z śmiercią więcéj szczęśliwego niż zdolnego Zygmunta i nasz zło-

ty wiek skonał; a było to właśnie 2 Kwietnia 1632 roku w tym samym pałacyku co się tak uśmiecha dzisiejszą białością.

Nic ci nie wspomnę o Raszynie i Tarczyn pominę, tak dobrze znasz tę okolicę, tyleśmy razy przebywały ją razem.

W Grojcu był pierwszy nocleg— Brońcia podług zwyczaju wstała bardzo rano, podała mi rękę i obiegliśmy miasteczko wokoło; nędzne dosyć dzisiaj, rynek niebrukowany, wielkie tu musi być błoto w jesieni.— Wiesz pewno że Grojec po dawnemu Grodziec był miejscem rodzinném księdza Piotra Pawęskiego Skargi, kaznodziei i spowienika dwóch królów — niezmordowanego w pisaniu ksiąg ojczystych — a którego prace dziś jeszcze z taką przyjemnością czytane, pięknym są śladem czystości mowy Zygmuntońskiego wieku.

Szkoda wielka że kościółek był jeszcze zamknięty. Miłoby było spojrzeć choć na te mury, na których tylekroć spoczywał wzrok obiecującego dziecięcia, pośród których gorące modły z niewinnej płynące duszy tak świetny przyszły zawód u Boga mu wyprosiły.

Kilka mil za Grójcem pod Białobrzegami, przebywaliśmy most na Pilicy. Sliczna to rzeka, nie tak szeroka jak Wisła, ale zdawało mi się że weselsza od niej— i ma czego się weselić, najżyźniejszy kraj polski przepływa, a jeżeli Wisłę nazy-

wamy matką rzek naszych, to Pilica jej najstarszą córką, której matka klucze od spiżarni i skarbcu oddała.

Patrzyłam za biegiem rzeki, zdawało mi się że aż do Warki dosięgłam wzrokiem. Myśl w przeszłość cofnęłam, i stanął przed oczyma cały obraz miejsc tamtych z czasów Jana Kazimierza. Słyszałam jak chrobry Czarnecki zachęcał zgromadzone chorągwie, widziałam jak spinał ostrogami konia i pierwszy rzucając się w rzekę, zaczynał trzy tysiące wojska wplaw przeprowadzać. O miło to jest znać choć trochę historię i wspomnieniami martwe ożywiać przedmioty.

Jechaliśmy dalej po rozległej płaszczynie, aż znudziło się oko jednostajnością obrazu, kiedy nagle nalewo piękna, długa lipowa ukazała się aleja. Tatko mówił że te drzewa bardzo stare być muszą, bo lipa rośnie powoli i żyje długo— może dwa wieki liczą, Czarneckiego czasy pamiętają. Ale kto je sadził? Może nikt nie wie dzisiaj.— O jeżeli ja kiedy będę panią, zaraz lipy sadzić każe, ale na każdej datę i nazwisko moje umieszczę, bo to tak miło wiedzieć pochodzenie i lata choćby i drzewka nawet.

Z widokiem alei dojechaliśmy aż do miasteczka Jedlińska. Nieduże i drewniane całe;— a przecież kiedyś były tu szkoły pod zarządem akademii krakowskiej— a przy szkołach drukar-

nia; tu nawet 1430 roku sejm się odbywał, na którym Władysław Jagiełło swobody szlachcie nadawał.— Dziś nie ma śladu żadnych gmachów starożytnych, kościół tylko piękny na wzgórzu pozostał.

Zwiedziliśmy go wewnątrz. Sztuka urąga niszczącej ręce czasu. Śladów pięknego pędzla dojrzeć można w jednej połowie kościoła, drugą widać poprawiać chcieli, i popsuli poprawkami. Przy ogołconych murach, poniszczonych bronzach dziwnie mile odbijają oznaki starań zapewno młodej, dziewiczej ręki. Piękne poduszki, gustowne obrazy, dowodzą: jak chętnie lubi obracać pracę swoją na zdobienie ołtarzy pańskich.

Jedlińsk po dawnemu Jedlnia albo Jedlińsko leży nad Radomką; mała to rzeczka, ale niespokojna i w tém miejscu bardzo rozgałęziona, aż trzy mosty na niej przejeżdżaliśmy. Dozorca mostowy mówił o jej wylewach na każdą wiosnę, o szkodach jakie zrząda; mówił też wiele o tamtejszych dziedzicach, a ja korzystając z gawędki urwałam na brzegu kilka gałązek niezapominajek, których tu słusznie mnóstwo rośnie, włożyłam do zielniczka jako pierwszą podróżną pamiątkę, myśląc sobie: że jak moje w zercu się powtórzą, tak nadbrzeżne w późną przyszłość zanoszą pamięć cnót obywatelskich.

Przejeżdżaliśmy jeszcze Wsole i Piastów w śli-

czny jak nam mówiono bogaty ogród, jest-to posiadłość rodziny ostatniego księcia, biskupa krakowskiego Sołtyka. — Zapytasz może co znaczy książę biskup, i ja przed chwilą takie zadałam pytanie, com więc od tatki usłyszała, tobie powtórzę.

Zbigniew Oleśnicki, ten sam co młodzieńcem będąc, w bitwie z Krzyżakami, uratował życie Władysławowi Jagielle; któremu król umierający w nagrodę dawnego poświęcenia i cnót wysokich, darował najdroższy klejnot, pierścień ślubny ukochanej Jadwigi, ten sam Oleśnicki, poświęciwszy się duchownemu stanowi, wysokich w nim godności doszedł. Będąc już biskupem krakowskim kupił księstwo Siewierskie do Szląska należące od Wacława księcia Cieszyńskiego— za sześć tysięcy grzywien szerokich groszy pragskich czyli przeszło 360,000, dzisiejszych złotych, i do posiadłości biskupich przyłączył. Od tego czasu biskupi krakowscy książętami się tytułowali, wywierając najwyższą władzę nad szlachtą w tym obrębie mieszkającą.

Ale coś zadługo już piszę — mamy dziś jeszcze obejrzeć Radom, do przyszłego listu opis ci jego zostawiam.

L I S T II.

Kielce 21 czerwca.

Widzisz jak słowną jestem, list po liście ci posęłam, a i ten podobno na długi się zanosi, ach! bo o naszej ziemi tak mówić miło — tak dużo mówić można! o naszej, ej podobno i o każdej dużo znajdzie się wspomnień, na każdej wielcy mieszkali ludzie, na każdej po nich zostały w puściźnie świetne zamki, świątynie i groby i ruiny.

Co u nas to doprawdy najwięcej pamiątek w kościołach i grobach — że w kościołach to pięknie, to dowód pobożności przodków naszych — ale o grobach wspominać nie lubię, zwłaszcza dzisiaj po wstąpieniu na cudnie uśmiechającą się krakowską ziemię.

Cóż Ty powiesz, moja jedyna Wańdziu, miałam ci posęłać opisy a tu na samą gadaninę się zanosi, więc już na dowód poprawy, wracam do opisów. Podobno na Radomiu stanęłam, — ach! doprawdy tak mi się nie chce z Kielc do Radomia wracać — ale trzeba dla samego porządku.

Powiem ci więc że Radom jest coraz ładniej powstające miasto, dużo w nim pięknie zbud-

wanych nowych domów niby nowój Warszawy częstka— a ja tu okiem chciałam szukać murów zamku pokrytego siwizną starości, w którym piękna, anielska Barbara Radziwiłłówna czekała trwożliwie skutków Piotrkowskiego sejmku, który ją szlachciankę tylko, godną świetnego osądzi tronu, albo téż jej dla tego że szlachciance tylko— daleko od ukochanych żyć kaze. Co więcj chciałam widzieć gmach ten gdzie jakiś czas Kazimierz Wielki z żoną swoją przebywał.

Zaledwie dośledziłam szczątków muru miasto kiedyś opasującego— odwiedzin szwedzkich chciałam w nich widzieć pamiątki— może i lepiej że dzisiaj już ich nie znać bo z pod Radomia jakieś smutne jest wspomnienie. Tu także był sejm za czasów Alexandra 1505 roku, na którym szlachta przywilej powiększenia swobód swoich dostała, a Szach Achmet Han tatarski przed królem był stawiony. — I za Kazimierza Jagiellończyka już tu bywały zjazdy— wszystko więc dowodzi że stan jego dzisiejszy, jest chwilą powracającj wiosny— po ciężkiej zimy przebyciu.

W terażniejszym Radomiu odnowiona katedra z wyniosłą, starożytną wieżą i klasztor Bernardynów; jest i kilka pięknych w nowym guście budowanych rządowych gmachów.— Za miastem duży ogród angielski, ale z drzew polskich.

Mówiono nam że celem tego ogrodu była chęć

osuszenia miasta z ciągle trwającej w niem wilgoci— że nawet już wielkie tego czują skutki— jeżeli prawdziwie temu wierzyć można, to do prawdy myślę, że przed wprowadzeniem bruku nieraz tu może podobne łukowskiej anegdocie było zdarzenie, niejeden poseł uwiązłszy z kolasą w błocie i sejmu i popisów wyrzec się musiał.

Przecież i ja już wyjechałam z Radomia— aż do samego Szydłowca deszcz nam towarzyszył— nic więc się nie dowiesz o piękności okolicy, a czy piękna? ja sama nie umiem ci powiedzieć.

Szydłowiec dawna posiadłość książąt Radziwiłłów, ratusz zdaleka coś więcej obiecywał,— w kościele jest pomnik duży w kształcie ołtarza z czarnego chełmińskiego marmuru, pośród którego uszpięta kobieta z marmuru de carrara precudnej białości, a u wierzchu napis złotemi głoskami.

„Żona najlepszemu mężowi,
I brat najlepszej siostrze.“

Pomnik ten zaczęła stawiać zGawdzickichKsiężna Radziwiłłowa żona Mikołaja Radziwiłła zmarłego 1807— a dokonał tej pracy po jój śmierci brat zmarłej, proboszcz miejscowy.

Od Szydłowca dopiero zaczyna się piękniejsza okolica Sandomierskiego; jechaliśmy długo przez lasy Suchedniowskie które są częścią słynnych Święto-krzyskich lasów, wyborny gościniec bity

(chausée) wielkim nakładem zrobiony, uprzyjemniał podróż naszą. Wyobraź sobie w wielu miejscach dla złagodzenia spadzistości góry na kilka łokci wysypywany gościniec nad poziom okolicznych gruntów, w innych dla ominienia częstych pagórków droga wężykiem się snuje wśród zielonych obszarów — to znów na murowanych arkadach spoczywa; a to wszystko tak bawi oko, tak myśl zajmuje że i za przyczynienie drogi nikt się nie gniewa.

Jednakże powiem ci prawdę, że chociaż to tak wygodnie, tak prędko jedzie się dzisiejszym gościńcem — ja westchnęłam cicho za dawnym — a dla czego? ej może się śmiać zechcesz ze mnie — ale już ci powiedzieć muszę.

Kiedy pierwszą usłyszałam podróżą obietnicę, a podróżą dalekiej, zaczynającej się przez najpiękniejszą naszej ziemi okolicę, zaraz zaczęłam w myśli obrazy jej układać sobie.

Już to w wyobrażeniu mojem jazda wśród górzystych łąnów musiała być wolna, przypatrywałam więc się dowoli wszystkim stronom; wysiadłszy dla ulżenia koniom nieraz wdrapywałam się na skaliste ściany wąwozu, a zawsze stawaliśmy po małych, wiejskich karczemkach. Tam w izbie gościnnej usiadłszy na ławie obok spoczywających kmiotków, przysłuchiwałam się ich rozmowom, czasem słówko do nich wtrącałam, słów-

ko w zamian otrzymałam — o moja droga! śliczne były obrazy i rozmaite i pojętne, ale zniknęły zupełnie w rzeczywistej podróży, a zniknęły dla tego że teraz mamy takie porządne i wygodne drogi.

Szybko bez przeszkód toczy się powoz; ledwie oko dostrzeże piękniejszy budynek, ładniejsze miejsca położenie, już wszystko miga w oddali — już we mdle się kryje. Zajeżdżamy dla odpoczynku do wielkich, murowanych domów gościnnych, tam wybiega zaraz miejska dziewczyna, do osobnego zaprasza pokoju, — trzeba iść za nią zegnając się w myśli z ogólną karczemką izbą — bo w dużym zajezdnym domu to izba, jest tylko *szynkownią*?

Cóż Wańdziu, czyż nie zgodzisz się ze mną, że wszystkie dzisiejsze ulepszenia zmniejszyły urok życia.

Spójrzałam na wpisaną kolumnę wyrazów i przewidziałam uśmiech na Twojej twarzy — zarzucasz mi pewno, że skarżąc się na zbytnią równość drogi, sama takimi manowcami grudowatemi do celu listu dążę — jeszcze raz poprawę przyrzekam tylko mi pozwól trochę po *Suchedniowie* pochodzić, bo tu istotnie obiadowaliśmy wczoraj.

Suchedniów położony wśród obszernych lasów, posiada jeden z pierwszych skarbów ziemi naszej, to jest: rudę żelazną. Są tu huty do jej

przetapiania, bo chociaż tatko mówił że większe, w *Białogonie* zobaczymy — i do tutejszych nas jednak zaprowadził.

Wyjęto przy nas wielką bryłę ztopionego surowcu i pod ogromnym młotem obrabiać zaczęto. Prysnęło w górę niezliczone iskier mnóstwo, a na ziemię zlały się ogniste strumienie; aż się wybuch wulkanu przypomniał. Doprawdy to słiczny widok, a gdyby nie myśl że taka przy nim ciężka praca, jeszczeby bardziej zachwycił.

O, pomyslałam sobie: ile to trudów kosztuje, ten rydel, te inne żelaza co ziemię dla naszej potrzeby przewracają — ile mozołu w ukończeniu tej kosi co dla naszego bydełka, dla naszych koni trawę ścina, w jak ciężkim pocie czoła wyklepana ta sztaba z której tyle rozlicznych użytków — a wszystkie dla bezpieczeństwa, dla wygody naszej, a wszystkie praca przysposabia do pracy. — I mimowolnie spojrzałam na siebie, pośród tylu pracujących dorosłych i dorastających, ja sama czułam się nieużyteczną — jak gdyby ciężarem ziemi. Ja przecie już mam lat czternaście, czwartą część średniej długości życia przeżyłam — i jeszcze nie mogę powiedzieć o sobie „jestem użyteczną.“

Takimi zajęta myślami stałam niewzruszenie oparta o drzwi wchodowe, a wszyscy moi obchodzili piece i kowadła i słuchali opowiadań

zarządzającego hutnika; nareszcie Broncia przybiegła powiedzieć mi żem straciła tyle ciekawych wiadomości, ale ja powiedziałam sobie: „zyskałam!“

Od Suchedniowa w coraz piękniejszy kraj wjeżdżaliśmy; Łączna na górze zawieszona i Gózd tulący się u stóp góry pięknie mi się przy zachodzącem wydawał słońcu. — resztę okolicy poznałam tylko z nazwisk na słupach drogowych umieszczonych — a i tu mrok przy końcu stanął na zawadzie, późnym bowiem dopiero wieczorem stanęliśmy w Kielcach, których opis z Miechowa ci przysłać pragnę.

W. T.

ROZNIKA UBIORU

(naśladowanie)

—300—

Pau R....ski naczelnik w ministeryum wojny, równie zasłużony w kraju, jak kochany i poważany od publiczności, której nieustannie oddawał usługi; największą miał sposobność okazania pięknych przymiotów duszy i serca w czasie wojny¹⁸.. — Co rano pokoje jego napelnione były dopytującymi się skwapliwie o los i życie, krewnych i przyjaciół. Tu stroskana żona biegła dowiadywać się o męża ranego; tam blada i drżąca matka pytała o syna, jedyną podporę swój starości. Dalej dwie młode siostry, nieśmiałe jak gołębice, z lęklivością przeciskały się przez natłok, aby się dopytać o brata ukochanego; słowem przedpokoje a nawet schody mieszkania pana R....skiego napelnione były różnej płci i wieku osobami, które wybadywały go

i radziły się jak ojca. Jeżeli ten, o którego był zapytywanym, żył jeszcze, pan R.....ski dzielił radość cieszących się — jeżeli zginął mężnie, odpowiadał bolesnym westchnieniem i pocieszał jak mógł zasmuconych.

Często się zdarzało iż pan R.....ski zajęty innemi sprawami swego urzędowania, zostawiał na swoim miejscu, w obecności ochmistrzyni, swoją szesnastoletnią córkę Laurę składając w jej ręce ostatnie buletyny wojskowe, nadesłane z głównej kwatery. Laura chętnie wyręczała ojca, lecz z widoczną różnicą przyjmowała ubogo ubranych: miarą jej grzeczności była zawsze suknia przychodzącej osoby. Z wielką niedbałością przemawiała do ukazujących się w skromnym ubiorze; niechętnie dozwalała przystępu nędznie odzianym i odpowiadała na ich zapytania krótko i z pogardą. Lecz niechże się kto pokazał w bogatym i wytwornym stroju, a nadewszystko jaka pani w kosztownym szalu lub w koronkach i axamitach, natenczas Laura posuwała grzeczność i uprzejmość w przyjęciu do najwyższego stopnia. Prosiła siedzieć, sama przysuwała krzesło i z wszelkimi szczegółami, przymilającym się głosem odpowiadała na zapytania.

Pan R.....ski dowiedziawszy się o tej smiesznej i niedorzecznej wadzie swjej córki, mocno się zmartwił, często ją strofował i napominał; prze-

kładał w końcu, iż kto z ubioru sądzi o ludziach, uchybia częstokroć winnych względów szacownym osobom, a składa hołdy niezastługującym na nie— uważał wszakże ze smutkiem, iż mowa jego żadnego skutku na Laurę nie wywierała.

Dnia pewnego gdy Laura zastępowała ojca i więcej nizeli kiedy cisnęło się osób, skwapliwie dopytujących o wiadomości z ostatniej bitwy, poważny, blady i nader skromnie ubrany mężczyzna wszedł do salonu pomimo oporu służących, którzy stosując się do polecenia Laury, zwykle zatrzymywali w przedpokoju osoby niepozornie ubrane. Na co pozwalacie tu wchodzić? zawołała młoda panienska do lokai, a obracając się z pogardą ku nieznanajomemu, zapytała go siadając: czegoż chcesz mój przyjacielu? mów prędko bo nie mam czasu — gadajże — o kogo przychodzisz się dowiadywać? — Moja *grzeczna* panienko, odpowiedział nieodstępując ode drzwi przy których stanął; przyszedłem dowiedzieć się czy prawda iż wielbiony nasz książę Józef Poniatowski został ranionym? i w jakim stanie jego zdrowie? — Zdrowszy, już zdrow zupełnie; odrzekła Laura nie dbale, spoglądając od stóp do głowy na pytającego; poczem przydała jakby z urąganiem: alboż do księcia należysz? — Tak jest, mam to szczęście — Może jesteś murgrabią z Jabłonny? — Nie — Z pewnością sługa odprawiony? — Książę nikogo nie odpra-

wia.— A! zgaduję! jesteś z liczby nieszczęśliwych których on wspomaga!— Książę jest w prawdzie moją nadzieją i pociechą duszy i serca mego, odpowiedział nieznajomy uśmiechając się mimowolnie.— Więc może, rzekła Laura mniej cokolwiek wyniosłym tonem, jesteś waćpan jakim dalekim powinowatym księcia?— Siostrzenica księcia jestm oją synową, i dla uspokojenia to nadewszystko jój troskliwości przybyłem sam tutaj.— Co słyszę.... czy hrabiego P.....go widzę przed sobą? wymówiła cała zarumieniona i jākając się; tysiącnie przepraszam... proszę siedzieć pana hrabiego, lecz któżby się mógł spodziewać iż pod tak prostą odzieżą... z tak skromną postawą....—Skromność przystoi każdemu wiekowi moja panienko, i każdemu stopniowi. Tak mi się sprzykrzyły względy okazywane mojemu tytułowi i mojej sukni, iż bawię się czasami doznając, jak mało znaczy wielkość bez oznaki powierzchownej co ją różni. Przyznaję jednak iż pewny byłem łaskawego przyjęcia panny R.....skiej ale postrzegam że się jój przykrzę....—Bynajmniej mości hrabio — Widać przecież w miłych jój rysach jakiś przymus i cierpienie.... a przytém przypominam sobie iż się spieszysz, nie masz czasu jakęś mi mówiła... Odchodzę przekonany że pan R.....ski znany z swęj uprzejmości nie mógł lepiej wybrać osoby któraby go zastępowała, i tak jak on je-

dnych uszczęśliwiała pomyslną wiadomością, drugich pocieszała w strapieniu. Domawiając tych słów z uśmiechem trochę złośliwym, hrabia P....i wyszedł, zostawiwszy Laurę w tém większym pomieszczeniu iż się obawiała aby jej ojciec nie dowiedział się o tém zdarzeniu.

Już rozmyślać zaczęła nad złym nałogiem sądenia o ludziach z powierzchowności, już nawet przyrzekała sobie, iż się więcej nie narazi na tak przykre i poniżające wypadki, gdy nagle drzwi się otworzyły z trzaskiem i weszła młoda i piękna pani, której cała powierzchowność zapowiadała osobę z wielkiego świata. Lekki strój ranny okrywał śliczną kibić, piękne pukle czarnych włosów wysuwały się z pod różowego kapelusza, okrytego błędynową zasłoną, i kosztowny szal biały z niechcenia spadał po kształtnych ramionach.

Tak drogi tyftek pomyślała Laura, oznacza coś bardzo znakomitego. — Czy nie zastaję pana R.....? rzekła wchodząc piękna dama. Ach to rzecz nieznośna! wartoż było lecieć jak na skrzydłach! — Niech pani raczy usiąść, przemówiła z uprzejmością Laura prowadząc ją ku sofie, może będę mogła w niebytności ojca mego udzielić jej żądanych wiadomości.

— Niespokojną jestem o naszego ukochanego księcia? rana jego czy niebezpieczna? czy w prawe

czy w lewe ramię ranny? jak prędko może być wyleczony? czy nie przybędzie wytchnąć na chwilę do swjej ulubionej Jabłonny? a może i tu go z tego powodu ujrzymy, może w Warszawie zechce się leczyć?—Nie będę mogła we wszystkiem zaspokoić słusznej troskliwości pani, odpowiedziała z unizonością na ten potok zapytań Laura, lecz mogę upewnić iż książę wyszedł z niebezpieczeństwa.— Jakżeś mię pocieszyła moja ładna panienko! Jakże ci dziękuję! Ten waleczny książę tyle nabył sławy! tak mi jest drogim!—Jak nam wszystkim zapewne, odrzekła Laura.— O! mnie więcej jeszcze jak wszystkim, przerwała nieznanjoma.—Czy nie z siostrą lub siostrzenicą księcia mam zaszczyt mówić? zapytała Laura przysuwając podnózek pięknej damie.—Nie, moja kochaneczko, lecz, znam jak najlepiej obie te panie; z tą ostatnią łączą mię najściślejsze związki od lat dziecinnych, razem prawie chowałyśmy się w Białym-stoku u s. p. jej babki pani Krakowskiej; a dziś często przebywam z nią nader miłe chwile w Wilanowie, lub wraz z nią zwiedzam, jej ręką i precudownym gustem wznoszący się pałac i park w Natolinie; widzujemy się codzien, łatwo więc możesz pojąć iż wszystko co jej się tyczy, żywo mnie obchodzi. Czy pan R..... nie ma więcej dzieci? dodała przesuwając poufale ręką pod brodę Laury,— Nie ma

pani, jestem jedynaczką i od lat kilku straciłam matkę. — Musi cię bardzo kochać, jesteś pełna wdzięku i uprzejmości.

Któżby mógł uchybić winnych względów osobie tak znakomitej. — Skoro zobacze pana R.... powinszuję mu tak nadobnej córki; on często bywa w naszym pałacu, trzeba żeby cię kiedy z sobą przyprowadził; zapoznam cię z młodą hrabiną i z jej teściem, jestto człowiek znakomity równie rodem swoim jak zasługami w kraju i w nauce. — Tylko co ztąd wyszedł; tak jak pani był niespokojny o księcia. — Zapewneś go przyjęła z tą ujmującą grzecznością która ci tyle wdzięku dodaje, pewną jestem iż odszedł uradowany z poznania tak uprzejmej osoby. Żywy rumieniec okrył lica Laury i nie wiedziała co odpowiedzieć — Lecz zapomniałam, mówiła dalej piękna elegantka, patrząc na zegarek, iż czekają na mnie ze śniadaniem w Królikarni, jakeśmy to wczoraj na kolacyi u pani Tyszkiewiczowej ułożyli; żegnam cię mój śliczny aniołeczku! Niech wszyscy doznają od ciebie takiego jak ja przyjęcia, a pozyskasz sobie wszystkie serca... ale nie wstawajże proszę, niedozwolę abyś mię miała odprowadzać, — Wiem co komu należy. — Wszak przyjdiesz z ojcem do hrabiego P.....go? obejrzysz jego galeryę obrazów, pojedziesz z nami do Wilanowa, wrócisz w wieczór na teatr, będziesz

w naszej łoży; słowem starać się będziemy, abyś się dobrze ubawiła. Dziś jeszcze będę mówić o tobie z moją przyjaciółką hrabiną P.....ą; ale wróć się, nie idź dalej— Pozwoli pani iż ją do pojazdu odprowadzę.— Nie opieram się więcej temu, dłużej przeto będę z tobą... jakże ci na imię?— Laura—Do zobaczenia piękna Lorciu— i posławszy jej ręką od ust pocałowanie, nieznajoma wsiadła do pięknej karety, na której herby półtrzecia krzyża i Leliwy jaśniały. Laura wraca do pokoju upojona radością, i cała zajęta układaniami przyszłej wizyty u hrabiny.— Jak te wielkie panie, mówiła do swjej stariej ochmistrzyni, są grzeczne i ujmujące! Tylko one trafne są w obejściu się i łatwe do znajomości! Z niemi tylko przyjemna jest poufalość. Gdyby jaka inna osoba pozwoliła sobie głaszać mię pod brodę, i wołać po imieniu, obraziłaby mię niezmiernie, ale kiedy to czyni wielka pani, staje się to łaską... zaszczytem!... Na te słowa właśnie nadszedł pan R..... Laura opowiedziała mu spieszenie z najdrobniejszych szczegółami o bytności przyjaciółki hrabiny P....., ale nie wspomniała o sposobie w jaki przyjęła samego hrabiego P..... nadmieniła tylko iż przychodził dowiadywać się także o stan zdrowia księcia Józefa. Żałuję mocno że mnie nie zastał rzekł pan R..... nie znam w całym mieście równego jemu co do zalet rozumu i przy-

miotów serca. Co rano w skromnym ubiorze szuka prawdziwie nieszczęśliwych i wspomaga ich wspaniale; w wieczór zachwycą rozmową światłem i uprzejmością najlepiej dobrane towarzystwa. Od lat kilkunastu zaszczyca mię swoją opieką, jemu winien jestem miejsce i szczęście moje.

Każde słowo tej pochwały powiększało pomieszanie i żal Laury. W kilka dni potem zaproszoną została wraz z ojcem na obiad do hrabiego P..... Opierała się trochę temu z początku, bojąc się aby się nie wydało jak przyjęła tego o którym ojciec z takim uniesieniem mawiał; prosiła aby mogła zostać w domu, dając za wymówkę swoją nieznajomość zwyczajów wielkiego świata.

Żadnym sposobem nie możesz od tego się wymówić, odpowiedział ojciec, pierwszy raz cię tam zapraszają, rad jestem iż cię przedstawię w tak znacznym domu. Słowa te były rozkazem dla Laury. Ubrała się jak mogła najpiękniej; i w nadziei że dobry i grzeczny hrabia zamilczy przed ojcem o przyjęciu jakiego od niej doznał, nabrała cokolwiek odwagi i pojechała z ojcem zajęta jedynie zabawami o których piękna nieznajoma wspominała.

Zastała hrabiego w tym samym ubiorze w jakim go przed kilkoma dniami widziała. Zbliżył się do pomieszanej Laury i rzekł z uprzejmą

godnością jemu właściwą; wybacz pani iż ją w tak prostym stroju przyjmuję, sądziłem bowiem iż w oczach córki dawnego mego przyjaciela, nie potrzebuję powierzchownej ozdoby; i to mówiąc wyciągnął rękę do pana R.... i czule go uściśkał. Nadeszła wkrótce synowa jego znana z dowcipu i szlachetności uczuć, rozmowa przeto była nader zajmującą, lecz Laura ciągle była roztrągniona, oczekując rychło nadejście jej dobra znajoma, a tak ścisła przyjaciółka młodej hrabiny: Przeszli nakoniec do sali jadalnej, a Laura nie mogąc dłużej wytrzymać zapytała siadając do stołu: Przyjaciółka pani hrabiny zapewne wyjechała, albo może chora, iż jej tu nie masz?—Przyjaciółka o którą pytasz (rzekł hrabia P..... odpowiadając za swoją synowę,) zwykle po obiedzie przychodzi; i uśmiechnąwszy się dał znak porozumienia się izby o tém obszerniej nie rozmawiać. Postrzegła Laura iż w tém jest jakaś tajemnica której pojąć nie mogła, i niecierpliwie oczekiwała końca obiadu. Lecz wszystko się wyjaśniło, gdy przy roznoszeniu kawy (zwyczajem francuzkim przyjętym w ówczas w niektórych domach) weszła garderobiana z pięknym srebrnym imbrykiem w rękę, i nalewała kawę w filiżanki ustawione na tacy podawanej przez kamerdynera. Poznała w niej natychmiast Laura ową mniemaną wielką panią. Ładna i wysmukła pokojówka zbliżywszy się zwinnie

ku Laurze, tysiącnie ją przeproszała iż za namową jej ojca, za zezwoleniem hrabiego i za pomocą szalu i sukni swęj pani nadużyła jej ufności. Pan R.... stokrotnie dziękował hrabiemu iż w przeciwnym stroju dał równie użyteczną naukę jego córce. Laura zawstydzona, żalowała skrycie tyle okazywanych względów służącej, ubolewała nad przysuwany podnóżkiem, a nadewszystko przebaczyć sobie nie mogła, iż się dozwoliła poufale pod brodę głaskać! — Lecz dobre serce wzięło wnet górę nad obrażoną miłością własną; zaczęła się śmiać sama z siebie, ucałowała ojca, podziękowała hrabiemu, i odtąd przekonała się zupełnie że nigdy z powierzchowności o ludziach sądzić nie należy, że zalety duszy a nie ubiór cenić potrzeba; i że trochę więcej grzeczności nie zaszkodzi nigdy, a uchybienie jej nader nieprzyjemne sprowadzić może skutki — oczéwista przeto wynika korzyść z równej dla wszystkich bez względu na stopień i ubiór grzeczności.

R z L. L.

POKUTA JOHNSONA.

Nieraz zapewne w późniejszym czasie czytelnicy nasi spotkają się z wspomnieniem, lub z piśmami Samuela Johnsona, sławnego angielskiego pisarza; — nieraz może usłyszą iż charakter jego był przykrym i cierpkim, że stronił od ludzi, i unikał wszelkiego towarzystwa; wtedy niech wspomną, że wszystkiego tego przyczyną mógł być błąd jeden, błąd popełniony w młodości, błąd którego on sam nie mógł ani przewidzieć, ani wyrachować skutków. — Oto są dwa obrazy z jego życia:

W hrabstwie Warwick mieszkał stary Johnson, handlujący książkami po największej części dawnými. — Syn jego Samuel obdarzony bystrym pojęciem, trafnym sądem, i nadzwyczajną pamię-

cią, od dzieciństwa wartując księgi, najprzód dla zabawy, później już w celu skorzystania z nich, tyle nabył wiadomości, tak je sobie umiał porządnie w umyśle ułożyć, że niedoszedłszy jeszcze lat ośmnastu zasłynął w okolicy z nauki nietylko między młodzieżą, lecz nawet ludzie znakomici światłem i wiadomościami zasięgali nieraz skarbów jego wiedzy i pamięci.— W miarę okazywanego mu szacunku, młody Samuel rósł w dumę i próżność;— przyjmowany mile w domach znaczniejszych sąsiadów swoich, zaczął pogardzać stanem swego ojca, zapominając że właśnie temu handlowi który za ponizający uważał, winien był utrzymanie dotychczasowe bytu swojego, że z tych ksiązek których sprzedażą tyle się brzydził, wyczerpnął wyższość swoją nad innymi. Pewnego dnia, (było to w końcu grudnia) niebo pokryło się gęstemi chmurami, które zdawały się nowy deszcz, i pomnożenie błota na drogach zapowiadać, mgła ciężka zawisła między niebem a ziemią, słowem była to zimowa angielska pogoda, której przykremu wpływowi chcąc się oprzeć, potrzeba nietylko sił i zdrowia, lecz nadto dobrego i spokojnego usposobienia umysłu.— Stary Johnson od kilku dni nieco słaby, przywołał syna do siebie.

— Słuchaj Samuelu! rzekł łagodnie, dziś ma-

my 21 grudzień, wiesz że w Wallstall będzie dziś walny jarmark?

— Wiem ojcze.

— Otóż moje dziecko, ja dziś jakoś niedomagam, a szkodaby opuścić sposobność dobrej sprzedaży; ty więc jedź na mojem miejscu; — książki już ułożyłem na wózku, tu masz kluczyk od jarmarcznej budki, i wymienienie ceny po której książki wyprzedasz.....

— Ależ ojcze to nie tak pilnego; nie możecie jechać dziś, to jeszcze przecie niejeden jarmark będzie.

— Prawda, tylko wiesz że przed Nowym-rokiem potrzeba opłacić podatek, i należytość gospodarza.

— Na podatek znajdziemy jeszcze pieniędzy, a gospodarz poczeka.

— Samuelu! Samuelu! odmawiasz posłuszeństwa staremu ojcu?...

— Żądajcie co innego, ojcze kochany! ale jechać z książkami na waszym wózku, stać w budzie kramarskiej i targować się o parę groszy z tymi którzy mię u siebie jako równego sobie przyjmują.... nie mogę.... prawdziwie nie mogę!

— Synu mój! zwycięż próżną pychę; Bóg pysznych nie lubi! — Teraz już nie dla ulżenia sobie, ale dla własnego twego dobra proszę cię, jedź do Wallstall! nie wstydz się ucziwego za-

robku, z którego twój ojciec przez czterdzieści lat żyje; niestraciwszy szacunku rozsądnych ludzi, i dobrego imienia.

Samuel potrząsnął głową.

— Ty się namyślisz Samuelu! jeszcze się nigdy zuchwałym i nieposłusznym nie okazał.

Młodzieniec wyszedł z spuszczonej wrokiem i zamknął się w swojej izdebce.— Stary Johnson czekał długo, ażali syn jego zmieniwszy postanowienie nie zejdzie na podwórko.— Minęła jedna i druga godzina, Samuel nie zszedł.— Wtedy starzec zmartwiony uporem syna, może też i sam cokolwiek uparty, założył konia do wózka, zarzucił na siebie oponę i popędził do Wallstall.

Samuel widział przygotowania ojca, w sercu jego miłość dziecięca, i próżna duma ciężką staczały walkę, ale niestety! przemogła ostatnia.— Wszelako, z biciem serca i niespokojnością oczekiwał powrotu ojca,— po pierwszy raz w życiu wyłamawszy się z pod jego władzy, czuł potrzebę prześlągnięcia starca, i serdecznego z nim pojednania.— Stary Johnson wrócił wieczorem, sprzedał dobrze swój towar, żałującemu synowi przebaczył z serca, lecz słabość jego lekka z początku, zwiększyła się znużeniem i przeziębieniem; przez kilka dni następnych wzmagała się straszliwie, i w końcu tygodnia mimo starań leka-

rzy, mimo rozpacz y Samuela, wtrąciła go do grobu.

Czarny smutek opanował duszę młodego John-sona: wyrzucał sobie że naraził starca na utrudzenie, które mu śmierć przyspieszyło, zamknął się w samotnym domku, unikał ludzi, zwał się głośno ojcobójcą, i nie dość ufny w miłosierdzie Boga wmówił w siebie że gniew i przeklęstwo Stwórcy spadło na jego głowę, że w niczém szczęścia ani powodzenia nie dozna.

Z tą myślą postępując w życiu, cóż dziwnego że w niém żadnego nie widział powabu? w każdym człowieku widząc nieprzyjazną lub gardzącą nim istotę, z początku stronił od bliźnich swoich, z czasem za mniemaną ich nieżyczliwość szczerą im zaczął odpłacać niechęcią; stał się dziwacznym, opryskliwym, w książkach tylko niejaką przyjemność znajdował, a i naukę z nich czerpaną, i dowcip swój niepospolity, na wyszydzenie i pogńębienie mniej światłych od siebie obracał. — Łatwo pojąć jak był nieszczęśliwym z takim usposobieniem, jak gorzką była mu każda godzina, kiedy zwabiona pracą i zgryzotą starość skorszym niż do innych krokiem zbliżać się do niego zaczęła, a na całej przestrzeni ziemi nie było istoty, do której tklności i przywiązania odwołaćby się miał prawo.

Opatrzność jednak ulitowała się cierpień je-

go;— Lord Crow, blizki sąsiad Johnsona ceniąc wysoko jego wiadomości, zwabił go do swego domu, a jego żona czuła i przenikliwa, odgadła pod przykrą dziwactwa powłoką, głębokie cierpienie, i wszelkich dołożyła starań by je choć cokolwiek złagodzić. — Pod tym gościnnym dachem Johnson, sześćdziesięcioletni już starzec odżył dopiero; pod łagodnym wpływem Lady Crow zrozumiał, że od niego zależało zjednać sobie przychylność ludzi swych braci, w rodzinném kółku gospodarzy swoich pojął, że i on mógłby być spędzić życie przyjemniej i pożyteczniej, a miejsce rozpaczy i niechęci, zajął żal za przeszłością, i łagodna za przyszłym życiem tęsknota.

Zbliżał się do końca rok pobytu Johnsona w zamku Crow, kiedy z powodu rodzinnej jakiejś pamiątki liczniejsze niż zwykle towarzystwo zebrało się u Lorda.— Półowa dnia zeszła, a jeszcze Johnson nie ukazał się w salonie, lecz ponieważ wszyscy wiedzieli jak lubił samotność, nie zdziwiło to nikogo, gdy jednakże obiadowa zbliżyła się godzina, Lady Crow mniemając że biednego odludka napadł znów jaki przystęp ponurego smutku, poszła sama do jego pokoju.— Nie zastała nikogo, a po wypytaniu się służących, dowiedziała się z przerażeniem: że rano jeszcze wyszedł ~~był~~ z domu mimo ulewnego deszczu, bez płaszcza i z kapeluszem w ręku.— Rozesła-

no na wszystkie strony, i niebawem nadeszła wieść że widziano doktora Johnsona idącego pieszo drogą do Wallstall wiodącą.

Niespokojny o gościa swego Lord Crow, obawiający się już oddawna aby dziwactwa Johnsona nie spowodowały w końcu obłąkania zmysłów, kazał zaprzędz lekką karjolkę, i w towarzystwie dwóch przyjaciół, pojechał gościńcem którym w poranku jeszcze poszedł gość jego.

Od mieszkających po nad drogą rolników troskliwy gospodarz Johnsona dowiedział się, iż tenże rzeczywiście zmierzał prosto do Wallstall; niewiedząc czy to miasteczko o trzy mile angielskie od mieszkania jego odległe będzie kresem poszukiwań, Lord Crow zaciął konie, by przynajmniej przed wieczorem w niém stanąć; lecz któż opisze zadziwienie jego, gdy przybywszy na rynek, gdzie właśnie jarmark się odbywał, ujrzał w pośrodku, wspartego o stary spróchniały słup, z odkrytą głową, z siwym rozwianym włosiem, bez płaszcza, i z rękami na krzyż założonemi, uczonego doktora Samuela Johnsona!... kupcy i kupujący przechodząc mimo niego, poglądali z politowaniem na starca, lecz miejskie dzieci, i z obcych stron przybyli próźniacy, otoczyli go wkoło, a z spokojności i nieruchomości jego, wnosząc, że mogą sobie nieprzyzwoitej dozwolić rozrywki, zaczęli go najprzód uszczypliwiemi słowy, potem rę-

kami, dotykać, nakoniec niby drewnianą figurkę chcieli go w kółko obracać.— Na to nadjechał Lord Crow, zeskoczył z karjolki i chciał bronić od obelg Johnsona, lecz ten wznosząc rękę do góry, rzekł uroczystym głosem:

— Pozwól im Milordzie! słusznie należy śmiech i szyderstwo dzieci temu, kto w młodości starego ojca nie szanował.— A wy dzieci patrzcie! jaką zgryzotą karze Bóg nieposłuszeństwo syna.— Oto czterdzieści lat, co rok w tym samym dniu staje na tym rynku, w którym wstydziłem się stać tu przy towarze pocziwego ojca.— Oto czterdziesty raz pieszo i z odkrytą głową przebiegam tę drogę, którą nie chciałem przebyć wygodnym wózkiem, czterdziesty raz służę za pośmiewisko mieszkańcom tego miasteczka, które szanowało imię mego ojca;— a przecież.... przecież nie zaspoikoilem jeszcze sumienia mojego, jeszcze mi codziennie w uszach brzmiały te okropne słowa;— przez twój upór przyspieszyłeś zgon pocziwego ojca!....

Zakrył oczy rękami, dokoła cichość panowała głęboka;— po chwili Johnson opuszczając ręce rzekł:

— O tak dziatki! strzeżcie się takiego błędu, i proście Boga, by i mnie odpuścić raczył.

To powiedziawszy zwrócił się ku drodze, próżno Lord Crow prosił go i namawiał, by znuzony wsiadł do karjolki; Johnson chciał dopeł-

nić uczynionego ślubu, chciał pieszo dojść do domu. — Ostatnia też to była jego pielgrzymka; następnego roku, skołatany pracą, smutkiem, zgryzotą, dokonał smutnego życia, żalowany tylko od szlachetnej rodziny, która go na łono swoje przyjęła, i umiała ocenić zaród szlachetnych uczuć, pod pozorem dziwactwa i złościwości.

P. K.

JASMUŻKA.



Tam gdzie pobożnych nieraz gromadka
W modłach cześć Stwórcy oddaje,
Z lubém dziecięciem poszła i matka,
I przy kościółku już staje.

Długo śpiewanie i prośby trwały;
Matka o syna troskliwa,
Wiedzie go z sobą w ogródek mały,
I pozywienie dobywa.

„Posił się trochę;— droga daleka;

„Długoś się morzył już głodem.

„Potém wracajmy,— ojciec nas czeka

„Jeszcze przed słońca zachodem.

„Dzięki ci matko, dziecię odpowie,

„Ja wrócę zdrowo do siebie;

„Oto staruszek przy téj dąbrowie,

„Patrz w jak on ciężkiej potrzebie!

„Może niebogi siedzi od rana,
„A ludu coraz ubywa,
„Oddam mu wszystko, matko kochana,
„Naszój pomocy on wzywa.

„Daleka droga krótką się wyda,
„Wrócim do domu, do taty,
„A za ten datek więcej nam przyda
„Twórca wszech rzeczy, bogaty.

I pobiegł zaraz chłopczyk ochoczy,
Starcowi kładzie ofiary,
I tłum go ludu zewsząd otoczy,
I każdy niesie swe dary.

Zrozumiał cnotę w małej dziecinie
Starzec sędziwy, kaleka;
Co mu uczynił, to nie zaginie,
Nagroda w niebie go czeka.

H. P.

ORZEŁ I ORLĘTA.



Raz uczył latać orzeł swe pisklęta
Na niebotycznej wylęgnione skale,
I gdy z początku orlęta
Naukę brały niedbale,
Rzekł: dzieci moje! zważcie stanowisko
Waszego gniazda, jakże jest wysokie;
A potem na dół pójrzycie tam nizko
Ze wszech stron jary głębokie.
Albo wam lecieć do nieba,
Albo na dół upaść trzeba
Koniecznie z téj stroméj skały.
Po takiéj orła przemowie
Orlęta ducha nabrały
I z całej siły, z całej co się zowie
Skrzydłami robiąc bez zwłoki,
Wzięły swój polot za ojcem w obłoki,

BAJKA

KRÓWKI I PSZCZOŁA.

Krówka, robaczek gnuśny i leniwy
Zatrzymawszy raz pszczołkę lecącą na niwy,
— Radabym, rzekła: wiedzieć dla czego, i za co
Zowiecie pracą
Latanie z kwiatka na kwiatek?
Od jakiegoż to czasu swawola, niestatek
I płochoch zabaw rozkosze
Mają pracy nazwisko? objaśnij mnie proszę.
— Moja panienko, pszczoła jej odpowie;
Na zyskanie i chwały, i kawałka chleba
W błocie się czołgać bynajmniej nie trzeba:
Rozrywka obok pracy przynosi nam zdrowie;
A natura, właśnie na to
Stworzyła wiosnę i lato

Abyśmy, z kwiatów zbierając słodycze
Miały z nich pokarm za nadejściem zimy:
Igrając, miodek robimy.

Tak więc igrać tobie życzę,
A nie będziesz i teraz pomiészana z błotem,
I zbierzesz korzyść na potem.

Młodzieży! pókiś w pięknych życia latach,
Niechaj i w tobie chęć pracy nie drzymie;
Jak pszczołka, igraj po kwiatach,
Jak pszczołka, pomnij o ziemie.

Wład. Miniewski.



RYBKI TEPECKIE.



Tędy bliżej, mamo kochana, wołała jasnowłosa Bozenka wbiegając na uboczną ścieżkę Teplckiego ogrodu.

Zniewolona matka wdzięcznie błagalnym uśmiechem dzieciny, za nią zwróciła kroki i po niedługiej chwili stanęły obiedwie nad zwierciadlaną powierzchnią obszernego stawu.

Piękny, zachwycający był widok nadbrzeżnych drzew i krzewin kąpiących długie konary w przejrzystych wód kryształe, piękniejsze błękitu niebios odbicie.

Dzień był tak cichy i pogodny, tak nadobnie miły spokój natury, jak życie szczęśliwej kobiety.—Uroczystość milczenia harmonijną zgodą powtórzyło serce matki; stanęła, niemém zachwyceniem dziwiąc wielkość Stwórcy— a wzrok jój tak błyszczący zrazu

iskrą uwielbienia, powoli dumanie zmieniło w spój-
rzenie, co tak dziwnie ogarnia całą wielkość prze-
stworu, żadnego w nim nierozróżniając szczegółu.

I na Bożence zrobiła wrażenie niezwykła spokoj-
ność miejsca; ale jak zwykle dziecię, sercem tylko
wdzięk natury objęła— przelotny uśmiech w błę-
kitném mignął oczku — i poskoczyła ku poręczy staw
okolającej, do prawdziwego celu swojej przechadzki.

Zaledwie nadobną główkę pochyliła ku wodzie,
sposzregły ją obłaskawione rybki, małe i duże
tłumnie na wierzch wypływać zaczęły, a Bożenka
radosna wyjmując z koszyka białą bułeczkę, w dro-
bne ją dzieląc cząsteczki, rzucała im i rzucała.

Piękny, malowniczy był obraz wodnego świata.
Swobodne rybki jakby dla igraszki tylko uganiając
się za odrobinami bułeczki, płały rozkosznie, sre-
brzystą pierśią muskały stawu powierzchnią, albo
żywem pluskaniem wyrzucały w górę brylantowe
wody kropelki.

Patrz, patrz mamó! jak to ślicznie, jak cudnie! wo-
łała z rozjaśnioném oczkiem Bożenka, szczebiotli-
wój mowy dźwiękiem przerywając zadumienie ma-
tki;— o! czemuż ja rybką nie jestem— jak szczę-
śliwe są rybki!

Aby być szczęśliwą odrzekła matka, niedosyć uży-
wać szczęścia— pojmować, roznmieć go trzeba.

O, mnie się zdaje że one bardzo, bardzo szczęśli-

we, powtarzała dziewczynka, przypatrując się pilnie rozkosznym igraszkom ukochanych rybek.

Gdy wtém, od drugiej strony stawu, z zielonego domku swojego wypływa łabędź wspaniała, a porzucą śnieżystą piersią środek spokojnej wody, już, już drugiego brzegu dosięga. — Spostrzegły go igrające rybki, nagle dziwną obawą zdjęte, rzucają obfitą zdobycz, i z największą szybkością na wszystkie się rozpierchają strony.

Ach, droga mamó, zawołała żałośna Bożenka, czy widzisz jak! przeraziły się rybki, z jakim uciekają przestraczem; a ta błyszcząca, srebrzysta, tak silnie przytula się do brzegu; jakże drzeć musi jój małe serduszko! — o, biedne, biedne rybki! ja was bardzo żałuję.

A przed chwilą tak zazdrościłaś ich losu, odrzekła poważnie matka. Widzisz dziecię lubo, Bóg wszystko mądrze urządził; nie do nas należy wierać w cele wyroków jego, nie do nas sądzić jakieby nam bardziej przystały losy; ale naszą powinnością zrozumieć przeznaczenie swoje, znaleźć szczęście w jego obrębie i pomnożyć niém chwałę Stwórcy ogromu światów.

W. T.

PANIEC WĘZÓW.

Dźwięki naturalne naśladował głos ludzki; świszczenie wiatru, rum grzmotu, kruszczu oddźwięki, szelest poruszonych lisci, łomot spadającego drzewa, nareszcie świergot leśnego ptactwa i różne dzikich zwierząt głosy, jak pierwszych wyrazów mowy brzmieniem, tak i pierwszego pienia tonami stać się musiały. Pienia z postępem czasu instrumentalnej muzyce początek dały — delikatne czucie ją wykształciło. — Jeżeli więc uważać mamy muzykę za wykształcone naśladownictwo dźwięków naturalnych — odkryjemy łatwo przyczynę, dla której tak mile zmysły nasze zachwyca, serce porusza, dla której i na innych zwierzętach tak silny wpływ wywiera.

Słyszymy często różne gatunki ptactwa z upo-

dobaniem podaną powtarzające nótę, widzimy zwierzęta domowe słuchające bacznie dźwięków instrumentu, czytamy nawet niekiedy opisy wrażenia jakie sprawiają na dzikich, jednakże zadziwia nas bardzo wiadomość wpływu wywieranego jedynie siłą muzyki na węzach *cobra capello* zwanych, a zadziwia osobliwością swoją.

Węże te znajdujące się bardzo obficie w Indiach wschodnich— a szczególnie na pobrzeżach Koromandelu, należą do liczby najzjadliwszych, bo ukąszenia ich, w przeciągu piętnastu minut śmierć przynosi. Wielkością do czterech stóp dochodzą; są koloru żółtego w czarne centki, kształtem równają się innym węzom Wschodu, jedną tylko mają oddzielną cechę— to jest torebkę małą na głowie, niewidzialną w czasie spokojności zwierzęcia, którą dopiero uczucie gniewu lub radości podnosi i nadyma.

Indyanie korzystając z namiętności tych węzów do muzyki, używają jej najwprzód do ich schwytania, a potem do wprowadzenia ich w pewien ruch taktowy co tańcem węzów nazwano.

Kiedy *cobra capello* ukáže się w pomieszkaniu lub piwnicy jakiej rodziny, natychmiast dają znać o tém człowiekowi poświęcającemu się ich chwytaniu i pokazywaniu ciekawej publiczności; człowiek ten wchodzi z slecikiem w rękę, zaledwie kilka wydobędzie z niego tonów, wąż pokazuje

się z ukrycia a przyczołgawszy się ku grającemu ciąglém podnoszeniem się w górę, drganiem wyższej części ciała, i nadęciem torebki, wyraźnie wielkiej radości swojej daje oznaki. Wtenczas grający chwytą go nagle za koniec ogona i szybko wrzuca do przygotowanego na ten cel koszyka; zanim go jednak połączy z gronem tańczących, odejmuje mu wprzódę sposoby szkodzenia. Na ten cel puszcza go jeszcze wolno na ziemię, i do tego stopnia rozdrażnia uderzeniami kawałkiem sukna czerwonego, przymocowaném do długiego kija, że wąż z całą wścickłością rzuca się na sukno, i tak silnie wżęby je ujmuje iż po mocném dopięro szarpnięciu razem z zębami szkodliwemi sukno wyrrywają.

Koszyki w których chowają Indyanie węzów i których zwykle po sześć noszą, są płaskie okrągłe, przymocowane do bambusu przenoszonego na ramieniu. Wystawiający je na widok publiczny ustawia we dwa koła koszyki, i wysuwa z nich węże. Na odgłos instrumentu zwierzęta się podnoszą, i tylko trzecią częścią ciała wsparte na ziemi zaczynają się kołysać— zawsze z równemi oznakami radości. Jajko na twardo gotowane jest całą ich nagrodą i całodzienném pożywieniem.

W. T.

ABULCHER BISCIAH.

Kilku znakomitych pisarzy uczciło pamięć młodziana, który jak wczesny kwiat z nadbrzeża Nilu nad Tybr przeniesiony, zachwycił wszystkich i uwiadł przed czasem.

W małej wyższego Egiptu wiosce, Sethfeh zwanej, położonej u wybrzeża Nilu, żyła w pierwszych latach ośmnastego wieku, rodzina imieniem Bisciarah. W owym czasie nie znano tam katolików, ani jeszcze misyonarze nasi, zwrócili kiedy kroki swoje ku tej krainie. — Razu jednego ojciec Sicard, przeznaczony na nawracanie mieszkańców Kairu, poszedł w stronę starożytnych Tebów, aby z rozproszonych ludów nad brzegami Nilu, powrócił kogo Bogu prawemu. Staje szczęśliwem zrządzeniem w wiosce Sethweh, —

mówi o Chrystusie,—wyświeca prawdziwą naukę i z ojcowską dobrocią wylicza smutne skutki ich błędu; ale nie znajduje apostoła przychylnych sobie, ani usposobionych ku słuchaniu mów jego. Jedna tylko rodzina poszła za namową i została katolicką, była-to rodzina Bisciarach, składająca się z dwojga tylko małżonków. Zaraz od uznania prawej nauki, stali się przedmiotem powszechnej wzgardy; dzieci nawet rodziców niewiernych były nauczane prześladować ich, drogą idących. Kopty mają o nas szczególniejsze wyobrażenie; w ich mniemaniu ojciec Sicard był czarownikiem, który sztuką swoją uwiódł rodzinę Bisciarah. Przybycie katolickiego apostoła, uważano za przepowiednię smutną jakiegoś nieszczęścia. „Kto wie,—mówili oni“ czy ten ksiądz nie przybył dla wstrzymania wylewu rzeki, aby pola nasze urodzajność straciły?—Biada wam, wołali znowu do nawróconej rodziny, — jeżeli na rok przyszły nie ujrzym jej występującej z koryta swojego!—Biada wam jeżeli Nil opiekuńczy odmówi nam coroczną daninę.

Obecność ich była dla wsi mieszkańców przyczyną ciągłej niespokojności i obawy, czyniła ich przeto nieszczęśliwymi. Jeżeli ich okręty w towary bogate, miały sobie wielkie cto nałożone, jeżeli Beduin z nadbrzeża Nilu ze zdobyczą ich dobra uszedł, jeżeli połów mniej pomyślnie po-

szedł, kopty z Sethfeh rodzinie to katolickiej zarzucali; ona jednak znosiła prześladowanie w milczeniu, prosząc Boga o nawrócenie złoře- czących jój.

Roku 1714, dał im Bóg syna, którego od pierwszych dni zaraz Najświętszej Matce ofiarowali, nazywając imieniem krajowém, Abulcher.

—Ojciec Sicard był pierwszym terażniejszych czasów, apostołem wyższego Egiptu, gdzie niewiele znalazłszy powolnych głosowi swojemu, poszedł w stronę Kairu i odtąd Tebajda nie ujrzała tak prędko katolickiego nauczyciela. Przełożeni kollegium do rozkrzewienia wiary w Rzymie, gorliwi o dom Boży wspomnieli i o wyższym Egipcie, gdzie tak wielu błędnych ginie w zapamiętaniu swoim. Roku 1716 Klemens XI papież, polecił księdzu Assemani, ażeby się podjął mozolnej podróży do Afryki, i rozpoznał usposobienie ludu tego, jako też przygotował do nastąpić wkrótce mającej missyi. Udał się on pod pozorem zwiedzenia tamtejszych klasztorów i bibliotek, poszukiwania rękopismów, przypatrzenia się zwyczajom i obyczajom. Podróże Assemaniego nie były bez korzyści dla nauk i religii; przywiózł on do Rzymu ciekawe zabytki dawniej krajowców sławy, z których jedne złożono do biblioteki Watykańskiej, drugie do Propagandy.— Ułożono wkrótce grammatykę i słownik języka

koptów, a młodzi missyjonarze wzięli się do jego nauki; pierwszy zaś który się już dostatecznie z nim obeznał, wyjechał roku 1720, do Egiptu.

Młody missyjonarz, którego nazwisko naszój nie doszło wiadomości, udał się w te same strony, gdzie niegdyś ojciec Sicard Boga prawego usiłował zaszcześcić religiją; — natrafił na wieś Sethfeh i przyjęty był do domu rodziny Bisciarah. Abulcher, sześć lat naówczas liczący, przedstawiony nowemu przychodźcowi, od niego otrzymał błogosławieństwo; — wtedy dziecię, anielskie spójrzanie swoje, zmierzyło ku niebu, jakby przyszłość przepowiedzieć chciało. Zrozumiał to młody apostoł, a w niezwodném przecuciu widział świętość, która go otaczać miała. Na uczczenie pamięci dnia, tak miłego spotkania, zawiesił u szyi jego obrazek Maryi i Ś. Ludwika Gonzagi, — Cóż za radość napełniła Abulchera; — biegnie złożyć drogie upominki swoje, na ołtarzyk kapliczki którą w mieszkaniu ojca zhudował, i modli się gorąco. — Już od niejakiego czasu najprzyjemniejszą zabawką jego, była ta domowa świątynia; gdziekolwiek wonny zoczył kwiatek, przystrajał nim to miejsce codziennój modlitwy. Czciją Maryi; której od niemowlęctwa był ofiarowany, przejęty, często powtarzał: „Matką jesteś moją, o Maryo! — kocham cię, — kocham cię!“ — a rzucając się potem na twarz dodawał: „Twoim jestem

więźniem.“ — Podczas nocnego spoczynku, Abulcher krzyża z rąk nie wypuszczał, a w każdej ocknienia chwili przyciskał go do piersi i ły wdzięczności ronił. W czternastym roku życia, stał się już nieodstępnym towarzyszem apostoła Egiptu i jego pomocnikiem, a razem czujnym stróżem nowego kościoła w Sethseh. Przystrajał go w to, co najpiękniejszego oko jego natrafić mogło, zawsze jednak dusza anielska Abulchera, była najpiękniejszą jego ozdobą.

Noce gorącego lata, przepędzają Egipcyanie na pokładzie domów; missyonarz z młodym towarzyszem, spali obok siebie na węzłowie. Często Abulcher wśród nocnego zacisza wstawał, padał na kolana i trwał długo na modlitwie na widok nieba okrytego gwiazdami. — Młodzieniec nie odstępował apostoła i wtenczas, gdy się oddalał dla zwiedzenia osad odległych. Nieraz aby się dostać z Ś. Wiatykiem do chorego, trzeba było wodą się przewozić; Abulcher wtedy kwiecistemi gałęziami czólno przyozdabiał, a obracając się do wód Nilu, wołał: „Radujcie się, wy unosicie waszego stwórcę;“ — a do hyppopotamów i krokodyłów; „uwielbiajcie Pana“ — Z tém samém się odzywał do stada ptaków, które nad głowami ulatując dążyły ku piramidom, aby tam spoczęły, nim się puszcza w dalszą drogę, ku Czerwonemu lub Kaspijskiemu morzu.

Przełożeni missyi Kairu, znali to dobrze, jakby kościołowi wiele pożytku przyniosło, gdyby młody Egipcyanin, chciał wstąpić w ich zgromadzenie; z tą znajomością krajowego języka, obyczajów i zwyczajów, apostoł, sam urodzony nad brzegami Nilu, byłby spełnił ich wszystkie życzenia. Zamiar ten najusilniej popierany był, przez Propagandę Rzymską i wszyscy missyonarze w Egipcie o tém niebawnie uwiadomieni zostali. Na ten odgłos powszechny, kapłan z Sethfeh, przyzywa Abulchera i rzecze do niego: „Czy byś życzył sobie mój synu, być przeniesionym do Rzymu, do collegium, gdzie się kształcą apostołowie całego świata, abys i ty podobnie im, mógł kiedyś nawracać braci twoich, nad ślepotą których już dzisiaj umiesz się litować.“ „Ja gotów jestem na wszystko“— odpowiedział młodzieniec, „cokolwiek mi poleconém będzie.“— Znając bogobojność jego rodziców missyonarz, nie wahał się długo z oznajmieniem téj nowiny, która jakkolwiek rodzicielskie serce boleścią przeszła, jednak dla dobra religij chętnie z siebie uczynić postanowili i tę ofiarę. Z rozrządzenia przełożonego missyi Kairu, Abulcher miał się zabrać na statku kupieckim, przybywającym z Tebów, na którym znajdowało się już kilku młodych Egipcyan, przeznaczonych także do collegium.

Dzień wyjazdu nadszedł, — już dziecię miało

opuszczać rodzinne Sethfeh, — już wśród łez obfitych raz ostatni, o błogosławieństwo prosi. — Łątwo pojąć żal czułych rodziców, w chwili rozstania się z najlepszym synem; rozdział ten był najboleśniejszym ich sercu. — Missyonarz towarzyszył młodzieńcowi aż do brzegów Nilu; odprawdzili go zaś wszyscy wierni tój ziemi, łyż roniąc i obsypując błogosławieństwami. Przyszedł na koniec czas pożegnania; — statek unoszący Abulchera puścił się po szerokim Nilu, — długo jeszcze Egipcyanie na wyniosłych wybrzeżach, ściągali pędzony nurtem wody statek i chustami białemi zdala go żegnali.

Po długiej podróży, z tak odległej części świata przybył do Rzymu 31 grudnia, 1731 roku.

Zwyczajem jest iż nowo-przybyli do kollegium, oprowadzani są pozamiastem, dla przypatrzenia się pięknościom szczątków starożytności. Pomniki, miny i wszystkie zabytki odległych wieków pogauństwa, były obrazem obojętnym oku młodego Egipcyanina; ale niepojętego doznał wzruszenia, gdy się widział wprowadzonym do kościoła Ś. Piotra, świątyni świata całego. Na widok przepychu i okazałości, prawdziwie uczuł że jest w domu Boga, w przybytku stwórcy swojego.

Dnia 6 stycznia 1732 roku, Abulcher został obleczonym w suknię Propagandy; — na pierwszy jej

widok ucałował pas purpurowy, wizerunek téj krwi którą gotów był dla Chrystusa przelać.

Zrazu czuł się być osłabionym daleką drogą i wpływem oddmiennego klimatu, nie ustawał jednak pracować dla nabycia nowych nauk i w każdym razie uległym się okazał, zgromadzenia ustawom.

Grammatyka Włoska i Łacińska, przedstawia młodzieży nieeuropejskiej, ćwiczącej się w Propagandzie trudność nie wysłowioną, którą chrześcijańską tylko cierpliwością zwalczyć są zdolni. W początkach niemało pracy kosztuje, zaprowadzenie między wychowawcami kollegium, jednostajności zwyczajów;— z różnych stron świata przybywając, różne skłonności z sobą przynoszą. Ujrzeć tam można, synów Azji (*) mniejszej, Grecyi, Syryi i Etiopji,—Abissynji, Gwinei, Chin i Kaliforni,—Missury i Smirny, słowem mówię, całego okręgu ziemskiego: wszyscy ci pod jedném życ muszą prawem i jedną składać rodzinę. Abulcher, przy właściwej sobie łagodności, łatwo się przyzwyczaił do tak odmiennego

(*) Jak liczny zbiór jest kształcących się w tym domu młodych apostołów, poznać nam dają ćwiczenia akademickie, odbyte niedawno w dzień Świętych Trzech Króli.—Słyszano tam rozprawy w czterdziestu trzech językach. Czytano wypracowania w dyalektach o których myślny nawet nie słyszeli, taką jest mowa Tairhanicka i Mandaicka, z pierwszą wystąpił Chałdajczyk z drugą Masonita.

życia: jego posłuszeństwo i uległość zawsze wzorem były dla współ-uczniów, i o! jak piękną przyszłość kościołowi całemu obiecywały!..

W lat sześć po wstąpieniu do zgromadzenia, Abulcher, licząc naówczas siedmnastą wiosnę, złożył u stóp ołtarza, przysięgę apostołstwa. Jeden z dawniejszych uczniów odczytał bullę Alexandra VII papieża tyczącą się ustaw Propagandy, gdy czynił obietnicę Bogu, poddania się pracom apostołskim, twarz jego jaśniała uśmiechem i malowało się na niej to szczęście, którego rzeczywiście doznawał.— Kiedy kładł rękę na Ewangielję, rześiste łzy zlały jego oblicze.

Abulcher, był tak ścisłym wykonywaczem cnót chrześcijańskich, iż wszystko cokolwiek nie dążyło do uświętobliwienia duszy jego, cokolwiek było ziemskim, za nic poczytywał. Tym sposobem widocznie wzrastał i ukształcał się w doskonałości bogomyślnego życia. Wychowańcy Propagandy, wychodzą w dni świąteczne i wolne od pracy, przechadzać się po przepysznych ogrodach w Villa Medicis;— ztamtąd-to kościoły, domy i włości Rzym otaczające przedstawiają widok zachwycający. Abulcher i téj niewinnéj przyjemności oczom swoim odmówił; rokoszne ustronia pięknego kraju nie były nawet zdolne sprowadzić na siebie wśród zachwycenia, wzroku jego. Umartwienie nieustanne młodzieńca, przypominało pustelników niegdyś téj

samój Tebajdy, w pograniczu której światło dzienne ujrzał. Zbyt umiarkowanego używał pokarmu, mówiąc: iż słabe zdrowie nie dozwalało bardziej się zasilać. Życie jego wkrótce stało się zupełnie duchowne, — nie wzdychał już do rodzinnego kraju i piękne brzegi Nilu urok swój straciły; — myśl jego Bogiem zajęta, Boga tylko szukała.

To wszystko gdy wielki wpływ wywierało na wyniszczenie sił jego, Abulcher wśród różnych boleści, głosu uskarżenia nie wydał; zapytany nawet o stan zdrowia, zwykł był odpowiadać: Dzięki Bogu! — wdzięczny stwórcy swojemu, za doznaną słodycz krzyża jego — Uczniowie kolegum ze zwyczajaju, w piątek wieczorem odprawują na pamiątkę męki i śmierci Chrystusa Pana, pokutę. Abulcher mimo widocznego osłabienia, nie opuszczał i tego czynu pokutnego, któremu nawet godziny nocne poświęcał, łącząc z cierpieniem westchnienia miłości Bożej.

W rozmowie był żywym, uprzejmym i wesołym; wśród tylu umartwień, zawsze wypogodzone widziano czoło jego. Gdy który z współ-uczniów ukończywszy nauki, wyświęcony na kapłana, odjeżdżał w stronę, gdzie miał apostołskie rozwijać dzieło, drobną przysługą szedł Abulcher być pomocą, rozstającemu się z przyjaciółmi misyonarzowi; układał jego książki, papiery i odzienie, a łzy roniącym w chwili bolesnego pożegnania, mawiał:

„Oto nowy pracownik, śpieszy do winnicy Pańskiej, żołnierz jeszcze na pomnożenie wojsk jego; wam się raczej cieszyć wypada, tam on może w ostatniem stanowisku swój podróży, znajdzie owcę bez pasterza, którą powróci owczarni Boskiej.“ Ale jeżeli przypadkiem chorego odwożono, zasmucał się srodze, widząc ubywającego robotnika.

Na początku 1737 roku kaszel mocny połączony z gorączką, objawił się w młodzieńcu; uczuli to nie mało, towarzysze nauk i codziennie gorące składali modły o przedłużenie dni tego, który kiedyś stać się miał najgorliwszym Egiptu apostołem. Z porady lekarskiej zmienił mieszkanie; — przeniesiony był do domu w pobliżności Watykauu, San Stephano de Mori, ta bowiem część Rzymu najprzyjemniejszą jest. Życie Abulchera w San Stephano, było ciągiem bogomyślności. Tu widziano go nieraz w ogrodzie, pośród gęstwiny zarośli, przechadzającego się z różańcem w ręku. Miłość współuczniów, w tym się szczególnie objawiała czasie; często go odwiedzali, a na twarzy każdego, ten się już malował smutek, którego wkrótce wszyscy doznać mieli. Poznał to młodzieniec i do płaczących często się odzywał: „Czegoż bolejecie nade mną? miło mi jest cierpieć, — śmierć pragnieniem jest duszy mojej.“ Nic go już ziemskiego nie zajmowało, wiadomości jednak o missyach zagranicznych z rokoszą słuchał. Zachęcany od spowiednika, aby

ulżył nieco ostrości życia, odpowiadał: „Ojcze, krótki mi już czas pozostaje, pozwól niech czynię, póki jeszcze dzień świeci, póki się noc nierozpostarła, gdzie już pracować dla siebie nie zdołam.“

Za nadejściem wiosny, uwiadomiony spowiednik od lekarzy, o blizkim kresie dni jego, tę mu nowinę przynosi.— „Ach ojcze! zawołał Abulcher, lata wieczności stały mi zawsze na myśli i oto czekam spokojnie chwili, oswobodzenia mego z więzów ciała. Nadzieję pokładam w nieskończoném miłosierdziu Zbawcy, On mię przyjmie do tronu chwały swojej, abym na wieki całe, Jcgo wielkość opiewał.

Wieczorem 30 kwietnia, odwiedzających siebie pocieszał; — był-to dzień Świętej Katarzyny Seneńskiej, której wielkie cnoty rozpamiętywał. Noc późna powołała wszystkich do spoczynku, izdebka Abulchera została opuszczoną; — nie mniemano iż noc ta, miała być już ostatnią. W poranku 1 maja, gdy wszystko nowém życiem oddychać zaczęło i cieszyć swobodą, poszedł jeden z braci doglądać chorego; — zlekka zapuka, ale gdy glosu nie słyszy żadnego, w mniemaniu że śpi jeszcze, odchodzi. Po chwili wraca znowu, a nieodebrawszy odpowiedzi, otwiera okno — ale jakież się widok oczom jego przedstawia, — widzi Abulchera rozciągniętego na łożu; trzyma on krzyż w ręku, na twarzy spójrzenie anielskie, —

zdaje się być w zachwyceniu. — Zbliża się do niego, — woła, — dotyka, jakby z głębokiego chciał snu zbudzić, ale on już nie czuje, — on głosu wołania nie słyszy. Smutek powszechny napelnił dom cały; — Abulcher nie żyje! — Rozeszła się wieść żałobna po całym Rzymie, zewsząd lud zbiegał i podziwiał wielkość Boga w Jego wybranych.

Ciało młodziana przeprowadzono do kollegium, gdzie przyjmowali je misjonarze przepelnieni żalem, po stracie tego, którego zwykli byli nazywać, aniołem Bożym. Aby pamięci jego przyszłość nie zatarła, wyryto popiersie młodziana z tym napisem:

Bisciarah Abulcher Egipcyanin,
Niewinnością życia i czystością obyczajów wsławiony, przykład i żal po sobie zostawił.
Umarł w Rzymie, dnia 30 kwietnia 1738 roku,
wieku 24.

II. Plater.

URODZINY XAWERCIA.



I.

Dawno, dawno już temu, podobno dziesięć lat mija, gdy dnia pewnego przyjechała do F. Na rzekach i jeziorach topniały już lody, ziemia jednakże nie zrzuciła jeszcze swojej białej sukienki ze śniegu, a żywy promyk wiosennego słońca odkrywał, że taż sukienka z samych brylantów utkana była. Zajeżdżam przed ganek, wchodzę; cichość zupełna: i nie dziw, pani domu nieco słaba, a nie ma dzieci, pod wesołością których dom-by się przewracał.

W pierwszym pokoju nie zastaję nikogo, jednak wszystko zdradza obecność jakiejś nieznanej mi tu istoty, jakiegoś rycerza. Bo przecież pan domu nie wojskowy, a na stoliku widać cały przybór wojenny. Szabla z błyszczącą rękojeścią, z pen-

dentem nabijanym stalkami, tak długa, o! tak długa, że możnaby nią przebić... pieczone prosię na półmisku, a tak ostra, że brakło tylko dobrej chęci, by nią podziurawić wszystkie krzesła i firanki w pokoju. Tu leży złocony szyszak z czasów Rzymskich zapewne, bo orzeł patrzy bystro z nad przyłbicy, a — z wierzchołka czuba, czarna końska grzywa jeży się w górę i na boki spływa. Dalej ładownica obejmująca dwanaście ładunków, a ilebys raz który ładunek odgryzł walecznie zębami, tylekroć wzięłaby cię ochota wystrzelania całego naboju we własne gardło, bo to proch czekoladowy, szrót z różnokolorowych ziarenek cukru, a kule nie krew, tylko malinowy sok rozlewają. Cóż powiedzieć o siwym arabskim rumaku, co z okiem bystrym, nozdrzami rozдутemi, zdaje się lecieć prosto na wojnę z deski, co zapal jego wstrzymuje. Dopieroż jaki rząd błyszczący! półksiężyc na pierśsiach, czaprak axamitny, trenzla srebrzysta; podobnież wyszyta na rogu literą X: a na dowód jak zawsze, gotów jest biedz w ogień, postawiono go tak blisko kominka, że aż strach zdejmuje o jego żelazne podkowy, co rozgrzewając się, zaczynają już lakierem pachnąć.

Nie zapomniano też o tarabanie, wielkości niepospolitój, ten wprawdzie sam nie zabija na wojnie, ale za to umie donośnie dziwić się zwycięztwu; i swoim baranim głosem tak gromi zwyciężonych,

że słuchaczom nieraz uszy wędnieją od huku— ale nie koniec na tych przyborach do walki: za Marsem weszła tu widzę i pani Minerwa. Znać to po leżących na stole ślicznie oprawnych księgach, w których zamknięty jest klucz wszelakięj mądrości— Abecadło.

Zdziwiona, oglądam się wkoło.— „No! i proszę: gdzież właściciel tych skarbów? Gdzie rycerz co uchwyci za miecz? gdzie mąż co otworzy księgi, i własne w nich zdania dopisze? Gdzie... A tóż co znowu pisnęło tam w drugim pokoju? czy nie kotkowi łapkę kto udeptał— Marysiu! Marysiu— wołam na przechodzącą właśnie sługę— „Ratujcie biedną Amerkę; ona tak przeraźliwie miauczy.“

— „Jakto!“ — odpowiedziała Marysia patrząc na mnie ze zgorzeniem — „Przecież to nie kotek, lecz młody pan tak krzyczy.“

— „Młody pan?— gdzie, kto?“

— „Zaraz, zaraz“ — odzywa się głos z przyległego pokoju — „Niewolno wejść, bo pan właśnie wychodzi z niecki, gdzie brał kąpiel.“

— „A to mi osobliwszy pan, co ma księgi, i eugi, a w niecce siedzi“ — pomyślałam sobie; i za chwilę poszłam się z nim zapoznać.

Przejęta jeszcze uszanowaniem jakie wzbudziły we mnie wszystkie owe godła bohaterstwa i erudycyi rozłożone w salonie, zbliżam się na palcach do kolebki, gdzie właśnie zacny właściciel

zzyma się niesłuchanie. Musiał w tej chwili rozważać u siebie, że nasz biedny świat, na którym radziśmy byli jak najlepiej go przyjąć, nie wart niebieskiej ojczyzny z kąd przyszedł — bo krzywił się niepospolicie; z niecierpliwością rozpieierał nogami pierwsze więzy tej ziemi, pieluchy — a wszystkim dalszym jakie już może przeczuwał, groził rączkami rozpacznie ściśniętymi, które do buzi nieść usiłował. Troskliwi rodzice zaczęli tulić synka, uśmiechać się do niego, wołać— „Aniołku nasz! Xawerciu nasz!— i wkrótce skrzywiony aniołek zaczął się uspakajać. Oni mówili że wesół już, bo niegłodny; mnie zaś, która nie mogłam odejść z wyobrażenia powziętego o jego mądrości, zdawało się, że on na rękę uszczęśliwionych rodziców dla tego ucichł, że się przekonał, iż warto przecie żyć na świecie, w którym istnieją objęcia czulej matki, i dobrego ojca pieczyoty.

Odtąd, już tylko przez ramiona dwóch osób wiecznie nad kolebką zwieszonych, mogłam ujrzeć duże błękitne oczy dziecka; nad główką jego kilka włosków złotych, niby promyk zapomniany przez anioła stróża, gdy go na świat wyprowadził z nieba, i ruchy nader energiczne, dążące wyraźnie do zderzenia z czoła włożonego sobie czepeczka. Udało mn się wreszcie sprowadzić na lewe ucho ów strój niemężki, a podgo-

lona jeszcze główka błysnęła hajdamacko z pod czapki na bakier. Wyznaję że miałam wielką ochotę rozśmiać się; lecz wstrzymał mię wzruszony głos ojca.

— „Ciesz się mię!“ — odezwał się, tając powagą drzenie uradowanego serca, — „Ciesz się, że syn mój będzie objęty, odważny, i sprawiedliwy, co widzę już z jego spojrzeń ciekawych, pełnych życia, a jednak jasnych jak pogoda!“

Na te słowa matka wyjęła dziecię z kolebki, i wpatrując się w nie pilniój jeszcze, — „a ja pewna jestem że będzie i czuły“ — dodała — „Patrz, o! patrz mężu; te jego błękitne oczki, to zupełnie jak pięknowidz. Za lada poruszeniem jużci coś nowego: a zawsze tyle szczęścia! tyle nadziei!... O! teraz, teraz jak słodko spoziera — Pewna jestem że tak spojrzy, gdy pierwszy raz będzie nam mówił, że nas kocha — a tak, kiedy nad biednym litować się będzie... a tak, wśród zabawy — Tak zaś, gdy ja, stara już kiedyś, oprę głowę na jego silném ramieniu, i powiem mu — „Synu! tyś pociechą mą, i chlubą!“....

To mówiąc z zapalem młoda matka przyłożyła czoło do syna, albo raczej syna do czoła; a gdy go z rąk jój mąż odebrał, znać było że płakała. Na ten widok uszczęśliwionych rodziców, zarcik biegający po moich ustach, stopniał jakoś także w łzę, jak zimna gwiazdka śniegowa

przed słońcem, i tylko pomyślałam sobie w duszy— „O! dzieci— gdybyście wy mogły widzieć nadzieje rodziców marzone przy kolebkach waszych, byłybyście wszystkie— grzeczne— posłuszne— dobre jak aniołki, by ci kochani rodzice nie byli zmuszeni kiedyś powiedzieć sobie, ocierając gorszką łzę z bladego lica— „Zawiedliśmy się! a przecie całe szczęście nasze na tém spoczywało.

II.

Nie uwierzycie lubie dzieci, co to za powiewne skrzydła ma ten czas, leci, leci i leci; ani go zatrzymać. Ile razy chcemy jaką godzinę przebałamucić, przepróznować— fiut... wionął tylko, i już ta godzina nienasza, lecz jego. Jeden jest tylko sposób oparcia się temu figlarzowi: oto tak swoje godziny zapełniać, by się ważnemi stały. Wtedy czas, niemogąc unieść ich jak jakie bańki mydlanne, zabierze z sobą część życia tylko; a przy nas musi zostawić, pożytek.

Otóż i ja wam prawię o czasie, a doprawdy zaledwie pamiętam, jak od dnia wyżej opisanego, upłynęło lat dziesięć, Cóż to za zmiany! jak in-

na postać rzeczy!— A wszak to mój rycerz co to się przewracał w kolebce, wyskoczył z niej jak szczupak, wyciągnął się jak strona; i dziś taki duży, iż jedna zaledwie z nóg jego pomieściłaby się w kołysce, gdzie wtedy za obszernie mu było całemu. Już teraz pałasz nie na stoliku, lecz przy boku — a i to tylko w chwilach gdy nie zajmują go książki co zastąpiły ładny abecadlnik z owych czasów.— Koń z rassy arabsko-lakierowanej, urodzony w sklepie norymberczyka, ustąpił prawdziwemu Myszakowi, co rzy w stajni, i swój obrok zjada tak dobrze, jak każdy inny: a kiedy osiodłany, przed gankiem, przyjmuje na grzbiet pana, czuje że i on musi miewać dobry apetyt, bo codzien więcej waży: w strzemiona zaś wchodzą nogi nie już we włóczkowe trzewiczki obute — nie w cizemki nawet z przodu sznurowane — lecz w buty; w buty prawdziwe, takie jak dorośli mężczyźni noszą — a jeszcze z ostrózkami.

Kolebka na górę wyniesiona, ani się pokazuje. Tylko kiedy Xawerek bawi się grzecznie na dziedzińcu, a wiaterek powieje ku niej, wesoly śmiech jego, to się zakolysze zwolna, niby od radości że wychowaniec dobrze się hoduje.

Niedawno temu, przypadła właśnie rocznica urodzin Xawercia, piękny dzionek zaświecił na niebie, rodzice już powstawali, a solenizant spał

jeszcze w najlepsze. Mały Jakóbek, towarzysz nauk, i zabaw jego, zrobił przede drzwiami śliczną bramkę z jedliny, a czarny pies przyjaciel (przytém elegant choć stary) odświeżył własnym językiem hebanową suknię swoją co lskni się jak atlas, i tak w galowym stroju, czeka przede drzwiami śpiącego z powinszowaniem.

Ale już wniesione do śniadania dzwonią filiżanki. Fidel dłużej wytrzymać nie może: lęka się by herbata nie ostygła panu, a naturalnym skutkiem i jemu, który nienajpierwszy dział swój dostaje. Z odwagą więc uderza we drzwi, pomaga sobie łapkami; i za chwilę już przed łóżkiem, skomli, bije ogonem, pierwszy urodzin winszuje, i czeka tylko aż się Xawercio ruszy, by mu skoczyć na piersi jak przyjacielowi, i ucałować nogi, jako panu.

Mała rzecz— mówią— a wstyd. Promyk słońca wkradając się przeze drzwi, wchodzi niby to także z powinszowaniem, a w samej rzeczy przymawia— „Widzisz! jam już dawno tutaj: zstąpiłem z nieba, pobudziłem ptaszki, przypomniałem ludziom o Bogu, i uśmiechnąłem się na dobry dzień do rodziców twoich, którzy rano wstali. Nauczka ta nie była straconą: jednym szusem żwawy chłopak żegna łóżko, oddaje pierwszą myśl temu, od którego wszystko dobre pochodzi, ubiera się spiesznie, i wybiega z bijącym sercem. Bo już

to trudno tać: urodziny, to nie taki dzień jak każdy. Czeka nas napewno serdeczna pieśczo-ta rodziców, życzenia wszystkich domowników: nie bez tego by się jaka niespodzianka, jaki upo-minek nie znalazł, a wreszcie jeden rok więcéj w życiu, to jakoś ogromnie dodaje człowiekowi powagi, i o parę cali od ziemi odsadza.

— „Dobry dzień! kochani rodzice.“ — „Winszu-jemy ci drogi synku bądź nam zawsze jak do-tąd, pociechą“ — „Dziękuję ojcze! dziękuję mamó! ale co za ładny upominek! — „Takie tylko wyra-zy przerywane pocałunkami, słyhać przez chwil kilka. Ale co najśłodszém było dla serca sole-nizanta, to owe słowa rodziców — „Bądź nam jak dotąd pociechą“ — Xawerek zawiele miał roz-sądku, by siebie mniemać doskonałym. Wie-dział, iż jakto na świecie bywa, nieraz w ciągu roku czemś się przewiniło, zapomniało rodziciel-skiego rozkazu, lub użytecznej przestrogi. Ale usiłował szczerze być dobrym, i nie mógł od-cieszyć się widząc, iż kochani rodzice obsypują go codziennie łaskami, jeszcze w końcu roku nie pamiętają nawet tysiącznych kłopotów, jakich z po-wodu jego doznali koniecznie.

Podczas téj tklivéj sceny, Fidel zmiarkował po wykrzyknikach, i uściskach, że jest tn w tém jakaś uroczystość: a zwyczajem wiernych psów najszcześliwszy gdy widzi radość na twarzach pań-

stwa zaczął skakać, kręcić się, poszczekiwać: i tak się umęczył, że kiedy nareszcie solenizant zwrócił się i ku niemu z pieśczołą, on zaziajany nie mógł już na nią inaczej odpowiedzieć, jak pokazaniem mu za to swego szerokiego, czerwonego języka, co go zwiesił na czarne piersi. Ale pomiędzy przyjaciółmi nic się źle nie przyjmuje, za ten oryginalny wprawdzie, lecz nieomylny dowód szacunku i uszanowania: bo na języku Fidla wyczytał w braku słów.— „Będę cię kochał, i służył ci aż do śmierci.“

Jeszcze Xawerek nie skończył śniadania, kiedy ujrzał przez okno, zatrzymującego się przed gankiem konnego. Musiał żwawo jechać, bo strudzony konik spuścił głowę szukając trawki co jeszcze nie rosła, a z boków para mu bucha, jakby stał w obłoku. Za chwilę, wnoszą duży list, pisany na cienkim, białym papierze, a pieczęć na nim tak jasno-czerwona, że i w liście coś jasno, wesoło być musi. Pan domu wziął go w rękę— „To nie do nas, tylko do Xawerka“— rzekł, oddając temuż paczkę.

Chłopczyna, przyjął pismo z radością; aż mu oczki błysnęły. Na wierzchu zapisano było pieknemi, wyraźnemi literami, choć na linjach jeszcze— „Do mego najukochańszego braciszka“— a w środku coś w papierze niby szeleści, niby się ugina. Nie można poznać z wierzchu co tam

jest; ale oczewiście że coś jest, nie same atramentowe litery. Natychmiast pęka pieczęć pod drzącemi z niecierpliwości palcami Xawercia, i widać.... naprzód zielono— dalej różowo,— i srebrno... nareszcie ukazuje się śliczna sakiewka robiona z włóczki na drótach, koloru róży, i jej liścia, ze srebrnemi żołądziemi do końców przyszytemi.

Wiele było radości, wiele przypatrywania się; ale co też tam w liście napisano? Xawerek przebiegł go oczyma, i natychmiast zaczął wesoło bić w dłoń, i po całym domu rozległ się okrzyk radosny— „Przyjedzie dzisiaj! przyjedzie! Jakże się będziemy doskonale bawić! jak doskonale!“

Trzeba wam powiedzieć kochani czytelnicy, że list ów pochodził od Helenki, ciotecznej siostry Xawercia, trochę od niego młodziej, którą bardzo kochał— bo była grzeczna, wesoła, i taką pociechą stawała się matce, jak Xawerek swoim rodzicom. Xawerek był w ścisłej przyjaźni z Helenką; bo to wielkie szczęście dla człowieka mieć przyjaciół, i najprzód szukać ich zawsze potrzeba w rodzeństwie, i między krewnymi: bo tych sam Bóg już bliżej nas postawił. Prócz tego, ani Xawerek, ani Helenka, nie mieli rodzonych siostrzyczek, ani braciszków. Często im też powtarzali rodzice, że oni powinni być dla wszystkich więcej jeszcze uprzejmi, więcej uprzedza-

jący niż inne dzieci; bo komu Bóg nie dał rodzeństwa, zdaje się że przez to samo powiedział wyraźniej jeszcze,— „Wszyscy ludzie są braćmi, i siostrami twymi.“

Helenka własną ręką zrobiła sakiewkę na urodziny Xawercia, wprawdzie, niewiele jeszcze miała czasu na uczenie się robót; bo trzeba przecię i czytać gładko, i pisać niekrzywo, i znać dokładnie świętą historiją, polską, i wiele innych rzeczy— a gdzież się to tego wszystkiego nauczyć w przeciągu lat kilku! Helenka jednakże w chwilach wolnych od nauki, lubiła szyć, kroić, robić na drutach — a czyniła to z potrzeby istotnej: miała bowiem tekturową córeczkę, która jak zwykle każda córeczka, potrzebowała i koszulek, i sukienek, i czepeków; a której nie można było nigdy nauczyć, by sama sobie coś zrobiła. Już to prawdę mówiąc nie wina w tém biednej Basi, bo ona w główce ma tylko bawełnę; i w rączkach bawełnę— a taka bawełnianna istotka, zawsze na świecie do niczego; ale za to Helenka ze krwi, i ducha złożona. Zwykle też po lekcjach, siedząc nad łóżeczkiem śpiącej Basi, robiła robótkę, i opowiadała jój różne piękne rzeczy z pięknej historii: tak, że gdyby tylko Basia nie była lalką, niewątpliwie poszłaby opowiadać i swoim dzieciom, co tu za wielcy ludzie żyli niegdyś. Otóż to w takich godzinach, zrobiło się sakiewkę dla Xawercia,

a gdyby nie para skaz, i jedna ma lutka, ale to maluteczka plamka, trzebaby przyznać, że się ładnie udała.

— „Wiele dziś przyjemności doznałeś synku“ — rzekła matka Xawercia — „trzeba pospieszyć Bogu za nie podziękować. Pójdźmy do kościoła“ — „O! najchętniej mamó. Cóż to za dzień, co za dzień! a co jeszcze będzie szczęścia! Nim nadjedzie Helunia, muszę wsypać do nowój sakiewki moje pieniądze, żeby widziała że jej natychmiast używam. Jakóbk! poznoś wszystkie zabawki nasze; byśmy nie tracili czasu na szukaniu, gdy bawić się przyjdzie. Niech zostanie i twoja bramka z jedliny: mój dobry Jakóbk! jakżeś ty rano dla mnie pracował.“

I uściskał poczciwego chłopczykę, który tak był rad ukontentowaniu panicza, jakby to jego własne obchodzono urodziny; i z nieśmiałością przyniósł jeszcze bułeczkę czarnego chleba, co go matka jego umyślnie na wsi upiekła na ten dzień dla Xawercia. Bułeczka była maleńka, zgrabna, na środku krzyż nożem naznaczony, a u krzyża, zatknięta gałązka zielonego barwinku, jaśniała kolorem nadziei.

Zapewne chleb był zwyczajny, i Xawerek smaczniejsze jadał rzeczy: lecz przyjął z radością ten dar Boży, co utrzymuje życie większej połowy braci naszych — braci, którzy stworzeni jak my, a nie-

raz i z lepszemi może zdolnościami, pracują jednak dla nas wytrwale, zagrzewają się pracą, byśmy my, zagrzewali się w pięknych, ciepłych sukienkach; i jeszcze nieraz gorliwiej od nas może pamiętają dziękować Stwórcy za dobrodziejstwa życia.

Xawerek pobiegł do ojca, i obejmując rękami jego szyję — „Ojcie!” — rzekł — „ja chcę dziś wieczorem darować Jakóbkowi szabelkę którą on tak bardzo lubi. Czy pozwolisz?” — „Pozwolę synu: ale czemuż wieczorem?” — „Bo teraz... to będzie jakoś niezręcznie. Gotówby myśleć, że mu chcę płacić za okazaną przychyłość.”

— „Dobrze Xawerciu, dobrze“ odpowiedział ojciec, całując go serdecznie w głowę — „masz słuszność, myli się kto mniema że darami kupi, lub opłaci przychyłość. Można obficie kogoś obdarzyć, a potem jedną niesprawiedliwością, jednem niezasłużonem poniżeniem; odebrać całą wartość dobrodziejstwu. Tak, synku; za trzewiki i suknie twoje, płac rzetelnie pieniędzmi, za serce, płac sumiennie sercem — a nie będziesz się żalił na niewdzięczność ludzką.”

I poszli do kościoła. Zewsząd szły też gromady włościan do świątyni pańskiej. Dziewczęta którym chłód wiosenny zarumienił czerstwe, pełne lica, idą zwawo żeby się nie spóźnić na śpiewanie różańca. Parobcy śmieją się, po

drodze; ani znać że przez tydzień cały pracowali bez odpoczynku— albo raczej, znać właśnie: bo szczęśliwi, weseli; dzieci czysto ubrane z radością pospieszają za starszymi. Oczy ich nieoswojone z widokiem malowideł, z pełnem uszanowania podziwieniem zatrzymywać się będą na najświętszych pamiątkach.— Usta niewprawiane do słów grzeczności, wyrażać będą szczerą miłość dla prawdziwego ojca, dla prawdziwego pana! Xawerek uważał że kilku chłopaków zacierało ręce biegnąc, bo ubiór ich był zbyt lekkim na tę porę roku, oczéwiście czuli zimno; zapytał po drodze tego, i owego, czemu nie włożyli sukmanek, odpowiedzieli że nie mają. Przykro się zrobiło Xawerkowi, ale nie czas było mówić— wchodzono właśnie do kościoła. Pomyślał więc tylko sobie, jakie to szczęście że on ciepło ubrany, i z nowym powodem do wdzięczności, przestąpił poświęcone progi.

Xawerek zachowywał się w kościele uważnie, i przyzwoicie, bo był roztropny. Kto nie chce poświęcić godzinki na słuchanie słowa Bożego, i złożenie Stwórcy winnych dziękczynień, ten dowodzi że umysł jego jest jeszcze tak niedojrzały, iż nie umie znać wielkości Boga, ni oceniać łask jego. Takie dziecię nie ma jeszcze prawa nazywać się człowiekiem.

Nabożeństwo było solenne: kazanie piękne. o

tém, jak każdy człowiek użytecznym powinien być na świecie; Xawerek słuchał go, i rozumiał. Gdy wyszli z kościoła, chłopczyna nic nie mówił, tylko w zamyśleniu dobył z kieszeni sakiewki Heluni, w którą wsypał był cały swój majątek w gotówce. — „Co ty liczysz Xawerciu?“ — spytano go — „Patrzę, czy mogę już zostać użytecznym człowiekiem.“ — „Jakto? za pieniądze?“ — „Tak jest“ — rzekł ciszej nieco zbliżając się do rodziców — „oto mam już tyle zebranej monety, że mógłbym, rachując z dzisiejszym darem, kupić sobie jak miałem to uczynić owo piękne dzieło do nauki — Metoda polska: Jaźwińskiego — Ale... widziałem idąc do kościoła kilku chłopców tak przeziębłych, że... jeśli rodzice pozwolą chciałbym stać się dla nich użytecznym, i zamiast naukowego dzieła dla siebie, sprawić im sukmanki.“

— „Pozwolimy ci użyć jak zechcesz darowanych pieniędzy, bo one są twoją własnością. Ale Xawerciu, pamiętaj że jeśli nie trzeba się namyślać w chęci dobrego czynu, to wykonanie onego zawsze wymaga rozwagi, by przez pośpiech nie zrobić mniej dobrego, niżby można.“

— „Czyliż w tém zachodzi jaka wątpliwość“ — zawołał chłopczyna z zapalem — „iż dobrze jest własny pożytek, dla pożytku cudzego poświęcić?“

— „Pytanie: z czego większy wypłynie pożytek — z sukmanek sprawionych dzieciom kiedy

nadchodzą dnie coraz cieplejsze, czy z dzieła naukowego, które spodziewam się, korzyść ci przyniesie.“

— „Ale ta korzyść dla mnie tylko— a ja chcę podług kazania, być użytecznym światu!“

(Dokończenie nastąpi.)

Józefina O.

LISTY Z PODRÓŻY

(ciąg dalszy.)



LIST III.

Miechów 22 czerwca.

Im bliżej Krakowa, tém miliej, tém ponętniej; coraz piękniejsza okolica, coraz droższe wspomnienia; aż myśl wyżej się wznosi, aż serce silniej bije za każdą przejechaną milą, ale urok i zajęcie tak wzrastają stopniowo, że prawdziwie obawiać się zaczynam, czy te wszystkie przysposobienia nie osłabiają wrażeń widoku samego Krakowa, i nieraz prawdziwie radabym z zamkniętymi oczyma dojechać ostatniej milki.

O Kielcach ci pisać miałam — starożytne to miasto już siódmy wiek swego istnienia liczy, bo założone jeszcze przez Gedeona herbu Gryff biskupa krakowskiego r. 1173 — ale jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, to w niem nie znać starożytności śladów, chyba posępnością i osamotnieniem cechowałyby się miała.

Tu kiedyś były kopalnie złota, srebra, lazuru; miedzią tak sławna ta strona że w roku 1511 na sześćdziesiąt ośm okrętów ładunku hollendrom dostarczyła, a dziś jeszcze, cały kraj opatruje

w potrzebne sprzęty, naczynia i aparaty.— Marmur kielecki pięknego ciemnego koloru, wielu świątyniom krajowym przyczynił ozdoby, a ruda żelazna wygodę i bogactwa téj okolicy pomnażając, staraniem pobożnego założyciela w blachę zmieniona, osłania sklepienie domu Bożego. Kościół ten z ciosowego kamienia wystawiony, oprócz wielu i starożytnych i późniejszych ozdób ma piękny nagrobek z marmuru, matce Tomickich wzniesiony; kto wie, może i ów sławny listami Piotr Tomicki tu bez śladu spoczywa!

Dużo późniejszy kościół S. Trójcy przez Gębickiego stawiony. Klasztor dla sióstr Miłosierdzia zbudowany przez ostatniego księcia biskupa, na inny dziś cel obrócony; a bliższej także pamięci S. Wojciecha kościółek już upadkiem zagroził.

W krakowskich wielu miastach niewolno osiedlać się żydom, Kielce do tych rzędu należą, i dla tego w nich tak cicho, spokojnie, jak gdyby na wsi; trochę gwaru, trochę przemysłowego handlu brakuje, bo już-to w ręce poczciwego naszego ludu, na ciężkim zaprawionój plugu, niezręcznie krédka się obraca.

Mimo obietnicy tatki nie stawaliśmy w Białogonie, mama trochę więcej dziś cierpiącą była— i nas odbiegła ochota, dowiedziałam się tylko że tu są wielkie trzy piece do miedzi i ołowiu, a

oprócz tego kilka mniejszych do odłączania srebra od miedzi. Jest także mosiędzarnia cały kraj opatrująca i hamernia i walcownie; a cała wieś porządna i murowana; najpiękniejszym dowodem że użyteczna praca, polepszenie bytu zapewnia.

Kiedyśmy już minęli Białogon, rodzice kazali stanąć na chwilę, abyśmy się piękności okolicy przypatrzeć mogli; ach moja Wandziu, gdyby nie cudna natura, to już sam gościniec tak ponętną dodałby tej stronie ozdobę, że prawieby jej nie do piękności nie brakowało. Chęcińskiego zamku szczątki— czyli zamek jak dotąd nazywają, ukazał nam się z daleka, i długo bardzo to łudził, to drażnił, aż nareszcie po wężowatej drodze Chęcin dojechaliśmy.

I to także starożytne miasto, niegdyś biskupów krakowskich posiadłość, dużo wspomnień liczy.

Łokietek na dwa lata przed śmiercią tu sejm zwoływał, Kazimierz W. murem opasał miasto, wzmocnił basztami, i piękny na górze zamek z trzema wieżami wystawił. Z wież tych dziś jedna jeszcze żalobnie nad mogiłą sióstr swoich się pochyla.

Królowa Bona lubiąc tu przemieszkiwać upiękniała zamek; ogień zniszczył te ozdoby— i znowu Zygmunt III odnawiał. Nareszcie przez Szwec-

dów zburzony, już nie powstał z gruzów, bo chociaż Czarnecki niespodzianym napadem klęsk miasta powetował, zamek odnowiciele nie znalazł, a Jan III wracając z Wiedeńskiej wyprawy już tylko w pałacyku poniżej zamkowej góry, odpoczywać musiał.

Z Chęcińskich kopalni marmuru, pod Zygmunta III posąg, w Warszawie się znajdujący, tu wdzięczny syn kolumnę wybić kazał.

Są w Chęcinach rzemieślnicy pięknie z marmuru różne wyrabiający sprzęty, a całe miasto napełnione trwałymi ozdobami: odrzwia, progi, wschody, szyldy nawet po większej części marmurowe, dziwną sprzeczność stanowią z niekształtną i opuszczoną postacią domów niektórych.

Pod Brzegami przejeżdżaliśmy Nidę. Rzeka ta zdaje się odpowiadać piękności krakowskiego, dla niego też tylko użyteczna, bo począwszy się przy Moskarzowie, już pod Korczynem do łona matki Wisły się tuli.

Jędrzejów miasto wyłącznie przez katolików zamieszkałe, odznacza się porządkiem i pięknnością rynku.

Tu staraniem Zamojskiego, na zjeździe w 1576 roku obranie Anny Jagielonki i Stefana Batorego utwierdzono; najpiękniejszych nadziei kraju początkiem się stało, ale tu i smutna pamięć pierwszego zebrania się Zebrzydowskiego roko-

szu, który dla uraz prywatnych wzniecony przez kilka lat kraj ciężko niepokoił.

Czytałyśmy w Gołębiowskim że w Jędrzejowie najświetniejsze na całą Polskę organy— ale kiedy rodzice znużeni podróżą przewodniczyć nam nie mogli, uprosiliśmy ich przynajmniej, aby nam w towarzystwie służącego iść pozwolili. Uszczęśliwione przyzwoleniem, wyszłyśmy z Brońcą; wieża kościelna wskazała drogę wśród zakrętu ulicy, zbliżamy się — jeszcze kościół otwarty— dopiero-co nabożeństwo skończone. Przyklekłyśmy na chwilę — i prosimy dziadka aby nas na chór prowadził. On z zadziwienia pogląda na nas — ale usłyszawszy powtórzenie prośby — prowadzi wązkami wprost nawy kościoła zbudowanymi schodkami. Wychodzący z kościoła ludzie jeszcze ciekawiej na nas poglądają. Ależ my już u celu. Ani ja, ani Brońcia nigdyśmy zbliżka organów nie widziały, dziwimy się więc wielkości parę-oktawowej klawjatury i jednego miecha ogromowi;— ale w samą rzecz nic nadzwyczajnego nie widzimy. Podziękowawszy dziadkowi, wracamy do domu zajezdnego.— Jako mama zapyta, wy już z powrotem? chyba w drodze chęć odbiegła.

— Nie, mamo, odpowiadamy spiesznie, widziałyśmy organy; i każda opisywać je zacznie i każda podziwia osobliwość.

— Ależ ja wierzyć nie mogę byście w tak krótkiej chwili, tak długą przestrzeń przebiegły.

— Mamo, to niedaleko, powiedziałam, patrz z okien wieżę zobaczysz.

Mama spojrzała i serdecznie się śmiać zaczęła; nie mogłyśmy z początku dojść przyczyny tego śmiechu, nareszcie dowiedziałyśmy się, że sławne organy są dopiero za miastem w klasztorze Cystersów.

I przejeżdżaliśmy później opodal tego klasztoru przez Gryffów wzniesionego. Tu żył— Wincenty Kadłubek jeden z początkowych dziejopisarzy polskich; świetne ozdoby, tytuły, dostatki biskupa krakowskiego, zamienił na ubogą sukienkę zakonnika, i tutaj w cichej pobożności, cnotliwego dokonał żywota w 1223 roku.

Wiadomo że zakon Cystersów szczególniejszą odznacza się pokorą, najcnotliwszego z ich grona pamięć wraz z życiem ziemskim ma ginąć, a ustawy zakonu nawet zasłużonych świętami ogłaszać wzbraniają. Jakże więc wielkie cnoty, jak nadzwyczajne musiały być zasługi dziejopisa naszego, kiedy dla niego zakon z pokory swojej ofiarę czyni, a Rzym mu świętość przyznaje!

W Potoku spotkałyśmy przynosiny wiejskiego wesela, cztery drabiaste wozy, napelnione stojącymi wieśniakami wartko przemknęły koło nas; ochoczo przewodniczył im skrzypek, gwarnie od-

powiadały mu okrzyki weselnych. Nie wiem dla czego dziarskie chłopaki, nas nieznamych, witali wzniesieniem w górę prześlicznych swoich czapeczek czerwonych, czy to było odbicie sławiańskiej gościnności, czy dla nas wyłączna jakaś uprzejmość, zawsze nam bardzo była miłą.

Widziałam ja nieraz i na obrazkach i w kostiumach kuligowych krakowskie stroje, nigdy mię jednak tyle nie zajęły jak dzisiaj; ach bo też ta kerezya, tylko na barkach krakowiaka w prawdziwej wyda się piękności, ta Stobnicka magierka, tylko przy krakowskiej odznaczy się twarzy.

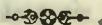
O Wodzisławiu zamieszkałym przez samych żydów, nie mam ci nic do powiedzenia; o Księżu Wielkim dużobym mówić rada — ale i tak już długi list zapisałam, mama woła do spoczynku.

Żegnaj mi luba Wandziu! w Krakowie listów waszych wyglądać będziemy.

W. T.

OBRAZ

Najświętszej Panny.



Na tło niebieskie, wszedł promyk ranny,
Twarzą śmiejącą za ziemią goni,
Gdzie Iskni okienko świętej ustroni,
A w niej: obrazek Najświętszej Panny.

Przed tym obrazkiem Matka klęczała,
Wznosząc do Boga modły gorące,
A przy jej stopach dziewczynka mała,
Zwraca na obraz oko milczące,

Z którego radość błyszczą promieniem.
A kiedy matka modły skończyła,
Biorąc jej rękę z tkliwem wzruszeniem,
Prostemi słowy, tak doń mówiła:

„Co to za Bozia ładniutka,
Z małym dzieciątkiem na ręku?

Ach! jaka ona milutka!
Jak w jęj oczkach pełno wdzięku!“

Matka.

„To nie jest Bozia Toreniu.
Ale matka tęg dzieciny,
Co wsparta na jęj ramieniu,
Wznosi do góry rączyny.“

„To dziecię jest Bogiem— Zbawcą,
My Go Jezusem zowiemy,
On jest naszym niebo-dawcą,
On starł grzechy męki swęmi,“

„A matka— jest naszą matką,
Ona także kocha ludzi,
Ona nie pogardzi chatką
Ją nigdy próśba nie znudzi.“

„Ona jak na tym obrazku,
Śmieje się zawsze do dzietek,
Które z niewinności szatek,
Nie starły śnieżnego blasku.“

Edward Bogusławski.

BAJKA
BĄK I MRÓWKA.

—300—

Bąk widząc mrówkę, jak do mrowiska
Ciągnęła ziarno, przystąpił zblizka
I przemówił: żal mi cię mróweczko kochana
Kiedy patrzę, że od rana
Do nocy, pracą zajmujesz się marną;
Cóż może znaczyć jedno twoje ziarno
W tak ogromnym magazynie.
Jak w morzu kropla zaginie!
Mój przyjacielu, odpowie mu mrówka,
Gdybyśmy chciały takiego półgłówka
Jak ty jesteś słuchać rady,
Czyżby kiedy stanęły te ogromne składy?
Wzniosła je praca, choć drobna,
Ale wyrwała wszystkich i każdej z osobna.

Tak na dobro ogółu wpływają częściami
Poszczególne każdego człowieka przymioty:
Najsilniejszymi szczęścia u ludu węzłami
Są jedność, wspólna praca i domowe cnoty.

Wład. Miniowski.



Imię cię nie znam, ale ty jesteś z tego świata
i nie masz prawa być tutaj. Zostaw to miejsce
i idź gdzieś dalej. Nie masz tu miejsca.
Wład. Białobł.

BAJKA

MOTYL I PSZCZOŁA.

— 386 —

Motyl.

Ty pszczółko jeszcze smokcesz na tym samym
kwiatku?

Ja słodczy z dziesięciu liznałem tymczasem.

Pszczola.

Liznałeś, i nic więcéj, mój płochy owadku!

Ja choć z jednego zlecę, to z miodu zapasem.

WÓŁY I SROKA.

„Cały dzień orałyśmy“ — wół rozmawiał z wołem.

— „Ja z wami, rzekła sroka, pracowałam wspołem;

Za pługiem wciąż chodziłam.“ — „Jakto! wół jéj
przerwie

To pracą zwiesz? Chodziłaś, bo zjadałaś czerwie.

KSIĘŻYC.

Złe kiedy mierna zdolność jest zarozumiała.
Ja dziś we dnie oświecę ziemską kulę całą,
Mówił księżyc;— i żeby na swoim postawił,
Zakrył słońce swą tarczą, i — zaćmienie sprawił.

Podróżny I BŁĘDNY OGNIK.

(z *Lindnera.*)

W jesiennój nocy zamroku
Błądził podróżny po stepu obszarach;
Nie wiedział dokąd nakierować kroku,
Wtém błędny ognik błysnął na mokszarach.
W mniemaniu że ten płomyk z jakiej chatki błyska,
Podróżny biegł do niego, i wszedł na mokrzyska.
Gdy grzęznąc w nich, złorzeczył; błędny ognik rzecze:
Nie masz powodu wcale złorzeczyć człowiecze!
Błyskiem wabić w manowce jest zwyczajem moim,
Lecz iść za mém wabieniem, nierozumem twoim.

Szymon Zajętkowski.

RÓŻA.

—306—

Co za szkoda, mówiła Tolcia do ojca; że róża nie ma owocu! Wypłaciłaby się latem naturze za wszystkie starania jakimi ją podczas wiosny otaczała; a kiedy ją nazwałś kwiatem niewinności i szczęścia, byłaby jeszcze wdzięczności godłem.

Czyż nie upięknia wiosny, ulubionego dziecięcia natury, całą pięknnością swojego kształtu? odpowiedział ojciec; a za kropelkę niebieskiej rosy, za promyk co ją rumieni, czyż nie płaci wdziękiem i wonią? Ozdoba wiosny, dla niej stworzona, dopełnia swego przeznaczenia i z nią umiera. Dziecię drogie! wdzięczność tkliwa a cicha jest najpiękniejszym hołdem.

W. T.

ROZMARTOŚCI.

—306—

Skończyły się zapusty;— ucichły szumne dźwięki balowej muzyki, ustały tańce, wesołe zabawy;— o! szkoda! szkoda tak miłego czasu, powiedzą pewnie niektórzy z czytelników naszych;— prawda, ależ nie całe życie nasze przeznaczone jest ku zabawie i rozrywce, inny ono ma cel — udoskonalenie siebie, a następnie wysłużenie się społeczeństwu za tę życzliwość, pomoc, opiekę którą ono wiek młody tak troskliwie otacza; a wyznajcie dzieciętki że gdyby przez rok cały tak częsta była sposobność bawienia się hucznie jak w zapusty, nie bardzobyśmy daleko w udoskonaleniu się postąpili. — Nie żałujcie więc tych chwil uciechy; i w poważnej porze postu, obok wypełniania obowiązków naszych, możemy miłą

znaleść rozrywkę;— i tak, najprzód; czytanie zajmujących i pożytecznych książek, których młodzi czytelnicy nasi znajdą w tym roku nie mało, a pomiędzy innemi:

Motyła poszyt drugi w którym chlubnie znany pan J. Zochowski zniżając uczone pióro swoje do pojęcia młodego wieku, tłumaczy dalej w zajmujący sposób szczegóły z nauk przyrodzonych.

Świat dziecięcy dziełko w czterech tomikach napisane ku zabawie i nauce dzieci, przez pana T. Nowosielskiego pracującego nieustannie ku pożytkowi młodzi.

Powieści moralne dla młodzieży przez J. K. Skibińskiego w dwóch językach, po polsku i po francuzku;— są to cztery powiastki bardzo zajmujące, a dwie z nich historyczne, i odnoszące się do osób których sława całej Europie jest znaną.— Przekład z francuzkiego wierny, i prawie dosłowny.— Książeczka ta bardzo korzystną stać się może, dla pragnących wprawić się w tłumaczenie, jeżeli bacznie uważać będą na różnicę zwrotów, i układ wyrazów w obudwu językach.

Lubownicy muzyki nie jeden postny wieczór mile spędzą słuchając nie balowej wprawdzie, ale szczytniejszej harmonii.— W mieście naszym kilku na teraz obcych artystów gości;— pan *Seymur Shif*.— panowie *Litolf, Cellier*.— Spodziewa-

ny także w tym czasie *Liszt*, ów wielki *Liszt* który równie zachwyca wielkością swego talentu jak szlachetnością charakteru i dobroczynnością; lecz mniemam że naszych czytelników więcej zajmie mały Antoni *Rubinstein*;— dwunastoletnie to dziecię, lecz każdy kto słyszał grę jego biegłą i tkliwą, wielką mu przyszłość rokuje.

Tak to rozmaite przeznaczenie Bóg ludziom nadaje; jedni ciężką pracą muszą na swoje wyżywienie zarabiać nie myśląc o umysłowych przyjemnościach;— inni obdarzeni talentem nie sami korzystają z niego, lecz używają go ku wzruszeniu, podniesieniu, lub rozweseleniu swych bliźnich, bo prawdziwy talent rzadko może zostać ukrytym, jest on jak potok wzbierający; napróżno wstrzymują go groble i tamy, on się wznosi, szerzy, i występuje z ciasnych brzegów, by spragnioną i smutną ożywić okolicę. Takim zdaje się być przeznaczenie *Rubinstejna*; idźcie go posłuchać czytelnicy moi, może i z was niektórzy podobne rozwiną zdolności, a przynajmniej, każdy młodém sercem łatwiej zrozumie grę młodego artysty, niż trudniejsze z pod ręki wielkich mistrzów wychodzące dźwięki.

W niejednym także domu pomysła zapewne o wsparciu nieszczęśliwych, co w zapusty zabaw nie używali, a w poście nietylko z chwalebnej wstrzemięzliwości, lecz z niedostatku wyrzec się muszą posilnego pożywienia;—może się gdzie nie-

gdzie ku ich wspomózeniu jaka zabawa, teatrzyk, lub loterja zawiąże, przy szczerych chęciach środków nie zabraknie; — dowodem tego jest, odbywająca się w chwili gdy to piszę loterja fantowa w instytucie Głuchoniemych. — Tu także początkiem był tylko pomysł szanownych Przełożonych tegoż instytutu, odezwanie się do serc tkliwych na niedolę bliźniego, i pomału, nieznacznie, zebrało się do 3000 fantów, a jakich fantów! przez czas jakiś można je było oglądać w umyślnie na to urządzonych salach; z każdego przedmiotu znać że dawcy nie stosowali ich wartości do ceny na bilety naznaczonej; jedne z nich bowiem o kilka i kilkanaście razy też cenę przewyższają, inne drobniejsze, świadczą tylko o mniejszej możności, lecz równie dobrych chęciach ofiarujących. — Spodziewać się należy że z wspomnionój loterji przybędzie cósłkolwiek do funduszów tak ze wszech miar szanownego zakładu, z którym teraz połączono rozwijający się dopiero instytut dla ociemniałych.

Ale otóż od zabaw przeszliśmy do dobroczynności; — czy się to z sobą zgadza? niech czytelnicy moi osądzą; — ja tymczasem składam pióro, zamawiając sobie na przyszłość dłuższą z nimi pogadankę.

P. K.

◎ STROJACE

Urywek z zimowej gawędy.



Zapusty zbliżały się ku końcowi, szła zabawa i tańców unosił się w ciężkiem zimowém powietrzu, odgłos skocznych mazurów i harmonijnych walców rozlegał się po zaspach śniegowych, rzecby można że śpiew ludzki i dźwięk muzycznych narzędzi, postanowił zastąpić milczenie ptasząt i zbudzić śpiącą, zdętwiałą naturę, tak nieskończony łańcuch melodji ciągnął się od pałaców i zamków do skromniejszych domów, przerwany niekiedy pustką lub polem, zjawia się w chatce wieśniaczej, nowém ogniwem ciągnął się ku dworowi, zabrzmiawszy hucznie spadał w wiejską karczemkę, z tamtąd w postaci ulotnej śpiewki czepiał się podróżnego lub jego woźnicy, i spieszył ku miastu, by w odmęcie różnorodnych uto-

nać dźwięków.— W takięto porze cisza zaległa pokoje zamożnego dworu.— Drobne i suche drewna z trzaskiem gorzały w ozdobnym kominku, lampę postawiono na stole, na drugim świec parę, kilka osób zasiadło zwykle swe miejsca, a przecież cicho. — Każdy zajęty; najbliżej komina w miękkim krzeselku babunia pilnie robi pończoszkę dla najmniejszej wnuczki, włosy jęj siwe, twarz pomarszczona, schylona postawa, znać że ją przeszło ośm przyciska krzyżyków; przecież w oku błyszczy świetna iskra życia, około bładych ust krąży pogodny uśmiech, a po staraném choć poważném ubraniu znać że jeszcze dba o siebie. — Przy wielkim stole, siwy staruszek przez okulary czyta Pamiętnik religijny, ubranie jego czarne i długie, to kapelan dworski, od kilkudziesięciu lat przyjaciół szczery całej rodziny, wszystkim jęj członkom udzielał łask i usług religijnych, a w końcu życia osiadł wśród nięj, bo liczne chrzty i śluby z których wraz z nią się cieszył, pogrzeby nad któremi płakał, pociecha której tylokrotnie udzielał, silniejszymi połączyły go węzły z tym domem, niż związki, krwi lub wspólny interes, zwykły łączyć zwyczajnych ludzi.

Obok kapelana pani domu szanowna cnotą, piękna słodyczą i pokojem, wyszywa po kanwie różnobarwne wzory, lecz oczy jęj często wznoszą się z nad roboty, przebiegając ku drugiemu

stołowi, gdzie dwie młode dziewice siedzą, niby zatopione w pracy; — i w jakiej? oto przegladają ciekawie niezliczone mnóstwo rycin; — na każdej z nich wystawiono kobietę w coraz to innym ubiorze, a dziewice przypatrują się pilnie każdemu szczegółowi, objaśniają je sobie wzajemnie, a w końcu i sprzecząją się zlekka już to o nieznaną część ubioru, już o mniejszy lub większy wdzięk i szlachetność jego.

— Daruj moja Manieczko, rzekła nieco z przekąsem młodsza i świeższa z dziewic, ale ja nie pojmuję, w jaki sposób każesz do swego ubioru poprzyćcipać te tysiąc rozmaitych sztuczek, które widzę na rycinie wybranej przez ciebie.

— A ty Olesiu? odparła niedbale biała brunetka z kruczemi splotami i ognistém spójrzeniem; a ty podług jakiego wzoru skroisz swoje ubranie?

— To wcale co innego! najprzód że z samęj ryciny widzę wyraźnie co każda część stroju znaczy, a potem... jeżeli co niedokładnie zrobię, to babunia błąd sprostuje. — Któż bowiem jeśli nie ona wie lepiej, jak się zeszłowieczne polki ubierały?

— Może téż i ja znajdę kogo, co mi swoją wiadomością w tym względzie w pomoc przyjdzie zechce.

— O! naprzykład? ręczę że nawet stuletnia

Ryfka nie pamięta, jak się stroiły żydówki przed zburzeniem Jerozolimy.

Mimowolny uśmiech przebiegł usta matki na te słowa, Marja zwróciła się znowu do stołu, niby niezważając na mowę siostry i znowu nastąpiło milczenie.

Przerwało je wkrótce lekkie drzwi otwarcie, wszedł na palcach stary sługa, i zbliżywszy się do stołu przy którym dwie siostry siedziały, wręczył Marji list dość znacznej objętości. — Dziewica spójrzała na napis, i podniosłszy pismo do góry, rzekła z uśmiechem.

— Widzisz Olesiu, oto nadeszło mi z Judei objaśnienie owych sztuczek i hieroglifów, których ani ty, ani ja niemogłyśmy odgadnąć.

— Pokaż! pokaż! zawołała ciekawie Olesia wyciągając drobną rączkę; — co za ogromny list! i od kogo? dodała prawie zazdrośnie:

Wszystkich spojrzenia zwróciły się na Marję, a ona dogadzając powszechniej ciekawości, w ten sposób mówić zaczęła:

— Kiedy z zezwoleniem mamy, obrałam sobie na bal kostiumowy, ubiór judzkiej dziewczycy, i przysposobiłam potrzebne na to materjały, wpatrując się dokładniej w te szaty co tak mię zajęły, poznałam — że niewszystkie ich części dobrze rozumiem; — osobliwie zastanowiły mnie rozliczne figurki otaczające pas mojego wzoru,

dziwnego kształtu ozdoby przy uszach, i sztucznie dokoła postaci ułożona zasłona.— Nie chcąc się cofnąć od pierwszego wyboru, obawiając się by przez niewiadomość nie popełnić smieszności, udałam się o radę do.... kochanego wuja....

— Co za przedziwna myśl! przerwała Olesia: prawda, że tylko on, co połowę życia strawił na badaniu starożytnych zwyczajów i ubiorów, mógł twemu życzeniu zadość uczynić.

— I widzę że uczynił: dodała Marja wążąc list w rękę.— Czy pozwoli mama przeczytać?...

— Owszem dziecię moje; ale czytaj głośno żebyśmy wszyscy korzystać z tego mogli.

Marja i Olga przysunęły się do stołu matki, by osłabione nieco ucho staruszki przy kominku siedzącej, nie straciło ani słowa, i starsza siostra złamawszy pieczęć herbową, czytać zaczęła:

„Nie mogłaś luba Marjo wybrać stosowniejszej pory do zagadnienia mię o zwyczaj ubierania się u starożytnych żydówek;— mam właśnie kilka ksiąg hebrajskich pod ręką, które lubo do ważniejszych zgromadziłem badań, mogą i do zaspokojenia twój ciekawości posłużyć.

„Przejdźmy więc myślą w owe czasy, kiedy niewiasty hebrajskie pamiętne jeszcze zbytków i strojów Atalji, opływając w dostatki, pod spokojnym panowaniem Joaza, używały ich wyłącznie ku rozkrzewieniu przepychu, i wszystkie chwile

obracały na powierzchowne przyozdobienie siebie.— W owęj więc epoce, kiedy staraniem pobożnego Joasa i świętego kapłana Joadą, odnowiono kościół Boży w Jerozolimie, kiedy brzmienie trąb i kottów rozlegając się po wzgórzach Hebronu i Sinai, wzywało wiernych na modlitwę do domu pańskiego, młoda Rebeka spoczywająca na miękkich wezglówiach pokrytych drogą skórą, i cieniuchną fenicką tkanką, otwiera oczy, zdziwiona że tak rano sen jęj przerwano;— ale za ledwie liczne służebne przypomniały jęj uroczystość dnia tego, dziewica powstaje żywo, zrzuca z głowy nocną zawijkę, a uwięziwszy czarne włosy w siatkę z srebra i purpury, wzięwszy na nogi lekkie z koziej skórki sandały, i zarzuciwszy obszerną białą i miękką szatę, postąpiła ku firance, za którą w gęstym cieniu palm i daktyłów świeża i czysta woda w marmurową wannę tryskała.

„Niedługo, Rebeka świezsza i piękniejsza niż przed chwilą, wróciła do sypialnej komnaty, a z tamtąd uchylając kosztowną przegrodę z skór tygryskich i lamparcich, weszła do skarbcu piękności, do pokoju na gotowalnię przeznaczonego. Tu zewsząd rozchodzi się zapach myrry, bursztynu, bizamu i aloesu, bo w każdym kąciku stoi, albo złota sztucznie rznięta kadzielniczka, albo maleńka z marmuru i onyxu urna, a z niej szczupłym otworem, kroplą po kropli sączy się

kosztowny olejek, i rozkoszną woń roznosi.— Ze wszystkich stron błyszczą owalne zwierciadła w perły i drogie kamienie oprawne, świetna ich powierzchnia już z gładzonej miedzi, już z czystego srebra, to wklęsła, to wypukła, to gładka narazście, odbija piękne rysy Rebeki.— W małych skrzyneczkach złotych, hebanowych lub aloesowych spoczywają owe niezliczone i kosztowne klejnoty, na których zbytek tylokrotnie powstawali prorocy.

Zasiadła Rebeka, a tymczasem służebne rozpościerają przygotowane dla niej szaty na *kouklinie* czyli obszernej śpiżowej kadzielnicy, by lekkie tkanki na wskroś wonią przesiąkły; — inne namaszczają krucze włosy dziewicy, a nieznając jeszcze szczotek i grzebieni, białymi palcami gładzą sploty, i zręcznie układają kędziory, przewiązując je gdzieniegdzie czerwoną przepaską. — Teraz zbliża się najulubieńsza z niewiast strojnisi, trzymając w ręku małą z słoniowej kości skrzyneczkę, napełnioną wonnym i czarnym płynem, macza w nim srebrny pędzelek *makachol*; — Rebeka zamyka oczy, pędzel przesuwają się lekko między powieki, a gdy je młoda piękność otworzy, spojrzenie jej ożywione czarną obwódką większym pała blaskiem, słodsze nabiera wyrazu.

Podają młodej żydówce wążutką szatę sięgającą tylko do kostek, która obciśle srebremi

haftkami pod szyją spięta, szyta srebrem i złotem w kwieciste wzory, świetnie jęj ramiona pokrywa.— Kształtną nogę obuwają w sandały, zamiast rzemieni przytwierdzają je plecionką z złota i purpury. — Zarzucają drugą szatę dłuższą i wyciętszą od pierwszjęj, rękawy jęj szerokie, obwód powłóczysty, na białem tle cała w czerwone szyta wzory, dokoła otoczona frendzlą tegoż samego koloru, a słońce, księżyc, gwiazdy z złota, pereł i drogich kamieni wyszyte, zdobią dokoła szatę, i ciężarem swoim niedozwalają jęj z powiewem wiatru ulatywać.

Powtórnie zabrzmiały trąby świątyni; Rebeka nagli o pośpiech; podają jęj zatęm zbiór opasek, stanowiących najwytworniejszą część ówczesnego stroju; — opaski te wąskie, długie na stóp czterdzieści upstrzone rozlicznemi plamkami, dopiero otaczając kibić po kilkanaście razy, układały się w wdzięczne i delikatne wzory, tło opaski którą wybrała Rebeka było purpurowe, a na niem srebrne kwiaty i liście.— Przynoście turban! — kształt jego podobny do małeńkiego szyszaka, na złotęj blasze misterne wyłobione wzory, nad czołem i skroniami wznoszą się trzy zwoje z białęj przejrzystęj tkaniny, przesnuwa je purpurowa wstęga; — od skroni, wzdłuż lica, wiją się plectnie z koralu, a błękitne i innych barw sznurki, w obfitym pęku na jedno ramię spadają; — na-

koniec złota obrączka opasuje czoło, i czarnym brwiom świetniejszego użycza polysku.

W drobne ucho Rebeki zaczepiają mnóstwo najszczególniejszych kolczyków i wieszadeł, nie tylko bowiem jak teraz każde ucho przekatano raz jeden, lecz ogromna liczba małych dziurek utrzymywała coraz to inne, coraz to bogatsze zausznice, a za każdym głowy poruszeniem ozdoby te ścierając się z sobą, wydawały miły brzęk metalowy. Na ręce jednej i drugiej wiją się rozmaite opaski, tu wąż z szmaragdową głową, tu łańcuch sztucznie sprzężony, tu z złotych liści gałązka, tu sznurek drobnych dzwoneczków; a od rąk Rebeki jak od jej twarzy znów blask bije, i szmer dzwoni.

Pozostał jeszcze naszyjnik;— tu długi sznur pereł i złotych kuleczek w kilka coraz dłuższych rzędów otacza szyję izraelitki, do niego przyczepiają rozliczne kosztowne drobiazgi, to księżyce, to gwiazdeczki, to puszki z pachnidłami.— Jeszcze chwilka! Na nogę powyżej obuwia trzeba jeszcze założyć kilka srebrnych obrączek i łańcuszków, a na koniec cały strój ten przysłonić obszerną *simlah* oponą z hyacyntowego jedwabiu do dzisiejszych szali podobną, którą Rebeka z szczególnym wdziękiem w tysiączne układa fałdy. — Czas też już było ukończyć ubranie, bo w świątyni po raz trzeci odezwały się kotły, i

odgłos śpiewów łącząc się z niemi dawał znać że już się rozpoczęły obrzędy.“

— Godne przygotowanie do służby Bożej! zawołał kapelan, który od kilku chwil zdjąwszy okulary przysłuchiwał się czytaniu Marji. — I cóż dziwnego że Pan zamknął ucho swoje, na prośby i wołania stworzeń tak próżnych i ziemi oddanych!

— Juźci prawda, odparła na pół żartem babunia; — że ta panna Rebeka, czy jak ją tam zowią zadługo się stroiła, aleć przecię Jegomość nie mniemasz by staranny ubiór przeszkadzał modlitwie?

— Bynajmniej; i nie to téż wyrazić chciałem, ale słuchając opisu tych zbytków, jakich wiem że się dopuszczały hebrajskie niewiasty, wspomniałem na okropne ich skutki, na zdobycie Jerozolimy i zburzenie jój kościoła przez syryjczyków, właśnie w tym czasie, o którym to piszmo wzmiankuje.

— Czyliżby stroje izraelitek miały przywabić syryjskie zastępy? spytała Olesia z figlarnym uśmiechem.

— Nie żartuj dziecię z wypadku ważnego, i powtarzającego się nieraz.

— Ja téż doprawdy nie żartuję, tylko również nie rozumiem, jakim sposobem wytworniejszy

ubiór kobiety mógł się przyczynić do zburzenia miasta i świątyni Pańskiej.

— Sposobem bardzo prostym, jeżeli się zastanowić zechcemy; — i tak: — kobieta zajęta ciągle zdobieniem swojej powierzchowności, z kądżeby wzięła dość czasu by wejrzeć w zarząd domu, dopilnować służebnych, wychować dziatwę w bojaźni bożej? — Chciałażby jak owa dzielna niewiasta o której pismo święte wspomina, wstawać o świcie, i czuwać przy pracy w noc późną, kiedy toby mogło przyćmić blask jej oczu, lub zmniejszyć białość twarzy, a ona na tych tylko przymiotach całą swoją wartość założyła. — Tak więc i w Izraelu, i wszędzie gdzie kobietą próżność powoduje, wszystko idzie nieładem, a nieład najpierwszą zguby przyczyną.

Dziewice słuchały uważnie, lecz w oczach Olesi, i w lekkim ruchu jej głowy znać było, że ją jeszcze staruszek nie przekonał. — Poznał on to, i tak mówił dalej:

— Tak więc ojcowie i mężowie izraelscy nie tylko że jak dawniej żadnej z niewiast nie mieli pomocy, lecz owszem, pragnąc utrzymać przynajmniej pokój domowy, musieli im zbytkowych dostarczać przedmiotów; — niemogąc zaś nic zebrać z upadłego gospodarstwa, innych na to, niezawsze godziwych szukali sposobów; — ztąd nierzetelność w handlu, chciwość, skażenie cha-

rakteru.— Dalej: — powiedz sama Olesiu, stosownieżby było, aby mąż niewiasty przybranej w perły i złotogłowy prostej używał szaty?— By się zatem podobać córkom Syonu, musieli izraelicy mężowie trefić włosy, bisiorem się odziewać, drogie kamienie do odzieży przyczepiać:— ztąd próżność, miękkość, upodobanie w zniewieściałem życiu.— Dni całe upływały na czczych zabawach, na uctach zbytkowych; dzwinki lutni i cytry przeznaczone dotąd na cześć Najwyższego, brzmiały ku rozweseleniu biesiadujących; a tymczasem mury świętego miasta waliły się w gruzy, i nikt o ich naprawie nie myślał;— wrota stały bez straży, zbroje i oręża zmienione w klejnoty nie były w stanie obronić dawnych wojowników.

— Ależ ubodzy! ubodzy! przerwała uparta Olesia, ci przecież nie uctowali, mogli bronić Ieruzolimy, i jej mieszkańców.

— Dla czegoż bronić mieli tych, którzy o sobie tylko myśląc, nie wspierali ich w nędzy, nie uważali za braci, dla tego że w prostych i zużytych chodzili szatach— a potem; męztwo nie z głodu i poniżenia powstaje.

Olesia spuściła oczy, kapłan mówił dalej:

— Wszedł więc syryjczyk bez przeszkody, zabrał skarby, zburzył kościół, część ludu w niewolę popędził, a wszystkiego przyczyną— wyznajcie— nie byliż zbytki kobiéce?

Chwila milczenia nastąpiła;— potem inną rozpoczęto rozmowę, lecz słowa starca utkwiły w dwóch sióstr umyśle. — Nie powiem żeby na całe życie wyrzekły się zdobniejszego ubioru, żeby sobie czasem małego nie dozwoliły zbytku, lecz wszystko to nie przechodziło zwyczajnej miary ich stanu, bo zawsze miały w pamięci, że trudno się wstrzymać na próżności drodze, i że z małych na pozór błędów, ważne szkody wyniknąć mogą.

P. K.



URODZINY XAWERCIA

(dokończenie.)



— „**A** więc mój Xawerciu poradź w tém, by korzystać nie na ciebie jednego ztąd spadła. Ucz się dwa razy jeszcze tak gorliwie, jakś sobie zamierzał: a ucz się nie dla próżnej chwały, nie dla zabawki, lecz dla dobra własnego, i ludzkości. Wierz mi synu: sprawione sukmanki przyodziałyby tylko ciała oswojone z powietrzem wiosenném. Lecz jeżeli przez pilne przykładanie się do wszystkich nauk nabędziesz tak wysokięj oświaty, że wiadomościami, i cnoty twojemi, zostaniesz chlubą społeczeństwa, i dla wielu wzorem, w tedyto będziesz mógł powiedzieć, żeś użyteczny bliżnim twoim rzeczywiście. Co więcj, kupując owe sukmanki, mógłżebyś wierzyć sumniennie, że to ty jesteś użytecznym światu nie zaś pie-

niądze? i to jeszcze nie twoją pracą zarobione?—
Nie synu — to niedosyc przed Bogiem, i prawdą“ —

— „Słusznie mowicie kochani Rodzice“ — odpowiedział Xawerek przekonany. Ale kiedy ja się będą pilnie uczył wszystkiego, i nabędę wiele wiadomości, cóż dobrego przez nie ludziom uczynić zdołam?“ —

— „Każda z prac twoich luby synu, najzbawiennejsze przynieść może owoce. Jedne nauki dadzą ci poznać wielkie czyny mężów, których nasladując przyłożysz się do dobra ogólnego, drugie rozwijając myśl twą, wzbudzą w tobie chęć dawania przykładów cnoty — i oświecania tych właśnie biędnych bliźnich twoich, których los przed chwilą litość twoją wzniecił. Inne znowu podadzą ci sposobność doskonalenia gospodarstwa i przemysłu w kraju gdzie mieszkać będziesz; przez co dasz pole wielu ludziom do zarobienia sobie na sukmanki. Słowem cokolwiek się uczysz, powinieneś nauczyć się tak dokładnie; by dojść aż do możności przysłużenia się tą umiejętnością społeczeństwu.

— „Dobrze więc kochani rodzice kupię, dzieło Jazwińskiego — i wszystkie inne niedaremnie leżec będą pod memi oczyma. A zawsze, jak się nauczę lekcyi już w połowie, pomyślę sobie:— Może to

i dosyć byłoby dla mnie; ale douczmy się jeszcze bez żadnej pomyłki, by później, użytecznym zostać światu“

Nie potrzebuję dodać że szczerze, serdeczne pocałowania rodziców uswięciły na czole roztropnego syna, zamiar tak szlachetnie powzięty. Wrócił do domu kontent ze swego postanowienia, a ponieważ, po odtrąceniu kosztów na książki, zostało coś jeszcze pieniędzy, rozdał je z uprzejmością domownikom, którzy przyjmowali dar, błogosławiąc młodemu dawcy.

Sakiewka Helenki próżną wprawdzie na ten raz została—Ale da Bóg, wpłynie do niej znowu jakie kilka sztuczek. A ona tak jasna, tak wesoło brzęczy srebrnymi żołędziami swojemi, jakby przeczuwała że w ręku Xawercia, zawsze otwierać się tylko będzie na piękne, i użyteczne wydatki.

Wtém turkot powozu, oznajmił gości. Xawerek wie już że to Helenka jedzie; a z nią i kilka starszych osób rodziny, które serdecznie kocha. Już stojąc na ganku, rączką od ust wita przybyłych; a Helunia jeszcze w powozie, bo musi czekać aż starsi wysiądą, woła cienkim głosem—

—„Jak się masz braciszku! wieszuję ci urodzin—przepraszam że moja sakiewka nie bardzo ładna.“

Słowem tysiąc wyrazów poleciało z jój ruchawej buzi, nim jeszcze uściskała wujenkę, wuja i brata.

Nie tracono tam drogiego czasu zabawy, bo dzieci co przez cały tydzień zajmują się gorliwie, choć przyjemnie, rade pobiegać, i poswawolić. Helenka zaledwie dała sobie czas zdjąć ubior podróżny: już jedną nogą biegła za braciszkiem gdy z drugiej ściągano jęj jeszcze berlaczyk. — Ale bo tęż można było wybrać rodzaj zabawy! Po jednej stronie pokoju, na posadzce, stały ekwipaże Xawercia. Sliczna karetka brązowego koloru, zaprzężona parą koźmi kasztanowatęj maści. Stangret na koźle trzyma wręku lejce; karetka ma drzwiczki; a w nięj siedzi pięknie ubrany jegomość, z miną nader poważną. Wzrost jego nie przechodzi wprawdzie długości małego palca Xawercia, albo Heluni, ale to nie przeszkadza żeby nie miał być bardzo, bardzo możnym panem: ja przynajmniej tak o nim słyzałam. Dalej kocz czterokonny; w nim modna para. A choć pani lalka — i pan, lalka — co nam do tego? dość że pięknie patrzeć na nich; bo dama slicznie się usmiecha pod kapelusikiem ocienionym przez ogromne pioro ze strusia domowego — to jest z koguta. Mąż jęj zaś nosi modną bródkę, i tużurek z cienkiego sukna zielonego, pod którym ani znać — broń Boże — iż to klocek drewniany.

Z drugiej strony, rozstawione całe wojsko Xawercia. Gęste szeregi żołnierzy maszerować się zdają, pod komendą stojących na froncie oficerów.

Tam dalej uformowany czworobok z piechoty, na który tuż naciera walna kawalerja, ani zważając na las nadstawionych bagnetów. — Tu znowu, cały park artylerji. Mnóstwo dział wymierzonych tak groźnie, że drży przed niemi ustawione nieopodal miasto, z którego już i tak jeden dom się przewrócił, choć go jeszcze bombardować nie zaczęto. Artylerzyści z krótkimi pałaszami, stoją walecznie na swoich miejscach — a takie posłuszeństwo, taka panuje karność, że choć Xawerek przez pomyłkę postawił jednego przed samą lufą ogromnej mosiężnej armaty, on się ani ruszy: a niewątpliwie musi wylecieć w powietrze, za pierwszym wystrzałem. Wielkie to szczęście iż tak ogromne wojsko nie ma życia — bo inaczej cały pokój niezawodnie byłby wzięty szturmem.

Naczelny wódz — ma się rozumieć Xawerek, w rycerskim szyszaku, z szablą w ręku, wydaje rozkazy — rekognoskuje miejsce — (do czego mu wybornie zamiast lunety, kalejdoskop służy) — Jakóbek adjutant przyboczny lata z rozkazami od szeregu do szeregu, i niekiedy w gorliwym zapale wywraca sam hufce, które miał do boju zagrzewać. A ile razy Xawerek głośniej zakomenderuje, tylekroć siedzący pod stołem Fidel stula uszy, i ogonem ferta pokornie, bo mniema że to na niego krzyczą, i że mu czas wynosić się za drzwi

— „Braciszku!“ — odezwała się Hølenka, która

słyszała nieraz jak czytają gazety— „To miasto, czy nie Barcelona?“ —

— „O nie! Ja teraz jestem w Egipcie, nie w Hiszpanji“ —

— „A któż ty jesteś?“ —

— „Dobre pytanie! Zagadnąć tak wielkiego wodza, kto on jest. Zapytaj tych piramid“ — dodał pompatycznie, wskazując szabelką na czapkę z siniego papieru zdjętą z głowy cukru, i postawioną umyślnie dla dekoracyi.

— „To może i tego czarnego afrykana mam zapytać?“ rzekła Helenka śmiejąc się, i patrząc na Fidla — „Ale wiem już, wiem — tyś Napoleon — a ponieważ ja w twoim obozie nie mam żadnej roli, muszę odznaczyć się jakim walecznym czynem byś mię zrobił generałem“ —

To mówiąc figlarna dziewczynka pochwyciła leżący pałasz, rzuciła się na ustawione wojsko które ją nudziło, i jednym zamachem ręki, zmio-tła ze trzy pułki, ze sześć arma zabrała. Gdy już cały plan bitwy za nic poszedł, zbliżyła się poważnie do Xawercia.

— „Teraz“ — rzekła — „gdy już wojska twoje zniesione...“ —

— „Nie lękam się niczego!“ — zawołał Xawerek wesoło — „Prawda żeś ty Helena — ale przecie nie *Święta Helena*.“

— „Mogłabym cię może zgubić!“ — mówiła

dalej z uroczystą miną dziewczynka— „Ale jam nie taka okrutna. Zostań sobie Napoleonem, tylko natychmiast wracaj do Paryża, gdzie i ja powędruję piechotą z Sabaudyi“ —

— „Jakto?“ —

— „Oto czytałam wczoraj powieść ze Starego Wędrowca — pod tytułem Sabaudka — znasz ją?“ —

— „O Sabaudka! Sabaudka! — śliczna powieść znam“ —

— „Otóż wiesz że tam Rózia Sabaudka, idzie piechotą do Paryża żeby co zarobić dla swoich biędnych rodziców, których tak serdecznie kocha“ —

— „Pamiętam — i przypadkiem podnosi na ulicy bransoletkę zgubioną przez cesarzową Józefinę. Potém oddaje ją w ogrodzie: jest tam i Napoleon, i Eugenijusz Beauharnais. Otóż ja będę tą Rózią.“ —

— Dobrze: a ja Napoleonem. Ale gdzież Józefina? „

— „Portret twojój mamy, co tu oto na ścianie wisi, przyjmie na siebie tę rolę, a ja podejmuję się i mówić za Rózię, i odpowiadać za Józefinę“ —

— „A Eugenijusz?“ — „Mamy przecie Jakóbka. Bez królowej Hortensyi, obejść się będziemy musieli. . . . Słuchaj! nawet Fidel może coś znaczyć“ —

Słyszac wymówione imię swoje, pies szczęśli-

wy że już nie krzyczą, jednym skokiem stanął przy dzieciach, patrząc im w oczy, i czekając swojej roli — „Ale to nie pięknie będzie“ — rzekła Helenka pieszcząc Fidla, dawać mu jakie sławne imię. To już lepiej, niech on tylko będzie sobie godłem wierności, poświęceni bez nagrody. A jak z historii Napoleona przypomniemy sobie takich ludzi, to wymówimy ich imię — Ale cicho, cichuteńko, żeby nikt nie usłyszał“ —

Piękna scena z Sabaudki odbywała się w najlepszej, aż już nareszcie Napoleon strudzony wojnami, uczył potrzebę odpoczynku, a Rózia Sabaudka przypomniawszy sobie, że biegając przez dzień cały z koszem pomarańcz Bertrandowej, nie posiliła się niczem. Wtedy, w samą porę, portret obrany za Józefinę, ożył: to jest, osoba którą przedstawiał weszła do pokoju, i wezwała dzieci na podwieczorek.

Poszli chętnie. Ale bo też i podwieczorek wart był dnia urodzin. Na niskim, szerokim stoliku, zastany obrus spadał aż do ziemi, po rogach stały na talerzach — rodzenki — figi — i daktyle. Były cukierki — było wyborne ciasto przekładane konfiturami; a ponieważ w tej porze trudno było o pomarańcze Bertrandowej dla kochanej Sabaudki, zastąpił je ogromny półmisek rumianych pączków. Walecznemu zaś wojownikowi, przedstawiały one gorące jeszcze kule, które przed chwi-

lą, na cały świat rozsyłał. I więcej jeszcze było smacznych rzeczy, pomiędzy którymi jednak znalaziono miejsce i dla bułeczki czarnego chleba, ofiarowanej przez Jakóbka.

Dzieci z wykrzyknikiem podziwienia, ujrzeni to przygotowanie i radośnie wzięli się do spróznienia zastawy.

— „Co to jest?” — Spytała Helenka biorąc drugi już pączek — „Zaledwem dotknęła półmiska, a stół się kołysze” —

— „Prawda” — dodał Xawerek zbliżając się także — „Ale bo to chyba nie musi być stół: taki niski” — „A cóż więc?” —

— „Nie kłopoteczcie się dzieci” — odpowiedział ktoś starszy — „Być może, iż tam pod tym obrusem jest jaka istota, co się cieszy waszą obecnością. Ale nic to: jedźcie spokojnie, a potem wolno wam będzie przekonać się, co to takiego” —

— „O! jużeśmy dosyć jedli” — zawołały ciekawe dzieci.

— „Więc rozbierzcie stół” — Natychmiast sprzątniono stół, talerze, i półmiski. Dzieci drżącymi z niecierpliwości rękami ściągnęły obrus; zdjęto leżącą pod nim deskę i pokazała się ... kolébka! rozkołysana tak mocno sprzątaniem, iż się zdawało że dziecię jakie chce do snu utulić.

— „Co to? co to?” — zawołały dzieci.

— „Przepraszam za tę osobliwszą współbisia-

dniczkę“— odpowiedział ojciec Xawerka— “Ale nie mógłem odmówić jój wejścia. Słuszna jest by w dzień urodzin powitać tę, co narodzin była świadkiem. Xawerku“—dodał biorąc syna za rękę, i prowadząc go do kolébki— „Ona pierwsza widziała szczęście rodziców twoich, gdyś przyszedł na świat: ich nadzieje, marzenia o tobie! — Niechże ona ci zaświadczy, o ile spełniasz te nadzieje. A i w dalszém życiu twojém, gdy przyjdą trudniejsze obowiązki, trudniejsze cnoty, spoglądaj na nią tem częściej, i pamiętaj by się nigdy nie powstydzita za ciebie!“—

Xawerek z rozczuleniem spojrział na kolébkę, przedstawiającą mu niedołęztwo pierwszego dzieciństwa, i poniesione dla niego trudy. Przystąpiwszy bliżej ujrzał we środku papier— Wziął go, i przeczytał te słowa:

ODEZWA

kolébki do wychowanka.

Mija lat dziesięć wychowancze drogi,
Gdym ci raz pierwszy po otwarciu powiek,
Wahaniem mojem sen przyniosła błogi,
I rzekła:— „oto jest człowiek!“
Te pierwsze, pierwszej przyjaciółki słowa,
Luby Xawerciu! sprawdzaj z dalszym wiekiem.

Niechaj twe serce, niechaj twoja głowa,
Dowiodą, żeś jest człowiekiem!

Gdy w niezglębioném natury przestworzu,
Nowe piękności z każdą spotkasz chwilką,
Ugnij kolana: i rzeknij w pokorze,

Jam człowiek tylko!

Lecz gdy usłyszysz kędy ludzkość jęczy,
Srogiej boleści przeciążona stekiem,
Leć! gdzie cię zapał uniesie młodzieńczy,

Chciej być człowiekiem!

Ludzie wkoło cię, będą troski głościć
Ty pomyśl, widząc smutek co ich goni:
Czemuż cierpliwie ja nie miałbym znosić,

Człowiek — jak oni!

Lecz gdy twój rozum, wzniósłszy się nad czezości,
Dążyć ci każe za postępu wiekiem.

Nie żałuj ofiar — pracuj dla przyszłości,

Czuj się człowiekiem!

Wtedy kolébka twoja będzie dumną!

A gdy nadejdzie czas zawarcia powiek,

Wdzięczna społeczność wyrzeknie nad trumną,

Oto był człowiek!

Chwila milczenia nastąpiła po przeczytaniu tych wierszyków. Starzy, i młodzi, rozczulili się ich treścią, pobłazając kształtom — bo zwyczajnie kolébka; słyszy tylko pieśni nianiek, jakże ma być dobrą poetką.

Xawerek uściskał serdecznie wszystkie obecne drogie mu osoby, i nawzajem od nich okryty pocałowaniem, prosił by chcieli być świadkami postępowania jego w bieżącym roku, i aby na dniu przyszłych urodzin dali mu świadectwo, przy podobnym dzisiejszemu, naocznem stawieniu z kolebką — Łatwo otrzymał obietnicę, bo wszyscy znając go spodziewali się, że i na rok przyszły cieszyć się tylko wypadnie. A miła Sabaudka wsiadając do powozu, szepnęła braciszкови.

— „Przyjedźcie wkrótce do nas: mam wyborny plan do nowój zabawy.“

Turkot kół przerwał dalszą rozmowę— ale jeśli czytelnicy moi zechcą pójść za mną, poprowadzę ich kiedy jeszcze i do Helenki: bo ona w samėj rzeczy istnieje; ona, Xawerek, Jakóbek, są to dzieci, które znam tak dobrze, jak siebie samą— a jeśli urodziny Xawercia— nietyle was zabawiły ile-bym ja chciała, przynajmniej zaręczam wam że osoby tu wprowadzone są prawdziwe, i nawet Fidel nie jest bynajmniej istotą urojoną.

Jozefina O....

OLEJ

(*Mimosa Sensitive,*)



Powinnością jest myślącego człowieka uważać wszystko, co pod zmysły jego podpada, i zastanawiać się nad tém, co je mocniej uderza.— Skoro wiosna rozgrzeje ziemię i wywoła z jej łona drobne kwiatki i ziółka, z jakąż rozkoszą witamy te pierwsze dary ożywionój natury! z jaką pociechą pogłębamy na ich wzrost, jak nas późniój zajmuje każdy pączek wśród zielonych liści wyrastający; a cóż dopiero kiedy rozpierając te lekkie więzy kwiat świetno-barwny woń i wdzięki swoje roztoczy! — Niewszyscy jednakże przestają na zewnętrznej przyjemności jakiej im dostarczają rośliny; są, i między czytelnikami naszymi znaj-

dą się zapewne tacy, co rozważając cudowny utwór każdego krzewu, śledząc krążenie soków, przyjmowanie pożywienia, wyziewanie zbytecznej wilgoci, wpływ jaki ciepło i światło na rośliny wywiera, uwielbiają wielkość Stwórcy, którego niepojęta mądrość w najdrobniejszym Jego tworze tak się widocznie ukazuje.

Ludzie którzy całe życie swoje poświęcili badaniu roślinnych własności, doszli już do tego, że określili dokładnie wszystkie osobliwości ich wzrostu, wszystkie ich życia wypadki, wyjąwszy jednego, i o tym właśnie kilka słów powiedzieć tu zamierzam.

Nieodgadnioną jest dotąd przyczyna szczególnej drażliwości niektórych roślin, a szczególnie gatunku czułków (*mimosa*).— Drażliwość czyli czułość ta, rozmaicie się objawia i tak: *czułodrzew* (*mimosa pudica*) za każdym wiatru powiewem, za lada chmurką na niebie, za najlżejszém przysłonieniem światła opuszcza listki ku ziemi, więdnie, i prawie niszczeje, aż do chwili w której drażniąca ją przyczyna usunięta zostanie.— Rośnie on po większej części w południowej Ameryce, lecz w starannie utrzymanych szklarniach i w naszym klimacie żyć może.— Nie bądźmyż jej podobnymi nie dozwalajmy zewnętrznym okolicznościom wywierać tak ważnego wpływu na wewnętrzne życie; myśmy nie roślinki, nam Bóg dał

duszę która mocą swoją zwyciężać powinna przykrości nieodłączne od pobytu na ziemi; — my za każdym strapieniem zamiast pochylać czoło z boleścią, powinniśmy wznosić je w niebo, ciesząc się ze smutku i cierpienia, które mężnie znoszone nadają nam prawo do świetnej nagrody.

Czulek hygrometr (pogodomierz) za zbliżeniem się burzy ściska swe liście w ten sposób, że wszystkie wspierając się wzajemnie, łatwiej nawałnicę znieść potrafią.

Nasza zwyczajna akacja także do gatunku czuleków należy, zrana bowiem kiedy słońce dopiero wschodzić zaczyna, liście jej widzimy równoległe przy łożkach rozpostarte, w miarę jak słońce wznosić się zaczyna, listki akacji wnoszą się także, dążąc ku temu rozdawcy światła i ciepła, a wieczorem kiedy ostatnie jego promienie nikną na widnokręgu, i akacja ku ziemi gałązki swoje pochyla!

W północnej Ameryce znajdują się dwa gatunki czuleków złośliwych, jeden z nich zwany muchołapką wyziewa nieustannie lepki sok, który przynęca muszki i inne owadki, ale zaledwie biędna istotka siądzie na listku, ten składa się na dwoje i dusi nieprzezorną smakoszkę. — Drugi gatunek ma listki opatrzone dokoła niteczkami, cienkości włosa, i również skoro jakiegokolwiek

żyjątko na środku listka usiądzie, ten się składa, niteczki będące na brzegach krzyżują się z sobą tworząc rodzaj przezroczystej siatki, i w tém więzieniu zatrzymują owad dopóty, póki wszelkie ruchy jego nie ustaną.— Gatunek ten zwany jest *drosera*.

Czułokrzew rosnący w Brazylii którego wdzięczny biały kwiateczek z pochyloną główką i miłym zapachem może być uważany za godło skromnej zasługi, wytrwały na zmiany powietrza, znieść nie może niczyjego dotknięcia, za zbliżeniem doń obcego przedmiotu podnosi się nagle pochylona łodyżka, kwiat prostuje się dumnie a liście jakby go ochronić chciały w iednej chwili dążą do góry.— Bodajby i czytelnicy nasi biorąc za wzór tę roślinę, znosili wytrwale zwyczajne życia przygody, a od niestosownego towarzystwa, od złego przykładu stroniąc, jak ona wznosili się nad poziom, i pod zasłoną rodzinnej troskliwości czekali aż niebezpieczeństwo przeminie.

Przekonano się, że przeciąwszy prędko ostrym nożem łodygę czułokrzewu, na żelazie spostrzedz się daje plamka czerwona, zupełnie do kropli krwi podobna.

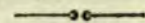
Mieszkańcy Senegalu, mający u siebie liczne gatunki *czuzków* zowią tę roślinę *guera kiao* to jest *dzień dobry!* utrzymują bowiem że niespokoj-

ność i pochylanie się jej listków i gałązek, jest oznaką powitania i wdzięczności dla zbliżającej się ku niej istocie.

Mówiąc o *czulkach*, nie można także pominąć osobliwszej rośliny należącej do ich rodzaju.— *Czulek kufelkowy* (*nepenthes*) rosnący po największej części na wyspie Madagaskar, ma liście podługne;— od końca każdego liścia wychodzi cieniutka w górę zagięta łodyżka, a na niej kwiateczek w kształcie kufelka z pokrywką, pokrywka ta zamknięta w nocy podnosi się ze wschodem słońca, a podnięta w wydrążeniu kufelka znajduje się najczystsza i najlepszego smaku woda.— Osobliwość ta jest razem podziwem i wielką pociechą dla podróżujących w tak gorącym kraju, gdyż ośm do dziesięciu takich naczyniek może ugasić pragnienie człowieka.— Oprócz zwyczajnego otwierania się co rano, pokrywka odskakuje za najlżejszym dotknięciem, a gdy się kufelek przepelni, wznieciona w górę łodyżka, spuszcza się z wolna, i zbyteczna woda skrapia spieczoną ziemię.— Jaka siła porusza tak rozważnie organa tej rośliny? czy woda w kufelkach zawarta tworzy się z zwyczajnej rosy, czy z własnych czułka wyziewów? tego jeszcze uczeni nie doszli; zostawmy im ten mozół, a sami pochylmy w pokorze głowę przed Tym, który stworzywszy tyle rzeczy dla pożytku

człowieka, dozwołiwszy mu poznać korzyści jakie z nich osiągnąć może, tajemnicą pokrył środki, których używa w tym celu, przed dumnym badaczów okiem, zasłonę niewiadomości roztoczył.

P. K.



WYKŁADY
Z HISTORII
POLSKIEJ
W ZAKRESIE
POLITYKI
I PRAWA
PAŃSTWA
PRZEKŁAD
DOKTORA
J. K.

**PODUSZKA
MIEGO SPOCZYNKU.**

—300—

Starozakonny, nazwiskiem Rabbi wynosił często z domu znaczne pieniądze, bez powiedzenia żonie, na co je obracał.— Ta niespokojna, raz ośmieliła się zapytać, co robisz mężu z wynoszonymi pieniędzmi? na jaki oddajesz je procent? co nabywasz za nie? kiedyż będę mogła oglądać nabyte kosztowności i dziwić się nad mądrością twoją?

Rabbi spojrział na nią z uśmiechem i rzekł: nie troszcz się moja żono, ja pożyczam na procent, jak bydź może najwyższy; a z pożyczonych pieniędzy sprawiam sobie poduszkę, którą mi podłożysz pod głowę, jak będę umierał.

Żartujesz sobie, odpowie żona. Czyliż mnie sądzisz tak nieroztropną, bym wierzyć mogła

sprawianiu poduszki, droższej nad poduszkę Salomona i wszystkich razem wziętych królów wschodu!

Rabbi nie obraził się zarzutem, poprzestawszy na zapewnieniu żony, iż po jego śmierci, ona jeszcze będzie bogatą. W istocie, żona Rabbi, przeglądając swój majątek, znalazła go zwiększającym się codziennie i zamknęła oczy na tajemnicze męża wydatki.

Po upływie lat wielu, stary Rabbi zachorował.— Rozciągnięty na łożu boleści, obracał głowę na wszystkie strony i nie mógł znaleźć snu, ani spoczynku.

Żona we łzach, pamiętała wprawdzie o zaleceniu jego; lecz w obawie, by nie myślał, iż go uważa blizkim już śmierci, nie śmiała przypomnieć mu poduszki; — Rabbi więc sam przypomniał, mówiąc; teraz czas, byś mi przyniosła poduszkę, którą sobie sprawiałem przez życie, dla osłodzenia chwili mego zgonu.

A gdzież ona leży? zapytała ze łkaniem żona. Rabbi wskazał jej szufladę w biurku.

Otworzyła i znalazła tylko związany pęk papierów, który przyniosła mężowi.... To ta sama! zawołał. Są to rewersa biednych moich dłużników; to jest poduszka, na której mam nadzieję umierać słodko i spokojnie, bo chcę, ażeby zemną pogrzebana była.

Przyrzekła to żona, składając ręce do Boga...
Mądrość jój męża została wyjawioną; bo zaledwie
papiery miał pod swoją głową, ogarnął go
słodki pokój, usnął z uśmiechem na ustach; a łzy
które biednym ocierał za życia, przemieniły się
w aniołów, co kołyszając go na skrzydłach, owiewając
niebieskiem tchnieniem pół konającemu
z czoła, zanieśli go w tryumfie, tam, gdzie miłość
bliźniego odbiera nagrodę.

Wład. Miniowski.

LISTY Z PODRÓŻY

(ciąg dalszy)



LIST IV.

Kraków 24 Czerwca 1840 r.

Już więc jesteśmy w Krakowie! — Czujesz, rozumiesz wesołość moję — a ja przewiduję na twojej twarzy oznaki podwojonej radości przy otworzeniu listu z Krakowa.

O tu tak miło! oko z przedmiotu, na przedmiot bieży, wita go jakby znajomém pojrzeniem, a myśl figlarka zawsze mu na przeszkodzie stanie, bo ciągle ucieka w oddalone ubiegłe wieki.

O Miechowie niewiele ci powiem, starożytne to miasto, ale oprócz kościoła nie ma innych pamiątek. Klasztor tutejszy wraz z kościołem fundował Jaxa herbu Gryff po powrocie z pobożnej do Jerozolimy przeciwko saracenom wyprawy, a sprowadziwszy tu bożogrobców uposażył ich hojnie; działo się to w półowie XII wieku, gmach

jednak klasztorny i kościół dzisiejszy już późniejszej budowy, bo w początkach XVI wieku po spaleniu odnowiony. Tu rodził się 1456 roku Maciej Miechowita lekarz Zygmunta I. i dziejopis tyle wsławiony w narodzie.

Prądnik pierwsza z szczętu wiosek nad rzeczką tegoż nazwiska położona, więcjby zajmowała i pamiątkami i pięknością położenia, gdyby w niej widok błyszczących wież Krakowa nie przerywał uwagi, nie zmniejszał wrażenia. Zamojski W. przeważnie nad Maxymiljanem Arcy Księciem austryackim odniósł zwycięstwo; tu później, dumna pierwszym tryumfem elekcji szlachta, wspinała witała przybywającego do Krakowa Henryka Walezjusza; ależ i ztąd zaczynała się zwykle żałobna parada prowadzenia na zamek Krakowski, ciał zmarłych monarchów.

Wszystkie te wioski ciągną się jednym łańcuchem wśród wąwozu pasmo skał przierzynającego i przy samym kończą się Ojcowie. Wiele osób piechotą odbywa przez nie podróż do ślicznej naszej Szwajcaryi. — Tatko nam obiecał że jeżeli zdrowie mamy się polepszy, na przyszły rok i Ojcowa okolice i Karpat piękniejsze miejsca zwiedzimy. — O, pojmujesz Wańdziu, jak mile nadzieja przyszłego roku mi się uśmiecha!

Dla wypoczęcia koni zatrzymaliśmy się w tu-tejszym gościnnym domu, w całym znaczeniu

powtarzam ci gościnny — uboga jego gosposia tak ochotném sercem podzieliła się z nami ostatnim udojem świeżego mléka, z taką nam go uprzejmą podała usługą, że chociaż w czarnej misce, chociaż drewnianą łyżką spożyliśmy go, bardzo nam smakowało.

— A nie macie nam co dać do mleka kobiécinko? zapytała mama.

— Oj nie mam moja jéjmościulku, *mój* jeszcze z Krakowa z bułeczkami nie wrócił. Chybaby naszego prądniczego chleba skibkę pozwoliły jéjmościulki.

— O moja mamó! niech nam cały bochenek przyniesie zawolałyśmy z Broncią — my tak wiejski chléb lubimy — to i do Krakowa na jutro kawałek się zostanie.

— Ej, gdzieżby panienki cały prądniczy chléb zjadły, przerwała z lekkim poruszeniem głowy młoda karczmarka.

— O! dajcie go tylko moja miła gosposiu! dajcie, mówiłam żywo.

— No toć i dobrze — ja dzisiejszego nie mam pieczywa, ale sąsiadka jeżeli jeszcze nie pojechała do Krakowa, świeżuteńki mieć będzie. Niech jéjmościulki poczekają *kszynkę*, ja zaraz wrócę.

I w saméj rzeczy, po niedługiej chwili — drzwi się szeroko otwierają — i gosposia nasza z pomocą drugiej kobiety wnosi do izby ogromny

bochen razowego chleba, ale to tak duży jak nasz stolik okrągły przed kanapą, przy którym sześć osób wygodnie siada do śniadania.

A to kto tyle chleba jeść myśli? zapytał z uśmiechem wchodzący tatko, tożby-to cały pułk zgłodniały nakarmić nim można.

I my się serdecznie ubawiły niezwykłym kształtem i wielkością bochenka, którego dziesiąta część wystarczyła nam wszystkim i służącym nawet. Mama jednak zapłaciła za cały, zostawiwszy resztę uprzejmiej gospodyni. Całą drogę do rogatk Krakowa zajmował nas sławny bochenek, różnśmy początku takiej wielkości chleba naznaczali przyczyny, ależ moja droga! czy w samej rzeczy nie jest on śladem zamożności dawnych tutejszych mieszkańców — czy nim się nie potwierdza gościnność polska?

Nie wjechaliśmy do Krakowa; — ale korzystając z pięknego czasu, kornie, bo pieszo wstąpiliśmy na ziemię wielkiego grodu i zrosili ją na wstępie pierwszą łzą rozczulenia.

Piękne plantacye otaczające w około Kraków, mile zielonością jasnych akacyi i cieniem kasztanów witają przybywających, ale kto wie, czy nie miliej witałabym szczątki muru, niegdyś obronną opasującego stolicę; a chociaż ta plantacya w oczach moich wygląda jak wieniec chwały na czole rycerza; wołałabym jednak, aby ten wieniec

nie zakrywał bliz chlubnych.— Jedyne dawne-
go muru ślady są w kilku bram ułamkach, naj-
znaczniejsza z nich Floryańska pośród której ka-
pliczka ustrojona kwiatami i dziadek sędziwy, od-
wiecznie tu przesiadujący.

Samo południe było, kiedy wstąpiliśmy w ry-
nek krakowski, dwanaście razy donośnie ode-
zwało się uderzenie wielkiego zegaru, z najwyż-
szej tutejszej wieży kościoła N. P. Maryi, i za-
raz potem toż samo ratuszowy zegar powtórzył,
a za nim odezwało się kilka razem podobnych
oznajmień ze znaczniejszych domów, do tego po-
łączyły się różnotonne dzwonów odgłosy— i trą-
bki wieżowej muzyka i tak miłą utworzyły har-
moniję— że ja w niejakiem zachwyceniu przy-
słuchując się wszystkiemu, marzyłam o tych
świetnych uroczystościach, które pod tém niebem,
na tym rynku miejsce miewały, i samém marze-
niem już tak byłam szczęśliwa! Wandziu jeżeli
kiedy będziesz w Krakowie życzę ci wejść pie-
chotą o samąj dwónastą na rynek, a wtenczas
dopiero mnie pojąć potrafisz.

W hotelu zastaliśmy listy wasze — wszyscy z upra-
gnieniu rzucili się do czytania Mama mi twoje pi-
smo oddała; dziękuję ci że mnie tak szczerze
udarowałaś doniesieniami, ale i za nauczki dzię-
kuję.

Ja może z Święckim zblądziłam, może z Go-

łębiowskim błąd powtórzyłam, ty odwołaniem się do Nestora dziejopisów naszych, błąd mój prostujesz, utrzymując: że Zygmunt III nie w Falentach ale w Warszawie umierał— i nie 2 ale 30 kwietnia; dowodzisz mi nawet, że sejm ostatni jego panowania zaczął się 1. kwietnia a Zygmunt po zupełném jego skończeniu żył jeszcze, jak podaje Radziwiłł I. Albert Kanc: W. L. nie sprzecząm się i ustępuję tём chętniej że mi w nagrodę obiecujesz za powrotem wiele szczegółów panowania tego króla pozwolić do odczytania, z nader szacownego dzieła.

Tegoż dnia wieczorem.

Bojąc się spóźnienia zaraz po odczytaniu Twojego listu, odpisywać zaczęłam— ale że jutro dopiero poczta do królestwa odchodzi, list się zatrzymał, a ja korzystając z odwłoki, jeszcze ci z dzisiejszych wycieczek zdam sprawę.

Kilka dni tylko zabawimy w Krakowie, tatko więc pragnie aby najmniejsza chwila nie zginęła napróżno, szczególnie dla mnie, która pierwszy raz jestem w tych murach. Nie mogła nam towarzyszyć mama, pozostała ze spotkaną tutaj dawną przyjaciółką swoją— a my z tatką zaczęliśmy zwiedzanie Krakowa— od sąsiedniego holetowi kościoła Panny Maryi.

Kościół ten przez cały dzień otwarty — dogadza potrzebie pobożnej publiczności; i my w nim zastaliśmy kilkadziesiąt osób w po-południowej godzinie, cichym oddanych modłom. Posunęliśmy się ku wielkim drzwiom, aby całość kościoła objąć okiem; i mimowolnie ugięły się kolana, a głowa pochylita się ku złożonym na piersiach dłoniom. Wielkość, wspaniałość świątyni przemawiała do duszy o wielkości tego, który stworzeniem swoim takie ogromy wykończać pozwalała, napełniała serce chrześcijańskiej pokory uczuciem.

Kościół ten fundował Iwo Odrowąż biskup krakowski kanclerz Leszka białego, wsparty składkami pobożnych r. 1226. Trzy wieki po nim zamożni i wielcy ludzie przyczyniali się do wykonania myśli pierwszego założyciela.

Niezbyt jasne oświetlenie kościoła a bardziej jeszcze przezorne umieszczenie wysoko okien, dużo uroczyściej powagi dodaje miejscu temu.

Przeszło trzydzieści ołtarzów z hebanu i marmurów — oraz piękne odlewane z brązu nagrobki zdobią świątynię

Wielki ołtarz drewniany tylko, ale z piękną płaskorzeźbą wykonaną przez snycerza Wita Krakowianina zajmuje znawców, a pięknie ubarwione światło z dwóch różno-kolorowych okien padające na pracowitą rzeźbę *stalli*, przyjemnie oko zachwyca.

Piękne obrazy włoskich i niemieckich mistrzów zdobią ściany i ołtarze, ale najwięcej jednak prac ziemka naszego Orłowskiego tu zgromadzonych, i jeden utwór pracowitego M. Stachowicza.

Po obejrzeniu kościoła odważnie wstąpiliśmy na wyższą wieżę, mówię odważnie, bo chociaż serce trochę drżało na widok 200 wązkich schodów, chociaż oko uciekało przed spotkaniem labiryntu zakrętów, weszliśmy jednak aż do miejsca mieszkania stróża ogniowego. Ztamtąd widok na całe miasto i okolice jego bliższe, sowiec nagrodził zwyciężoną obawę.

Kształtu liry trudno dziś rozpoznać w całości wielkiego grodu, tylko mi się bardziej coś do urny podobnym zdawał.

Plan środka miasta w klasycznym porządku ułożony, może nie podoba się zwolennikom dzisiejszej fantastyczności, dla mnie był obrazem systematyczności życia dziadów naszych.

Ach jak tu miło! tam ot droga warszawska jasnym wężykiem wśród zielonych łąków się snuje, na nią ja dla Was ślę westchnienie i słówko, tam rogatki, tu cmentarz ponury, tu zielony ogrodek.

Wśród ulic miasta, na obszerze rynku gdzieś niegdzie jakaś mrówka pełźnie. A tam zdala na Wawelu szczyt, bieli zamek, kolebka Piastów i Jagiellonów, a tuż przy niej błyszczy pokryciem katedra, grób Piastów i Jagiellonów.

Sukiennice dumne wielkością, jakoś mi bardzo ztąd nieznaczone, ot wolę spojrzeć ku akademii pięknej Jadwigi — Koperniku, Długoszu, Sniadecki Hozyuszu! cześć wam synowie téj wielkiej matki, i tobie pokłon wybrany Janie Kanty, coś przy tyłu powodach do dumy, w tak wielką wzrosł pokorę — że cię aż ojciec niebieski wywyżzyć musiał w nagrodę.

A cóż znaczą te trzy kopce z trzech stron miasta strzegące? — To pamięć wdzięcznego ludu! — A te piętrzące się góry? To Karpaty. A te zamki w gruzach? To.....

O! widzę boisz się o mnie, zadługo na wieży siedzę, wiatr zimny owiać mnie może, wicher zrzucić na ziemię. — Więc zstępuję z wysokości. Ależ jeszcze tak wczesnie, szkoda wracać do stancyi, — tatko wyborną myśl podaje; jedziemy na jeden z widzianych kopców, na górę S. Bronisławy. Jedziemy przez Zwierzyniec, piękne przedmieście Krakowa, ale jedziemy coś długo, gliniasty grunt po wczorajszym deszczu bardzo rozpuścił, konikom nogi grzęzną — a nam tak pilno, bo słońce już bardzo się zniża

Otoż jesteście już niedaleko, wysiadamy — góra jakoś zniżyła się w przybliżeniu, czy też o my sami tak długo na nieznaczną zblizka górę wjeźdzali? Już nie czas myśleć o tém, słońce ucieka z widnokregu; ależ i my już u stóp

kopca. Na wyścigi z Brońcią dwie różne obieramy drogi dążąc ku szczytowi, ależ co chwila spotykamy się wzajemnie na sztucznie urządzonych chodnikach. Biegniemy prędko pod górę, o! nie bój się wypadku — tu tak równo, te ścieżki nigdy nie zarastają.—

Jakiż tu cudny widok!— Kraków w niewielkiej oddali wyrazisto przedstawia się oczom, zegnalny promień słońca spoczął na starożytnych wieżach. Ach ileż-to już razy i witało i żegnało je kolei, a przecież jeszcze tak wdzięcznie im się przymila.

Łobzów, Tęczyn, Bielany, lepiej ztąd jak z wieży widać, a Karpat wzniosłości porachowaćby można.

Czy piękna ta okolica? spytaj Wisły, co w tyle już zakrętów się podzieliła, aby dłużej pozostać przy tych brzegach.—

Do zmroku pozostaliśmy na górze, zwiedziwszy kaplicę S. Bronisławy, zstąpiliśmy z uroczą pieśnią wieczorną Karpińskiego, tyle tych miejsc godną.

Żegnaj mi luba Wandziu! Jeszcze jeden z Krakowa list napisaćbym chciała, bo później nie tak łatwo będzie pisać do Ciebie.

Wszystkim twoim uściśnienia odemnie.

W. T.

PRZEPOWIEDNIA

(zdarzenie prawdziwe).



Ośmioletnia Bronisia kochała niezmiernie stryjecznego swego braciszka Zygmunta, razem wychowani na chwilę się nie rozłączyli.

Przed kilku laty szkarlatyna zaraziła tak była niebezpieczna, że mało dzieci z niej wychodziło. Zygmuntek dostał jęj i mocno cierpiał, ani płacz, ani próśby nie mogły skłonić pani M. aby Bronisi pozwoliła odwiedzić Zygmunta. Biędna Bronisia w tęsknocie zapytała matki: Moja mamo, jak człowiek umrze, i ciało zaniosą do ziemi, to się zepsuje, a więc cóż pójdzie do nieba?— Dusza, odrzekła matka.— Alboż ja znam duszę, alboż tam w niebie Zygmunta dusza będzie o mnie pamiętała?— Bronieczku, rzekła matka, duszy na ziemi widzieć nie można, ale czujesz, że ją masz,

dusza pamięta co tu robiła, pamięta wszystko lepiej jeszcze jak za życia; ciało nasze jest śmiertelne ale nie dusza. Z woli Boga ciało nawet żyć będzie i złączy się z duszą. — A więc tylko na czas umieramy? — Tak kochane dziecię — Ach! jakież to szczęście, odpowiedziała, Broncia, już więcej płakać nie będę, chociaż wiem, że Zygmuntek nie żyje. Mamo, będę spokojna, a pozwól mi popatrzeć przez okno jak Zygmunta wywozić będą. — Jakoż w parę godzin zajechał karawanik i gdy stawiano trumienkę Bronisia ze łzami zawołała: „Żałobniku, żałobniku, zawieź go prosto do nieba, gdyż i ja tam niedługo pośpieszę. — Bolesna przepowiednia spełniła się, w trzy miesiące i Bronisia poszła do nieba!



Ptaszyna na drzewie
Choć taki maleńki,
Cudownie zachwyca,
Gdy nuci piosenki,
A ludzie słuchają,
I poklask mu dają.

Kwiateczek na łące
Ma listki pachnące,
Ma śliczne kolory;
A pełen pokory,
Kto ujrzy, to staje,
Pochwały mu daje.

Strumyczek przejrzysty
Toczy nurcik czysty,
I splywa w doliny,

Ptaszyna na drzewie
Choć taki maleńki,
Cudownie zachwyca,
Gdy nuci piosenki,
A ludzie słuchają,
I poklask mu dają.

Kwiateczek na łące
Ma listki pachnące,
Ma śliczne kolory;
A pełen pokory,
Kto ujrzy, to staje,
Pochwały mu daje.

Strumyczek przejrzysty
Toczy nurcik czysty,
I splywa w doliny,

Pokrzepia rośliny,
I człowiek, i trzody
Czerpią z jego wody.
A któż to dał wszystko
Pamiętacie dziatki?
I ową ptaszynę,
I strumyk i kwiatki.
Pan Bóg wszystko stworzył
Dla pociechy ludzi,
Niech się więc w serduszkach
Waszych wdzięczność budzi.

Stan. Jachowicz.

Oblakana p. P. K.	124
Różnica ubioru p. K. z L. L.	159
Rybki p. W. T.	186
Tańiec węzów p. W. T.	189
Urodziny Xawercia p. Józefinę O.	204—252
Róża p. W. T.	234
Podszka miłego spoczynku p. Wład. Miniewskiego .	270
Przepowiednia p. J. W.	283
Doniesienie p. W. T.	142
Bozmaitości	235

Wiersze.

Zorza p. Walentyne Trojanowską	1
Piątaczek p. Stanisława Jachowicza	29
Do jaskółki p. Marję M	31
Zorza święte budzi uczucia p. Stanisława Jachowicza	47
Do Meluni p. J. N. Jaśkowskiego	92
Rozmowa p. Leontyne M.	139
Jałmużna p. H. P.	176
Orzeł i orlęta p. Szymona Zajączkowskiego	181
Krówka i pszczółka bajka p. Wład. Miniewskiego .	183
Obraz N. Panny p. Edwarda Bogusławskiego	228
Bak i mrówka bajka p. Wład. Miniewskiego	230
Motyl i pszczoła bajka p. S. Zajączkowskiego . . .	232
Woly i sroka bajka p. tegoż	232
Księżyc bajka p. tegoż	233
Podróżny i błędny ogień p. tegoż	233
Wiersz bez tytułu p. Stan. Jachowicza	285

WAŻNIEJSZE POMYŚLI DREWIE

W TOMIE PIERWSZYM ZNAJDUJĄCE SIĘ.

—306—

<i>Stron:</i>	<i>Wiersz;</i>	<i>Zamiast:</i>	<i>Czytaj:</i>
10	13	swęmi	swymi
15	12	warze	twarze
45	15	naizwany	nazwany
53	2	nazywaj	nazywają
57	9	na nieć	na niej
57	10	dziatk	dziatki
58	4	wychodz	wychodzi
78	21	w doćmu	w domu
78	24	pogania	poganiać
91	9	w niedzielę	w niedzielę
96	27	w Brxien	w Brixen
102	5	żegnał się	żegnał nią
106	7	rozdrażniono	rozdrażniona
106	21	na lewo	na prawo
110	16	przygody	wygody
120	24	opowicdanie	opowiadanie
125	2	zacczęła	zaczęła
154	16	de carrara	de Carrara

<i>Stron:</i>	<i>Wiersz</i>	<i>Zamiast</i>	<i>Czytaj.</i>
156	13	to izba	ta izba
161	21	ż wielbiony	iż wielbiony
206	23	eugi	cugi
207	27	mn	mu
212	26	tu	tu
226	25	spotkałyśmy	spotkaliśmy
229	4	Toreniu	Tereniu
230	16	wyrwała	wytrwała
235	1	znaleść	znaleźć
239	12	zjawia	zjawiał
245	12	kouklinie	kanklinie
260	14	klopoczcie	klopoczcie
265	22	ją	go
268	17	naczynick	naczynek
272	7	pól	pot
276	11	rogatk	rogatek
277	1	bliz	blizn
278	8	Radziwiłł I.	Radziwiłł
281	26	•	to

P.L.

450